Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

Dostałem od Jagusi
21.XII.52
(w przesłce do Krynicy)

112a

PŁOMIENIE

Dr. 29 STYCZNIA 1913 - OLEI

112a

PŁOMIENIE

Z PAPIERÓW PO MICHALE KANIOWSKIM WYDAŁ
I PRZEDMOWĄ POPRZEDZIŁ

STANISŁAW BRZOZOWSKI

TOM PIERWSZY

LWÓW 1908 - NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
BERNARDA POŁONIECKIEGO

PG
7158
B796 P55
t.1

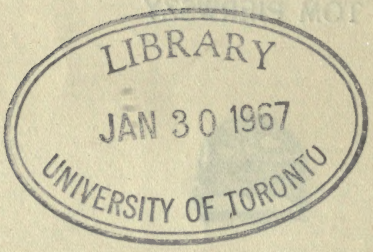

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

Przerzucając stare roczniki rosyjskich pism rewolucyjnych, napotkałem niedawno nazwisko Michała Kaniowskiego. Nie zdążyłem sobie jeszcze uprzytomnić, że jest mi ono dobrze znane, gdy już zarysowała się przede mną cieleśnie niemal ta do żadnej innej, kiedykolwiek widzianej przeze mnie niepodobna twarz, o łysej głowie, dziwnym wyrazie oczu, wyzierających z pod czerwonych, opuchłych, pozbawionych brwi i rzęs powiek. Pamiętam, że kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy — byłem wtedy dzieckiem — wydało mi się, że tak musi wyglądać człowiek, odratowany z pod gruzów palącego się domu. Przypuszczam, że to brak brwi i rzęs właśnie, co wyglądało, jak gdyby były opalone, doprowadził mię do tego odczucia — wniosku. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten dziwny, tajemniczy pan Michał, jak nazywali go wszyscy dorośli, jakby przez wspólną umowę zniżając głos przy wypowiadaniu jego imienia, był nawpół odratowanym, (ledwo, ledwo mógł się poruszać o swoich siłach) pogorzelcem. Zdaje się, że go zapytałem nawet raz o to, gdy mu podałem

upuszczoną laskę, a on zaczął ze mną jakąś rozmowę.

Widziałem, jak w bezrzęsych oczach pana Michała, które wyglądały tak dziwnie, że służba pomawiała go o dar urzekania — zamigotało coś, miał coś mówić, ale stryjenka Adela, w domu której gościliśmy, przywołała mię. Pan Michał spojrzał na nią, uśmiechnął się i zagwizdał, zdarzało mu się to dość często. Słyszałem także, jak mruczał coś i mówił sam do siebie, chodząc po ulubionej swojej uliczce ogrodowej przed altaną i opierając się ciężko na lasce. W altanie tej spędzał całe dnie w fotelu, z książką w ręku. Nie czytał jednak najczęściej, tylko myślał o czemś, patrząc gdzieś przed siebie ponad książkę. Widywałem go za to piszącym.

W wspólnych rodzinnych zebraniach i wycieczkach nie brał żadnego udziału. Instynktem dziecka wyczułem we wszystkich dorosłych jakiś zabobonny niepojęty lęk w stosunku do pana Michała.

Furman Spirydjon, z którym raz wybrałem się w sekrecie przed nauczycielem na nocny połów raków, roztoczył mi kilkoma słowami perspektywę tajemniczej grozy i potęgi.

Siedzieliśmy nad wodą. Spirydjon majstrował coś przy ognisku i według zwyczaju rozmawiał wpół sam z sobą, wpół ze mną. Przywykł mówić z końmi i nie był wybredny w wyborze słuchaczów. Opowiadał o stryju Walerym, o starym panu „Ochtawjanie".

„Mądry pan był. Wszystko wiedział. Jak on powiedział śpieszyć z sianem, to choćby pogoda

była najjaśniejsza, — pewny deszcz. Na chmurach się znał. Tylko popatrzy się — już wie, co z której. A konie jak lubił! Takich koni, jak u nas, w całej gubernji nie było. Jak przyjdzie jarmark, albo kontrachty kijowskie, panowie zewsząd do nas; bez pana Ochtawjana ani rusz. Nu gdzie panu Walerkowi do niego. Pan, jak pan, ale karakteru w sobie niema. Ni, gdzie już jemu! W tym roku jak panowie w Polszcze bunt robili — znaczy polską wojnę, chłopakiem ja w tę porę był przy stajni. Zaczyna się po wsi gwałt. To da sio. Pańszczyznę wrócą, mówią, albo znowu ziemię panom wezmą.. A panowie radzą, radzą.. Co dzień najeżdża ktoś. A pan Ochtawian chodzi chmurny, brwi marszczy: nie będzie nic, — mówi. I nic. Sieje, orze, zbiera jak zawsze. — Przyjechały raz oficyry z wojskiem, kozakami, popatrzali, popatrzali i pojechali: kłaniali się jeszcze : Silnego jenerała pan w Petersburgu krewnym miał... A no cóż... Przyjechała i krewna panowa... Pani Floryanowej siostra z detyną Olą... w żałobie. Męża jej gdzieś kozaki a może i chłopi zabili... Blada taka, wysoka w żałobie, nabożna pani... Uriadnik najechał i pyta: co jak, jakiem prawem niby ona mieszka, ale pan jemu takie słowo powiedział, że pojechał jak osmalony... A po wsi zaczynają ludzie różnie mówić... Tak i tak... Panów wiązać, powiada, kazano: a najwięcej Niczypor..., chłop taki był, w sołdatach służył, strasznie chytra sztuka. Nic... co godzina to gorzej: straszny krzyk. W karczmie siedzą... Dali do pana znać. — Pani, matka to Olesina w krzyk: zabiją...

zabiją... a pan nic. Konia siodłać każe... Podali mu konia. A nas strach wziął... pobiegł ja i Tychon, też młodzik w on czas był... osłaniać, żeby, gdyby co. Ale jakby my jego osłonili! Podbiegli my do karczmy, aż mię mrowie przeszło — pan widzę w sam tłum na koniu jedzie... A tam gwałt: Niczypor przewodzi, a gada, gada! Podjechał pan, z konia zsiadł, pierwszemu z brzegu potrzymać dał, a strachu w nim żadnego nie widać, ani mu ręka zadrży: jakby nie widział, ani słyszał. Z konia, i w sam środek ludzi wszedł, prosto do Niczypora: a ludzie zamilkli i strach było patrzeć: a pan idzie śmiałym krokiem, podszedł do Niczypora, i jak go chluśnie w twarz, a później pod brodę, a za szyję ściśnie: wiązać go krzyczy i do miasta odstawić: naród buntuje, za to my wszyscy odpowiemy. Wiązać i na podwody, a do isprawnika, pismo dam. I zaraz kto z brzegu stał, wiązać się rzucił, a gdyby nie to, możeby jeszcze tego wieczora pod dwór przyszli, kto z widłami, a kto z siekierą... Mądry pan był... karakter miał. Nu? gdzie panu Walerkowi!"

A pan Michał, zapytałem.

Spirydjon dziwnie ręką machnął; głową potrząsł, wreszcie przysiadł się bliżej i zaczął szeptać.

„A o panu Michałku chłopaczynko pytać zakazano. I nie słyszeć o nim lepiej i nie widzieć. Tak jakbyś go nie znał nigdy... Straszny on... On w Petersburgu, samoho imperatora na śmierć sądził... Chował się on przed nimi, chował, ale oni wszędzie za nim: i koleje z nim rozsadzali, i pałac jego cesarski zapalili i samego wreszcie bombą rozerwali".

Pan Michał... zaszeptałem...

„I nie pytaj... Siedzi on teraz kaleka, i o lasce chodzi, a kto jeho znaje, szczo on myśli?... I jak jeho tutki szukali. Samoho pana Oktawjana w Kyjewie w tiurmie trzymali... A co pomogło: nic. Bo oni jak na niego sąd wydali, w tajemnym narodnym sądzie — to już jemu petersburskiemu carowi ani gwardja, ani armaty, ani złote lejb-jegiery nie pomogły... I boją się ich oni, boją narodnych sędziów. On, niby pan Michałek i kaleka i chory, a isprawnik raz w raz najeżdża, a co z tego? chto jeho dumkę tajemną znać może? Już koły on ani ojca siwej hołowuszki, ani panieneczki Oleńki nie pożałował, a i za siebie się nie uląkł, to chto jego zmoże. Choć ty i hosudar i imperator w złoconym mundurze, już ciebie jemu, ani ministry, ani jenerały, ani popy i cerkiewne dzwony nie wydrą, jeżeli on już tobie na tajemnym sądzie śmierć zapisał. I niema na to nijakiej siły".

Ogień rzucał na twarz Spirydjona, na długie białe wąsy czerwone blaski, i pochylony nademną szeptał on: „Prawda w nim jest, i dla tego nic przeciw niemu. Już on na duszę swoją krew przyjął, a nie za siebie i zaciął się i zamknął w sobie: i już ty jeho nie przemożesz... I chodzi on tu, chodzi, całkiem jak jastrząb w klatce: pazury mu połamali, skrzydła poobcinali, a on chodzi, chodzi i dumkę swoją samotną myśli. Po całych nocach światło u niego i siedzi on przed kominkiem, albo po pokojach chodzi: a w oczy mu popatrz strach, taka w nich siła jest. I nie daj Boże jemu co nie w porę zrobić, oczami samymi on ciebie zabije:

duszę ci omami, z piersi wyjmie... Isprawnik najeżdża, pyta się, patrzeć każe, aby nie wyjechał gdzie, a sam się on jego boi... w oczy popatrzeć nie chce"...

Dziecinna fantazja pracowała. Baczniej jeszcze, niż dotąd przyglądałem się panu Michałowi i zachowaniu się wobec niego wszystkich członków rodziny. Wydawało mi się ono coraz dziwniejszem. Czułem wyraźnie, że b o j ą się oni wobec niego odezwać, roześmiać się. Widziałem, że nikt nie lubi go, przeciwnie każdy ruch, każdy gest nacechowany był jakąś tajemną obawą dotknięcia się go. Doznawałem wrażenia, że boją się wszyscy istotnie, jak gdyby samego spojrzenia pana Michała. I nie tylko spojrzenia. Stryjenka Adela, kiedy podawała mu szklankę herbaty, albo podsuwała mu talerz, czyniła to tak jakoś dziwnie, jakby dźwigała jakieś rozpalone i piekące do żywego ciężary. Stryj Walery bladł, czerwienił się i jąkał się, kiedy pan Michał zapytał go o co. Jestem przekonany, że śmierć pana Michała, która nastąpiła jakoś niedługo po naszym wyjeździe była dla wszystkich tych ludzi prawdziwem wyzwoleniem.

Kiedyś w spiżarni pomagając stryjence Adeli w ustawianiu konfitur, korzystając z jej rozgadania się, po wielu wahaniach się: czułem instynktownie, że każde pytanie, dotyczące pana Michała wprawia stryjenkę i wogóle starszych w zakłopotanie, zapytałem, czy to prawda, że pan Michał cesarza zabił.. Stryjenka upuściła łyżkę, która potoczyła się z brzękiem... Bój się Boga, serce, nie mów o tem, nie mów o tem, nie pytaj się: złapią cię, badać zaczną,

skórę pasami zedrą... Odebrało mi to ochotę do dalszych pytań, ale stryjenka uspokoić się nie mogła. Kosztowało mię dużo pracy wytłómaczenie, w jaki sposób doszedłem do tak niebezpiecznej wiadomości, gdyż nie chciałem zdradzić Spirydjona... Stryjenka kilkakrotnie jeszcze powtarzała o owem zdzieraniu skóry pasami. „I mówić o tem grzech: pan Bóg gniewa się strasznie. Kościołów nie uznają, ani, straszna rzecz, w Boga nie wierzą: zamiast Boga, mówią, ma być eter, a człowiek jest tylko gadająca małpa". Wiedziałem już, że stosuje się to do przyjaciół pana Michała. Nabrał on w moich oczach jeszcze bardziej fantastycznego uroku. Wydawało mi się, że jest on jednym z tych tytanów, których tryumfujący Jowisz — z zapałem studjowałem wtedy mitologję, strącił z niebiosów i przywalił olbrzymiemi ciężarami gór... Kiedy chodził po ogrodzie, podczas zbliżającej się burzy, gdy stryjenka zamykała pospiesznie okna w całym domu, aby przeciąg piorunu nie wciągnął, a stryj Walery chował do szuflady biurka srebrny zegarek i klucze, — upatrywałem w tej obojętności pana Michała na zwisające po nad głową gromy — jakiś związek z jego „niewiarą w Boga". Sama niewiara ta przedstawiała mi się w formie buntu i uporu: grzmij tam sobie, ile ci się podoba, a ja ciebie nie uznaję. I starałem się odnaleźć w twarzy pana Michała ślad jakiejś walki i buntowniczej zaciekłości, ale była ona taka, jak zawsze; tak samo dziwnie nieruchoma, jakby zastygła.

Raz jeden widziałem tylko uniesienie pana

Michała. Podczas kolacji przyjechał ksiądz dziekan z sąsiedztwa i opowiadał o „cudownem ocaleniu“ cesarza Aleksandra III, (przy wymawianiu tych wyrazów uchylał birecika z głowy) z pociągu, który rozbił się. Mówił o tem długo i ciągle wracał: zauważyłem, że w ciągu opowiadania pan Michał raz i drugi zagwizdał, a kiedy wreszcie ksiądz wspomniał coś o tem, że prawdopodobnie był to wypadek, gdyż nie sądzi, aby i dziś byli jeszcze zbrodniarze tak zuchwali, pan Michał nagle na cały głos zwrócił się do Tychona, który kręcił się koło stołu: „pomóż mi wstać, głowa mnie rozbolała od trajkotania tego starego osła“.

Wszyscy oniemieli: nigdy w życiu nie widziałem tak bezgranicznie zdumionej twarzy, jak wtedy księdza dziekana: napił on się pospiesznie gorącej herbaty i musiał się strasznie oparzyć, gdyż poczerwieniał, oczy mu na wierzch wyszły; stryj Walery pochylił się i zaczął mu coś szeptać. Dziekan kręcił głową z wielkiego zdumienia: niedawno przeniesiono go w te strony, i prawdopodobnie pierwszy raz słyszał historję pana Michała. Na mnie zaś cały ten wypadek zrobił niezmiernie wielkie wrażenie. Fakt, że księdza, a więc osobę wszędzie i zawsze automatycznie już wystawiającą ręce do całowania i pojawiającą się w domu zwykle tylko w uroczystych wypadkach święconego, wesela, pogrzebu, można nazwać tak całkiem poprostu starym osłem, nabrał w moich oczach znaczenia całej rewolucji. Był to nieomal że większy akt zuchwalstwa, niż nie wierzyć w Boga i nie bać się jego pioru-

nów nawet podczas burzy. Okaleczały, schorowany pan Michał stawał się istotą wprost mitologiczną.

Wyjechaliśmy wkrótce z tych stron. Czas jakiś jeszcze wyobraźnia moja zajmowała się nieustannie osobą pana Michała. Stopniowo jednak brak absolutny związku pomiędzy tą postacią a całym składem i charakterem otaczającego mię życia, powlekał postać tę mgłą fantastyczną i oddalającą. Pan Michał stawał się czemś również nie-tutejszem, wyczytanem, niepewnem, jak bohaterowie powieści Maine-Reide'a i Aimarda. Wiadomość o jego śmierci była ostatnim głosem o nim z realnego świata. Potem już nie wspominał o nim nikt, nikt się nim nie interesował. Sądzę, że właśnie brak wszelkiego związku pomiędzy panem Michałem a resztą mojego życia i powstającemi w niem zainteresowaniami sprawił, że wspomnienie o nim pozostało nietknięte, jak coś obcego, wtrąconego przez przypadek do mojej pamięci. Nie wiązało się z niem nic, żadna z myśli rozbudzanych przez rzeczywiste, otaczające mię, współczesne mi życie nie nawiązywała się do tej nielicującej z niczem postaci. I w ten sposób przetrwała ona, zapomniana i przez to właśnie zmianom nie podległa. Wspominać znaczy to wiązać treść przeżytą z wypadkami i wrażeniami nowego, obecnego życia. Wspomnienia nasze rosną i zmieniają się wraz z nami. Pamięć tylko pozornie utrwala, właściwie zaś przetwarza nieustannie: wydarzenie czy osoba, stanowiące przedmiot wspomnień, są jakby rdzeniem tylko, jakby trwałą osią zmieniających się nieustannie krystalizacji. Życie

odrywa od nich atomy uczuć i myśli, zastępując je przez inne. Nasza przeszłość jest zawsze tylko teraźniejszością naszą. Wspomnienie o panu Michale było jakby kryształem, do innego świata należącym, żadne powinowactwo nie łączyło go z pozostałą treścią życia i myśli: tkwiło ono w mojej pamięci niedostrzegane na jej dnie, a myśli, uczucia przepływały nad niem, jak przepływają fale rzeki, nad wbitym w piasczyste łożysko złomem granitu. Rzecz dziwna—później nawet, kiedy już poznałem w rysach bardziej ścisłych charakter działalności N a r o d n e j w o l i, wiedza ta nie ożywiła wcale wspomnień o osobie pana Michała, nie zahaczyła o nie. Dopiero przypomnienie bezpośrednie wywołało pamięć o nim, pamięć całkiem konkretną, nie roztworzoną, nie przepracowaną przez myśl zamkniętą w sobie, wyłącznie niemal cielesną. Ż y c i e duchowe osób znanych nam wytwarzamy sami z zasobów własnego swego duchowego życia. Ale pan Michał pozostawał po za obrębem moich metamorfoz. To też gdy przypadkowe zetknięcie odgarnęło fale nie troszczących się o niego myśli i uczuć: wynurzył się on z pośród nich taki sam, jakim pogrążył go w nie przypadek pierwszego spotkania. Świadomość moja i wszystkie jej zdobycze pozostała tak dalece obcą temu wspomnieniu, że wysiłkiem woli tylko powiązać mogłem, i to powiązać całkiem zewnętrznie to, co teoretycznie wiedziałem o N a r o d o w o l c a c h z tym konkretnym, przechowywanym bez zmian obrazem pana Michała. Zarysowywał się on przede mną tak samo bez-

względnie inny, nieznany, niezrozumiały i groźny, jakim ukazał się moim dziecinnym oczom: złom zastygłej lawy na kwiecistej, spokojnej łące; pośród lękliwych, oswojonych przez życie i przygarbionych przez nie ludzi — opalony przez pioruny, zwyciężony lecz nieulękły, okaleczały lecz nieugięty tytan. Z pod opalonych powiek oczy jego wybiegały ponad nasze głowy gdzieś w kraj groźnych pobojowisk; wsłuchiwać się zdawał nieustannie, czy nie wstrząsa podziemny głuchy grom tem zaciszem lęku i małości, na którem wsparliśmy swoje życie.

Teraz rozumiałem już, dlaczego tak być musiało, dlaczego był on pośród nas całkowicie do innego świata należącym.

Zapragnąłem wiedzieć o nim więcej...

Tak nagle wystąpił on na tle mojej pamięci, chroniącej zjawiska nie znaczące nic i upokarzająco pozbawione treści, niby rdzawa plama, niby miecz czy szyszak, niespodzianie wśród domowego rupiecia odkryty.

Rodzina pana Michała była poniekąd i moją rodziną. To, co jednak różni jej pozostali przy życiu członkowie opowiadali mi o nim, było tylko różnorodnie załamanem w pojedyńczych niewspółwymiernych z istotą zjawiska umysłach uczuciem przestrachu, obcości, niechęci.

„Zruszczył się, mówili jedni, utracił grunt pod nogami, dla obcej niezrozumiałej sprawy poświęcił ojca, rodzinę. Ambitny był i zarozumiały, chciał przewodzić, gardził wszystkiem swojskiem... I krew

przelewał, krew: — zabójstwo jest zawsze zabójstwem".

„W Boga nie wierzył, siostrę swoję stryjeczną Olesię zgubił, z nim uciekła, „na wiarę" z nim „w komunie" żyła, sama prała, wodę nosiła, na fabryce podobno pracowała, jak prosta robotnica. I zmarniała dziewczyna. A taka była piękna, taka słodka, taka wykształcona, dobra... I taka patrjotka, opowiadała mi jedna z ciotek Oli — siwa jak gołąb staruszka: o wszystkiem zapomniała, i z nim poszła na nędzę, głód, poniewierkę. I dla kogo, po co? W Tule podobno, pomiędzy robotnikami ją aresztowali... Ją — kasztelańską wnuczkę. Dziada moskale na Syberji zamęczyli: a ona przecież tam poszła. A tak nienawidziła ich, tak się trzęsła i bladła, jak opowiadać jej było o Murawjewie, o Wilnie, o cytadeli, o Suworowie, o Pradze, Kilińskim".

Nie wiele więcej dowiedziałem się i od pana Walerego.

„Pojechał na uniwersytet. W gimnazjum uczył się dobrze, przyjeżdżał, mówił różne rzeczy, tak, jak to zwyczajnie młody na wakacjach. Nikt tam na to uwagi nie zwracał tak bardzo. Stryj tylko obruszał się i marszczył, kiedy mu nazwiskami jakichś tam liberałów czy jak tam rosyjskich sypał. Liberał — wiedzielimy dobrze, jaki jest Milutyn w Polsce liberalny. Liberał a rządzi się, choć wie przecież, że to rozbój i kradzież, ale jemu już całkiem głowę zatumanili. Mówi jeszcze stryj, albo ojciec mój... Ty jego choć wodą kolońską smaruj, on zawsze dziegciem śmierdzi, ale... Takiego ci nagadał, że

życie nie miłe: i chłop ci zaraz jest i wyzysk, i uciemiężenie szlacheckie. Stryj jeszcze...: z rządem się chłopi zwąchali, powstańców wiązali, zabijali. Ale nic. Tak się już w tem chamstwie rozkochał, że żadnych argumentów nie słuchał. I tak to już trwało z rok może. Już się nawet stryj nie cieszył kiedy przyjeżdżał. Pojechał, znikł. Poszukiwano go, — co kilka dni przez jakiś czas wpadali, otaczali dom, ogród: do góry nogami przewracali wszystko, — tak go szukali. Stryja Oktawjana w więzieniu trzymali, myśleli — ukrywa, musi wiedzieć. Sam gienerał z Kijowa prrzyjeżdżał. „Pan jako ojciec musi wiedzieć. Pod pana wpływem". Ale stryj tak grzecznie, jak to on umiał tylko, a spokojnie przerwał: „to ja właśnie cieszę się, że pana gienerała widzę, człowieka poważnego o dużem stanowisku, to pan może mi objaśnić zechce, dlaczego w szkole rządowej dzieci nasze wiarę tracą, dlaczego przesiąkają obcemi naszym narodowym tradycjom zasadami". Gienerał próbował gniewem wykręcić się, ale nieswojo mu było: już potem dano stryjowi Oktawjanowi pokój. Statysta on był, po najpierwszych salonach europejskich się obracał. W hotelu lambertowskim gościem bywał, Zygmunta Krasińskiego osobiście znał.

„I tak przeszło parę lat chyba. Aż tu nagle w jakąś noc — po cichu — zjawia się. Popłoch. Przez trzy dni wszyscy na palcach chodzili, odetchnąć głośniej nie śmiemy. Zamknęli się ze stryjem Oktawjanem w gabinecie — zrazu cicho, półgłosem

mówią, potem coraz głośniej. Nagle drzwi z trzaskiem się otworzyły — wypadł blady, do ogrodu wybiegł. Stryj dzwoni — wchodzę: — blady, jak ściana. Myśleliśmy — udar, odratowaliśmy jakoś. Przeszedł tydzień: — nowina: Olesi niema. List zostawiła, że do Michałka idzie z nim razem „pracować". Stryj Oktawjan w parę dni osiwiał. Jego opiece powierzona, jego syn. Co powiedzieć? Dla niego dalsza nawet krewna. Ciotki Emilji mojej matki siostry córka. Ciotka Emilja zagranicą wówczas była. Myślimy zawiadamiać, czy nie zawiadamiać? Może jeszcze odnajdzie się, opamięta się — wróci. Ale tu sama ciotka przyjeżdża; — już wie. Do samej siebie niepodobna, trzęsie się, — mówić nie może. Zamknęli się ze stryjem Oktawjanem — płaczą. Kilka miesięcy tak ciotka przemęczyła się: — przychodziły od Oli wiadomości, ale skąd, gdzie jest — niewiadomo. — Ciotka raz wybrała się do Kijowa. Ale jak tu szukać? strach, aby policji na ślad nie naprowadzić. Po tygodniu wróciła przybita, zmieniona jeszcze bardziej. Jakoż wkrótce i umarła. Przeszło kilka miesięcy — znowu! Teraz Olesi szukają. Gdzie, jak, o co — niewiadomo. W parę lat dopiero wiadomość przyszła: — w więzieniu umarła. Ale gdzie, w jakiem nie pamiętam. Stryj Oktawjan wtedy właśnie umierał. Męczył się, po całych nocach chodził, na głos gadał, płakał, włosy wydzierał, listy pisał do niego, do Michała, ale gdzie go szukać, gdzie posyłać. I umarł tak, i syna nie widział. Na chwilę przed śmiercią oczy otworzył, ręką zrobił ruch, jakby wołał: — ja na-

chylam się, a on tylko wyszeptać zdołał: Michaś, błogosławiąc. Majątek przed śmiercią aktem sprzedażnym, notarjalnym, mnie przekazał: „Znajdzie się może, czasy się zmienią — oddasz". A jemu wprost zostawiać nie można było. Wyrokiem sądów wszelkich praw pozbawiony: — cywilna śmierć. Zawiadomienie takie przychodziło. Przeszło parę lat, ani wieści. Nagle bęc... Jakoś o wiośnie, plucha była przeklęta, drogi rozchlapane — nie przejedziesz, wiadomości z miasta żadnej, ani listów, ani gazet: koni szkoda. Aż tu podczas obiadu isprawnik — sztywny, urzędowy. Proszę siadać, przekąsić — nie chce. Ważna sprawa mówi. Nad pańskim domem rozkazano nadzór rozciągnąć... Ja już staroście rozporządzenie dał: gdyby objawił się krewny pański, Michał, wiązać, wziąć pod straż, do mnie dostawić. Szanując uczucia rodzinne, panu tej funkcji nie powierzam, choć moglibyśmy żądać. Wobec obowiązku obywatelskiego, milknie głos serca". I dopiero dowiedziałem się, o co idzie. Było to po 13 marca 1881 roku. Nogi — powiadam ci, podemną się zatrzęsły: — przepadłem myślę: jego nie znajdą, mnie wezmą. Kogoś przecież wziąć muszą, samego ce-sa-rza przecież... Mówię, panie pułkowniku, pan przecież mnie zna, nigdzie nie wyjeżdżam, nikt u mnie nie bywa... Tak to tak, powiada... ja naturalnie o panu nic, a nad domem to już starosta opiekę weźmie. Myślę: źle. Powiadam, czy na pomnik składek niema? Ale on tak surowo spojrzał: nie warci wy mu pomnik stawiać, ręce jeszcze z krwi nie obeschły, a wy ze

składką... Struchlałem: toć nie my przecież, on — powiadam i nas pokrzywdził — weksel za ojca podpisem sfałszował — umyślnie już takiem powiedział, bo przecież trzeba było dowieść, że pomiędzy nami solidarności żadnej: majątku żeby nie ruszali, bo to placówka narodowa, forpoczta. — A jemu wszystko jedno: i tak zabójca, to cóż mu już tam marny weksel. — Trzy miesiące żyliśmy w strasznym niepokoju; no ale, jakoś nic, wreszcie spotykam isprawnika w lecie już — za granicę powiada zbiegł, ukrył się. Myślę, chwała Bogu: — nie wróci. Wie przecież, co go czeka. Chciałem mu nawet pieniędzy posłać — niechby już tam urządził się wygodnie, żył sobie. Ale to też niebezpieczna sprawa: myślę i myślę... jakby to zrobić? I tak znów parę lat przeszło. Znowu isprawnik nadjeżdża: „Krewny pański Michał w Petropawłowskiej twierdzy, w bezpiecznem miejscu, a jeżeli kto z rodziny, zobaczyć się z nim chce, to się nie wzbrania"... Mówi, a sam oczami świdruje. Ja powiadam — my go mało znamy, prawie że wcale nie, sympatji między nami nigdy nie było, to i spotkanie nieprzyjemne by być mogło, ale obowiązek chrześcijański pomóc każe, więc jeżeli pieniędzy potrzeba, to gotów jestem na ręce władzy. Sto rubli isprawnik wziął i wciąż powtarza: a widzieć się, jeżeli z rodziny kto chce, nie wzbrania się. Pułapka jawna, pocóżby z taką natarczywością mówił? powiadam więc: w każdej rodzinie zdarzają się nieszczęścia, najlepsze wychowanie nie pomoże. Litować się nad zbrodniarzami nawet Bóg rozka-

zał — ale Michał Kaniowski — ojca mojego, a swego stryja — był taki wypadek — ciężko obraził, siostrę moją cioteczną zgubił, więc właściwie obowiązek honoru, satysfakcji by szukać u niego kazał; ale teraz on już wszelkich praw pozbawiony, więc ja to już rozumiem, że on do honorowej rozprawy nie zdolny całkiem, to odpuszczam mu już swoją urazę, pieniędzmi pomoc okazuję — ale widzieć nie chcę... Isprawnik nawet za rękę mnie uścisnął: pozwól pan, że panu powinszuję takich uczuć, powiada. A ja widzę: udało się. Były podobno podejrzenia, że ta niby sprzedaż majątku pozór tylko jest, ale od tego czasu przestano dochodzić; i kawałek ziemi w polskich rękach został. Tak to dyplomatyzować potrzeba. Nie o mnie przecież chodziło: gdyby można, zaraz byłbym Michałowi majątek oddał. Mnie cudzego nie potrzeba, ale to przecież i narodowa własność. I żalu ja do Michała żadnego nie miałem: jawna rzecz, nienormalny on był, całe życie narwany, a może i całkiem fiksat. I sam widziałeś, później: na niczem mu u nas nie zbywało, pieniędzy brał, ile chciał: i wcale sporo ich czasami brał i dokądciś posyłał. A gdyby nie moja na ten czas polityka, to byliby go pewnie i do nas nie oddali, chociaż już za konającego mieli go i całkiem bez żadnej przytomności. No, wtenczas nie przychodziło mi nawet na myśl, że go oczy ludzkie żywym zobaczą: myślałem, męczyć zaczną, aby wydał co wie, i tak zamęczą bez sądu... Przeszedł czas: jest wiadomość: wyrokiem sądu na śmierć skazany, a w drodze łaski wyrok na katorgę wieczystą przemie-

niony. Koniec myślimy: przepadł już człowiek na zawsze, Adelińcia nawet uspokoiła się, w ciągłej enerwacji żyła. Ale nie koniec to był jeszcze. Jużeśmy i zapominać zaczęli o Michale, kiedy nagle przychodzi wezwanie z gubernji: chorego umysłowo Michała Kaniowskiego — na skutek prośby krewnego jego — takiego to: — moje nazwisko wymienione — oddaje się pod opiekę rodziny. Ja prośby nie podawałem: więc myślę — jawna sztuka policyjna, ale w pół godziny zajeżdża ekstra-pocztą jakaś pani w żałobie. Z początku nie bardzo jej dowierzałem; ale tak jej surowo z oczu patrzyło; całkiem mniszka, a o Michale z takim szacunkiem się odzywała i z takim żalem... To dawni przyjaciele Michała urządzili wszystko i prośbę moim nazwiskiem podpisali. Tak było trzeba — powiadała ta dama: gdyby się byli chcieli przyczepić, mógł się pan wyprzeć, a udało się, to i tem lepiej. Jakoż pojechałem: oddali go, ani ręką, ani nogą ruszyć nie może, nie mówi prawie, bełkoce coś — trup więcej, niż człowiek. Myślałem: w drodze skończy, ale dowiozłem jakoś. I powoli, powoli oprzytomniał, do siebie przyszedł. Przed władzami — isprawnik z początku często, później rzadziej najeżdżał, obłąkanego udawał, ale, jeżeli prawdę powiedzieć, to myślę, że i w rzeczy samej nie dobrze miał w głowie: sam z sobą po nocach rozmawiał na głos; posłuchasz pomyśleć by można, że dwie lub trzy osoby mówią. Albo jeszcze dziwny miał zwyczaj: stanie przy ścianie i puka w nią. Puka czasami dobrą godzinę. Pism i gazet sobie

nasprowadzał na moje imię: rosyjskich najwięcej; tych, co u nas polskich było, nie czytał prawie, jakieś świstki nieznane sobie wypisywał. Czytał i czytał, wypieków dostawał, klął głośno, ze złości gazetę czasem w strzępy darł, a spytać go o co, to powie coś tak dziwnego, że zrozumieć trudno: — krótko tak, urywkowo, zjadliwie. Męczył się bardzo: wyrzuty sumienia widać go gryzły: zawsze to przecież krew ludzka przelana, a i ojciec, Olesia. Z nami rozmawiać nie chciał, w starych papierach się grzebał, pisał coś. Papierzysków po nim masa została".

Bez trudu udało mi się przekonać pana Walerego, że przechowywanie tych papierów może być dla niego w tych czasach nawet niebezpieczne.

W ten sposób doszedłem do posiadania zapisek i notat pana Michała. Pomiędzy niemi znalazłem, ciągnący się po przez wiele zeszytów rękopis, stanowiący jedną całość — do pewnego stopnia pamiętnik, to znowu jakby opowieść, wrażenia osobiste, to znowu niby wizja z pewnym wysiłkiem artystycznym odtworzona.

Na luźnej kartce znalazłem ołówkiem pisaną uwagę:

„Odcięty jestem od życia. — Zetknięcie ze mną może być niebezpieczne i im żywszy człowiek, tem niebezpieczniejsze; nie wiem, co dzieje się w kraju: czuję pod piaskami krew i płomień. Ale piaski, piaski tłoczą wszystko grubą ławicą. Jeżeli dojdą kiedy te słowa"...

Tu zdanie się urywa.

I w innych rękopisach i papierach znalazłem wskazówki, że pisał p. Michał swoje wspomnienia z myślą, że one mogą być opublikowane.

Oddaję je do użytku publiczności.

Być może, uda mi się z czasem uzupełnić ten przez niego samego skreślony obraz ludzi, wydarzeń, uczuć: — wiadomościami o nim samym, z innych zaczerpniętemi źródeł.

I.

Na zgliszczach.

Chciałoby się nie myśleć o niczem, przedewszystkiem zaś nie przypominać. Zdawałoby się, że to nie trudno; raz na zawsze odwrócić myśl od tego, co nie wróci — oddać się wrażeniu chwili. Jest tyle rzeczy nie związanych z niczem, zwykłych. Jest tyle sposobów, czucia, widzenia, myślenia. Zdaje się, że od każdej chwili możnaby zacząć całkiem nowy rodzaj egzystencji. Przyjąć się takim, jakim się jest: i tyle. W pierwszych chwilach, w pierwszych dniach, wszystko sprawiało mi przyjemność. Patrzyłem głodnemi oczyma na zieleń trawy, upajałem się szumem drzew. Było mi nieskończenie dobrze: nie myślałem o niczem, przyglądałem się każdej rzeczy i cieszyłem się, że jest. Jest. Mniejsza o to, jakie znaczenie mają dla innych, żywych ludzi pewne jej właściwości. Jedne są im przyjemne, inne wstrętne i odrażające. Życie jest zawsze egoistyczne i jednostronne: ja miałem w sobie sprawiedliwość śmierci. Gdzieś kiedyś widziałem stary cmentarz. Tak stary, że nie było już na nim

ziemi innej, prócz tej, jaka tworzyła się z prochów umarłych. Zieleń na tym cmentarzu była nadzwyczajnie świeża i soczysta: w powietrzu brzmiał nieustannie szmer owadów, niby jakaś muzyka żyjąca. Rozlegała się wszędzie jednocześnie: w trawie, w powietrzu, brzmiał nią każdy ruch gałęzi czy listków, muskanych przez wiatr. Doznawało się tu wrażenia, że to szemrze życie samo, że to słyszy się jego puls, jego nieustanne drganie: że to dźwięczy i śpiewa samo rodzenie się i umieranie. Myślę, że gdyby cmentarz ten miał jakąś jedną, wielką, czującą duszę: czułaby ona taką nieustanną radość, że jest, jest każde źdźbło trawy, każdy owad. Tym umarłym, którzy tam zwolna stawali się trawą i rojem muszek, brzęczących w powietrzu i szmerem drzew, musiało się też niegdyś zdawać, że ważnem, znaczącem, dobrem jest tylko to, co jest w nich, a po za niemi jest obojętność i martwota. Teraz rodziła się z nich szersza, spokojniejsza mądrość. Tylko nie myślę, żeby im trawy i krzaki szeptały do mogił jakieś przypomnienia.

Było mi dobrze, dopóki nie zbudziła się pamięć.

A budziła się ona jakby ze wszystkich stron naraz, ciągle i niespodziewanie: tchnienie wiatru, muśnięcie gałęzi, która nagle zlewała twarz świeżą rosą, świegot ptaków o brzasku — wszystko to nagle wywlekało z duszy jakąś dawno utraconą chwilę, kiedy tak samo zieleniła się trawa, tak samo kwiliły ptaki.

I powstawała ta utracona, pogrzebana chwila, taka żywa, taka na nowo obecna, że słyszałem

głosy, czułem dotknięcie rąk, i pozostawałem bardziej opuszczony.

Nie było przed wspomnieniami ratunku!

Włóczyły się po wszystkich zakątkach myślenia i czucia, jak upiory w księżycową noc w opuszczonem zamczysku.

Na wszystko com widział patrzyć zacząłem umarłymi oczyma. Wszystko stało się tylko przypomnieniem.

Każda rzecz szeptać zdawała się: już nie.

Cisza stała się głosem pamięci:

Leżę bez ruchu, nie widzę nic, nie myślę o niczem naokoło ciemno i głucho, we mnie jest cicho, świat i dusza stały się jak próżna, rozwarta mogiła. Niema nic prócz tego czarnego czekania. I nagle przypominam sobie... Nie. To staje się samo przez się. Ta cisza staje się tamtą, dawniejszą, kiedyśmy wszyscy, porozdzielani poprzez więzienne ściany nasłuchiwali szmerów, aby pochwycić to ostatnie, cośmy od nich usłyszeć mieli... ich kroki, kiedy ich prowadzono na śmierć.

I budzę się, i wiem, że nie doczekam się j u ż nawet tych straszliwych ostatnich kroków, że t o już nawet zostało utracone. I staje mi się nagle tak drogą ta męka, że wydaje mi się najwyższem szczęściem, czekać z sercem, które bije jak dzwon w płomieniach, to znowu zastyga w lodową taflę, która słucha.

Wstaję, zbolałemi rękami dotykam znużonego ciała i wierzyć się nie chce, że to ja, ten sam, zmę-

czony, okaleczały, opalona, zwęglona głownia tułam się tu i że to wszystko było, było...

Zewsząd napływa rój spojrzeń, uśmiechają się do mnie pogaszone oczy; przechodzą przede mną, widzę ich drogie, natchnione twarze. Widzę, zrywam się i wiem, wiem krótką ostrą wiedzą, jaką się czuje chłód noża, wbitego w serce: oni gdzieś gniją w opuszczonych, podeptanych mogiłach, a ja się włóczę po świecie bezsilny trup, obciążony przekleństwem pamięci.

Modlę się do wszystkich rzeczy, błagając je, aby były inne.

Inne, nie te, jakiemi widziałem je w t e d y.

Przekonywam sam siebie bardzo logicznymi, niezwalczonymi sylogizmami, że żadna chwila nie powraca, nie powtarza się nigdy, że nigdy kąpiący się — nie zanurza się dwa razy w jedne i te same rzeczne fale. Ale dla mnie są one zawsze te same, ta sama trawa, to samo światło księżyca, te same promienie słońca.

Świat cały stał się wskrzesicielem upiorów.

Niema rzeczy, na którejby nie ciążyła przeszłość. Zapach kwiatów rozbrzmiewa nagle w duszy śmiechem Perowskiej, gałąź drzewa trąca mię i na ramieniu czuję ręce Żelabowa. Tę pajęczynę widziałem już kiedyś: tak samo trzepotała się i brzęczała w niej bezsilnie mucha: i nagle staje mi przed oczyma pomarszczona, brzydka twarz Klemensa, widzę dobrotliwie chytry uśmiech w siwych oczach, rozchylają się zwiędłe wargi, ukazując nierówne pożółkłe zęby. I nagle ściska serce najsroższy ból:

zamykam oczy, skulam się w sobie i proszę, proszę, jak dziecko: odejdź, odejdź Ola. I czuję jak kładzie mi na głowę rękę.

Ola, Ola!

Przez długie lata doprosić się nie mogłem pamięci, aby wywołała twój utracony cień, nie mogłem przywołać ani oczu twoich, ani drogich popielatych włosów. Wtedy przecież ja byłem magnat i stać mię było na łzy po przeszłości. Otaczała mię orla gromadka, mieliśmy ręce jeszcze pełne piorunów i w sercach ogień i było nas wielu. Ola, dziś nie przychodź. Ten Michał, twój Michał dawniejszy, Miszuk-Niewidimka umarł, zginął, jego już niema.

I proszę, i błagam i łzami krwawemi się modlę.

Po co mi księżyc świeci do mogiły?

I po co pada wonny róży liść?

Po co słowika śpiew umarłe budzi serce?...

Odejdź, Ola. I nie przychodź, nie przychodź... Wiem, że znikniesz. A kiedy patrzysz, to twoje oczy mówią tylko: „niema". To jedno już tylko umieją mówić — twoje miękke, twoje aksamitne oczy.

A one były blaskiem, po przez który świeciły dla mnie i słońca i gwiazdy, a teraz patrzy na mnie z nich śmierć i mogiła, pustka czarna pamięci: niema! niema!

Po spalonym lecie pozostałem nadwęglony, wpół spróchniały pień: z martwego cielska wyrósł pęk bladych zielonych, listeczków. Są chore, nikłe, ale są, ale szumią: śni się umarłemu drze-

wu o dębach wiekowych, o sosnach pachnących, o srebrnopiennych brzozach: śnią mu się burze i wichry, orłów krzyk pod czarnemi chmurami.

Zerwijcie zieleń, ogień podłóżcie i popiół przeorzcie.

I niech przyjdą kruki, by zaśpiewać tę jedyną tę ostatnią pieśń:

że zastygły już serca płonące,
że zagasły oczy widzące,
że mężnych mogiły już w ziemię wdeptane
że łąki kwieciste przez śmierć zaorane

Że tylko śmierć patrzy pustką oczodołów:

Rosły dęby rosły
w niebiosa sięgały,
dumnemi czołami,
gromom urągały.

Przyszła śmierć mocarka.
W pług zaprzęgła woły,
Woły czarne ślepe,
W ciężki pług przeznaczeń:
Kędy one przejdą,
Tam już step zwęglony,
Czarny, pusty, bez końca,
Tam już tylko pamięci
Męka nie milknąca.

*

Jestem przecież w domu, gdzie żyłem wraz z tobą, Ola! Widuję codzień ludzi, którzy ciebie znali, z którymi ty rozmawiałaś. Otaczają mnie sprzęty i ściany, które pamiętać powinny brzmienie twojego głosu, szelest i dotknięcie twoich sukien — a to wszystko nie przypomina mi nic.

Myślę, że to moja świadomość czuwa z tej strony, przygotowana jest do napaści i rozstawiła straże.

Wspomnienia podchodzą znienacka: nie słyszę, nie czuję ich zbliżania się, a oto już są koło mnie, już spoczęła na oczach twoja ręka.

O zawrzyj je.

Tak dobrze byłoby skonać.

A kiedy będę umierał: rozewrze się pamięć jak szereg niezamieszkałych pokojów, pusta, chłodna, milcząca.

Nic... nic...

Patrzą stare sprzęty i milczą...

Na dworze słota jesienna, długa słota.

Zamknąłem się w starej połowie domu. Znam tu każdy mebel, każdy kąt: mógłbym po ciemku, omackiem trafić do każdej potrzebnej mi rzeczy.

Deszcz chlupie o szyby, od czasu do czasu uderzy o nie gałąź drzewa. Stary ogród rozrósł się i wybujał: zaglądają do mnie stare przyjaciółki — lipy, topole, brzozy płaczące. Patrzą. Kiwają żałośnie swemi bezlistnemi gałęźmi. Pamiętają małego Michasia o jasnej kędzierzawej główce i niebieskich oczach, widzą teraz nagi, poraniony czerep, cały w zmarszczkach i bliznach.

Deszcz pluszcze i płacze, a stare drzewa stukają w szyby, pytając:

Co z tobą? co z tobą? gdzieś ty był? gdzieś ty był?

Myśmy tu stały latem i zimą w pogodę i słotę, patrzyłyśmy w okna, nasze gałęzie stukały, stukały— biły o szyby, kiedy tutaj umierał stary, siwy pan.

Gdzieżeś ty był, gdzieżeś był ty samotny, dziwny człowieku?

Chyli się na ręce goły łeb, duszą łzy, pierś rozdziera łkanie.

A deszcz pluszcze, pluszcze.

A gałęzie do okien patrzą i dziwią się: jak dziecko płacze, jak dziecko szlocha — stary człowiek, dziwny człowiek — Miszuk Niewidimka.

2.

Ho ho! Jaki ty pan, jaki ty pan, jaki magnat — stary, łysy Miszuk!

Magnat ty bogacz, szczęśliwy człowiek! Swego szczęścia nie znał, o niem nie wiedział!

Przyszli dobrzy ludzie i powiedzieli, dobrzy ludzie przyszli, pocieszyli.

Dobrzy ludzie serca mają czułe, — oni wiedzą: ciężko żyć z ojcowskim gniewem, z ojcowskim gniewem, co się nie odmieni, bo przywaliła go czarna, głucha ziemia.

Dobrzy ludzie myślą, ciężko wspominać w noce, kiedy stare drzewa pukają o szyby, jak się rozstawało na wieki, na odwiecznie głuche nigdy nie

spotkanie z tą parą rąk ojcowskich, ciepłych, miękkich, z parą oczu, co ze ściany patrzą z portretu, a siwą jasną głową, co w samotne noce tyle czarnych, trujących przemyślała myśli.

Ty — Miszuk wielki, możny pan. Tyś myślał, że ono się ścięło, stwardniało w kamień w gorzkim, nieubłaganym gniewie, to stare, to zmęczone, to, co już nie bije — serce ojcowskie.

Nieprawdaż Miszuk takeś myślał: — to ci ciążyło.

Bo i jakże! Przeciw woli ojca poszedł, ojca zagniewał!

Dobrzy ludzie cię, Miszuk, pocieszyli. Dobrzy ludzie, Miszuk, miękkie mają serca.

Ty się ciesz, Miszuk, ciesz się.

On płakał — słyszysz? On tu chodził, chodził; noce całe chodził, ręce łamał. Deszcz pluskał, gałęzie stukały: — on myślał, że to ty, że to tak, jak wtedy: — w tę noc.

On biegł do drzwi otwierać i z gołą głową stał w nocy na wietrze, na deszczu i w czarną noc wołał: Michaś, Michaś.

Ho ho! Miszuk, jaki ty bogaty! Tobie dobrzy ludzie teraz opowiedzieli, jaki ty masz skarb.

Skarb nie byle jaki!

Wiesz ty, ile lat trwa noc bezsenna, noc na czekaniu spędzona, kiedy się czeka, na coś, co nie przyjdzie.

Ty to wiesz, ty to wiesz, Miszuk.

Ty i czarne noce, to jakby rodzeństwo.

A wiesz, — ty, ile w taką noc można łez wypłakać?

A każda łza była ciężka, bo płakało nią stare, męskie serce.

A spadała na siwe, srebrne wąsy, ciekła po nich.

Miszuk, Miszuk, — tobie darowali tyle łez ojcowskich.

A każdą łzą można się otruć na wieki.

3.

Stare drzewa szumią, szumią, szumią.

Deszcz o szyby bije, niby łzy.

Cicho... stary zegar szepce, chrapie, stęka.

Napracował się on: — nie byle co on mierzył. Mierzył noce, kiedy na wielkiem łożu konał stary pan. Stary pan umierał, a wciąż nasłuchiwał:

Podejdzie do okna, zapuka. Stary słuch może zawieść, może niedosłyszyć.

Zrywał się, siadał na łóżku i słuchał, słuchał: a zegar: cyk, cyk... mierzył. Mierzył krótkie, szybkie, ostatnie już chwile. Stare serce cicho kołatało.

Jeszcze, jeszcze: — nadejdzie, zobaczy, usłyszy — powiem mu.

Cyk... cyk... syczał zegar.

Nie wraca, nie wraca nic, nic... Nie wraca, nie wraca nikt, nikt...

Deszcz o szyby chlupał, gałęzie stukały; i mijały chwile: — jedna za drugą — szybkie nieubłagane.

A każda, kiedy nadchodziła, to mówiła: jeszcze, a kiedy mijała, to szeptała: już nie, już nie.

Już nie, już nie — syczał zegar.

A wreszcie przyszła chwila i szepnęła: nigdy, spadła na oczy noc, a na myśli kamień.

Stare serce jeszcze tylko zaszeptało: Michaś błogosła...

Oj bogacz, ty — bogacz — Miszuk Niewidimka. Dobrzy ludzie ci podarowali skarb.

4.

I o czem ty tu, staruszku — w długie noce myślał? Coś zrozumiał, po czemeś tak płakał? Czy płakało w tobie tylko stare, ojcowskie serce? Czy łamała się duma rodowa? Czyś ty tylko mnie tak opłakiwał, czy z przeszłością całą się żegnał? I cóżeś ty chciał mi powiedzieć, gdybym przyszedł? I kogóżeś ty wołał, kogoś czekał? Michasia Kaniowskiego, swojego Michasia, któregoś na kolana brał, gdyś mu w długie wieczory opowiadał, jak się ojcowie i praojcowie twoi rąbali z Niemcami, Szwedami, Turkami. A gdzieżbyś ty tego Michasia po świecie szukał? To wszystko pogrzebane w jednym starym, wielkim grobie. A otwierać go nie trzeba. Słyszysz staruszku: nie trzeba. Tak samo ci powiadam, jak i wtedy. Co umarło, nie wstanie, i d o b r z e, że nie wstanie, słyszysz dobrze. Bo, gdyby powstały trupy, odkryłbyś jeszcze na czołach, odartych z ciała słowo: h a ń b a. I ten Michaś, co po zdrajcach, ciemiężcach płakał, co tęsknił do

nich, umarł, umarł razem z nimi. Jego Miszuk sobie z sercem wydarł i tam cisnął do wspólnej mogiły. A cóżbyśmy mogli sobie powiedzieć ty i j a — ja, Miszuk, człowiek co tyle miał nazwisk, że nie wie, które jest jego. I żal mi ciebie staruszku, i twojego Michasia żal. Teraz mógłbym już was pożałować, nad wami popłakać. Do niczego innego jużem się nie zdał?

Staję przed twoim portretem i patrzę w twoje oczy. Patrzę w twoje oczy i myślę, odgadnąć usiłuję, z jaką tyś się duszą kładł do grobu? Komużeś ty błogosławieństwo swoje przekazywał? Kogo widzieć chciał: Michasia, co zbłądził, zbłąkał się, w wir wpadł: czy też mnie — Miszuka?

Mnie?

To widzisz, staruszku, teraz ja z tobą mówić mogę.

Michasia niema. Miszuka niema — obaj oni są już pogrzebani. Teraz staję przed tobą, taki sam, jak ty stary, jak ty zmęczony, jak ty opuszczony.

Teraz może my by się i porozumieli. Ale z tamtym, z Miszukiem, o czembyś ty gadał. I chociażby on zrozumiał twój stary ból ojcowski i chociażby samemu w piersi serce tak, jak pies, szczekało, ostrym zębem rwało piersi, nie ustąpił by ci on, ani jednego słowa, ani w ostatnią twoją godzinę na pociechę twoją wiary by swojej się nie wyrzekł. O czemby wy z sobą mówić mogli? My ludzie starzy, ludzie, co wszystko swoje potracili, pogrzebali: my już nie znamy żadnych walk, żadnych idei, o tem, — niech już inni, niechaj żywi myślą.

A nam wolno o smutkach swoich, opuszczeniach i sieroctwach porozmawiać.

Tylko jakaż to będzie rozmowa...

Gdybyś ty żył, staruszku, wziąłbym ja twoje ręce, i położył na swoją łysą głowę: i zrozumiałbyś, że Michasia już niema i Miszuka już niema, a jest już niepotrzebna pamięć o tem, jak kiedyś żywi ludzie żyli, jak sobie zatrutemi, ostremi słowami serca szarpali.

I nagadaliśmy sobie tych słów trujących.

Tylko ty nie myśl, że ja tobie oddam Miszuka, i że ja się go dla ciebie wyrzeknę, dla tego tylko, żeś ty synka miał Michasia o jasnej główce, i żeś ty po nim w długie bezsenne noce płakał.

Ty biedny i ja biedny, a Miszuka ja tobie nie oddam.

I to bym tylko wiedzieć chciał, czy do Miszuka ty, czy do Michasia wyciągał ręce.

Ale myślę, skądże by do Miszuka, co ty wiedzieć mógł o nim wnuk kasztelański?

A ty myślisz może, że ja tu przyszedłem tobie słuszność przyznać, że ja do ciebie wracam zbłąkany Michałek, przepraszać, za to wszystko, co Miszuk nabroił, że ja do starych wspomnień odbywać będę pokutniczą pielgrzymkę.

A jeżeli ty tak myślisz, staruszku, to ty Miszuka nie znasz: nie znasz ty serca jego: i Miszukowej nowej, mocnej, wiary. A Miszukowa wiara jest mocna, bo ona jest jak czarna ziemia tak szeroka, bo ona z niej wyrosła, a tyś myślał, że Miszuk ją wyczytał z nowomodnych, złych książek.

I patrzysz ty na mnie i uśmiechasz się, po swojemu mądrze, pańsko.

Mówisz: I cóż? Myśli twoje uśmiechają się: i cóż? dużo wywalczyli? szubienicę, katorgę, wieczne więzienie.

Siebie zgubił, Olę zgubił, a przyjaciół twoich rozszarpały już kruki i wrony, albo gniją oni za więziennym murem.

I nie będę ci mówił, że mi Miszuka nie żal. I Oli mi żal, i druhów — przyjaciół: — orłów i sokołów.

Tylko to ci powiem, że gdyby ode mnie zależało wszystko wrócić, to ja kaleka, ja nawpół trup powiedziałbym jeszcze raz: — tak trzeba. Tyle jeszcze we mnie z Miszuka pozostało.

Wziąłbym ja gazetę, zaczął ci staruszku, czytać, co robią twoje hetmańskie, kasztelańskie wnuki — jak łaszą się, jak się korzą... A na Miszuka ty mi nic nie powiadaj.

Patrzysz na mnie ze ściany i pytasz mądrymi oczyma: dla czego?

A ja siedzę przed tobą i myślę, że był czas, kiedy umiałbym na to pytanie odpowiedzieć, — Miszuk odpowiedziałby ci: on wiedział, jakto i dlaczego wszystko to być musiało.

A czegóż ty więcej odemnie chcesz.

Co mi pozostało? pytasz.

— Umierać, staruszku, umierać.

5.

Śnieg poprzysypywał wszystko: wyjrzeć po przez okno, wszędzie biała, równa płachta. I nic...

Puste uliczki ogrodu, drzewa zwieszają nad niemi gałęzie. Nikt nie idzie przez ogród, nikt nie przyjdzie już do mnie, tylko śmierć. Śnieg poprzysypywał mogiły: — żaden głos nie odpowiada krukom i wronom.

Stary Tychon zapalił na kominku ogień.

Z trzaskiem pali się drzewo. Przymykam oczy i śnią się, i śnią się sny bez końca.

A wszystko to było, było. A nie wróci nigdy z tego nic.

Zamykam oczy i nie myślę. I wiem, że kiedy je otworzę, ujrzę przed sobą to samo:

Tam na stoliku leży zwitek papierów. Ta ręka, która je pisała, dawno w jakimś nieznanym śpi grobie.

Wiem, że będę szczęśliwy, jak król, jak bóg, kiedy będę czytać, gdy przemówi ona do mnie z tych, wyblakłym atramentem zapisanych kartek.

Ale wiem, że głos zamilknie i zostanę sam.

Tęsknota! Tęsknota.

Nie dobrze jest mieć przyjaciół w mogiłach, jak niedobrze...

Tyle słów miłości było w sercu, a ja wam ich nie wypowiedziałem nigdy, kiedyście jeszcze byli żywi.

Teraz to wszystko się budzi.

Wyciągam do was ręce, serce samo szepce coś, uśmiecha się do was, płacze.

— Ogień tylko trzeszczy na kominku.

A za oknem cicho... śnieg i śnieg.

Stare gałęzie pochyliły się nad uliczką — a po uliczce nie przyjdzie tu już do mnie nikt.

* * *

Teraz już wiem, Oleńko, co mi zostało: siądę tu sobie, będę wspominać... Chodzą po starej pamięci drogie cienie, jak duchy w księżycową noc...

Złorzeczą wam i urągają, błotem obrzucają wasze mogiły, płatne pismaki żnęcają się nad waszymi imionami. Stary Miszuk ten by was bronił inaczej, a ten, co jest, nic nie może, tylko wspominać, wspominać.

Siądę tu sobie przed kominkiem i opowiem tobie Oleńka, tobie staruszku, samemu sobie: co było, jak było, jak się orle serca łamały, zmagały, jak je chłonęła noc... A twoich kartek Oleńka, nie dam, nie oddam nikomu: z sobą je wezmę do trumny. Wiem, że umarłym jest wszystko jedno, ale umierającym potrzeba pocieszenia...

A ja taki sam jestem, taki opuszczony, taki sam...

Taki sam ze swoją pamięcią, niby z opuszczonym domem, po którym włóczą się pogrzebane, umęczone cienie...

* * *

II.

Sielskie-anielskie.

1.

Pamiętam jasny wiosenny dzień. Ziemia miękko uginała się pod kopytami koni. Szły one tuż obok siebie, tak, że co chwila ocieraliśmy się o siebie noga o nogę. Po obu stronach wązkiej dróżki były zarośnięte krzakami i powyginanemi w dziwaczne kształty drzewami jary. Na ich dnie szemrały strumienie. Woda ściekała tysiącami srebrnych języczków i żyłek i napełniała powietrze jakby stłumionym swym metalicznym śpiewem. Od czasu do czasu wpadał w tę płynną muzykę przeraźliwy ostry głos jakiegoś ptaka. Po błękitnem niebie płynęły białe obłoki. Było nam dobrze, i nie chciało się mówić.

Wracając jednak do starych nawyknień, zacząłem: tu dobrze byłoby urządzić zasadzkę.

Adaś spojrzał na mnie jakby zdumiony. Potem zaś rzekł: — skąd znowu, — z jaru byłoby się ciężko wydobywać.

Potem popędził konia. Od wczorajszego wieczora nie zdołaliśmy się jeszcze z nim rozmówić.

Odstąpiłem mu lepszego wierzchowca i teraz ciężko mi było go dopędzić.

Zwolna i my i konie podniecaliśmy się tą gonitwą i tak pędziliśmy po ścieżynce chłostani przez bezlistne gałęzie. Wreszcie Adaś zatrzymał konie i skoczył na ziemię: tu wpadał do jaru z łoskotem strumień, unosząc w swym biegu olbrzymie spróchniałe kłody drzewa.

Kiedym nadjechał, Adaś już siedział na pniaku.

Zeskoczyłem z konia.

Ty wciąż o tem samem jeszcze myślisz? — rzekł.

Zdziwiłem się, gdyż w tej samej chwili poczułem, że spodziewałem się tego pytania. Jednocześnie poczułem także, że nie wrócimy już do dawnych rozmów.

Dramatyzująca wyobraźnia usiłowała już zaklasyfikować sytuację. Co to będzie właściwie: rozłam wewnętrzny pomiędzy dwoma przyjaciółmi, zwątpienie...

Było bowiem dla nas obu od roku wiadomą już rzeczą, że odegramy wielką rolę.

Mazzini i Garibaldi.

Nie mogliśmy tylko w marzeniach nawet zdecydować, komu z nas przypadnie rola wodza a komu spiskowca.

Zresztą nie mówiliśmy z sobą o tem wyraźnie.

Byłto pomiędzy nami pewien rodzaj uczuciowej gry. Bez żadnych umów nie mąciliśmy jeden drugiemu tonu.

Ale Adaś był zawsze bardziej skupiony w sobie i zamknięty. I nieraz już myślałem jak na polu

bitwy po wielkiem zwycięstwie ja tryumfujący krwią wrogów i miłością ludu okryty wódz, chylę głowę przed nim, samotnym i nieznanym mistrzem. Przed człowiekiem, życie którego będzie: samotność i wieczna tajemnica...

Niedługo potem umrze on. Lub stanie się to nawet przed zwycięstwem. I wtedy ja poprowadzę tłumy na mogiłę, rzucę na nią swój wieniec dębowy i krwawy miecz: ecce victor.

Ileż to razy już słyszałem naokoło siebie ryk armat, szczęk broni, świst kul i wołanie tłumu. Marzyły mi się jakieś olbrzymie, bajeczne równiny, na których ścierały się nieprawdopodobne tłumy zbrojnych...

Mój kasztan niósł mnie już nieraz wśród pól brzęczących pochylonymi kłosami, jak gdyby wśród rozstępujących się przed wyzwolicielem tłumów.

Wiedziałem dobrze, że Adaś żyje w podobnym świecie. Słowa nasze poznawały się bez trudu jak bliźnięta w jednej i tej samej zrodzone godzinie.

Nie widziałem Adasia pół roku.

Miał on wtedy ośmnaście lat, starszy odemnie o kilka miesięcy. Dawnośmy się nie widzieli, rzekł.

Wydało mi się to jakimś uroczystym wstępem.

Czas wykopuje przepaści prędzej niż się je dostrzega... Usiłowałem odgadnąć, co nastąpi i szukałem tonu.

W końcu zaś powiedział mi: czyś dowiedział się czego?

Byliśmy przekonani zawsze, że muszą już naokoło nas być elementy spisku, gotowa i potężna

organizacja. Nie mogliśmy sobie wytłomaczyć inaczej tej ciszy i spokoju. Tyle krwi przelanej, tyle upokorzeń: i nic. Milczenie i spokój. W tem musi coś być. Jest to groźny spokój przed burzą. I przyglądaliśmy się bacznie spotykanym ludziom. Ten coś ukrywa — myśleliśmy. I nieraz już wyznaczaliśmy znajomym naszym role, o jakich się im nie śniło.

Księdza Kuleszę podejrzywaliśmy wręcz o najgroźniejsze zamiary.

Adaś nawet twierdził: że ma on żołnierskie ruchy.

To będzie Mackiewicz, zadecydowaliśmy.

Byłem przykro zdumiony raz o późnym wieczorze zaskoczywszy w całkiem niedwuznacznej pozycyi naszego Mackiewicza z piękną Ołeną, żoną stangreta Mikołaja...

Czy może powstaniec uwodzić córki ludu...

Czas jakiś nawet układaliśmy krwawy dramat.

Co dzieje się w duszy Mikołaja. Jaki bunt, jaki głuchy gniew?

Raz jednak usłyszeliśmy, jak wołał po pijanemu: jak cej ksiądz mnie nie da tutoczki zaraz karbowańca, to ja jemu; — ja drogę do dziekana znaju...

I w kilka chwil potem widzieliśmy, jak mający żołnierskie ruchy ksiądz, bił białą ręką raz po razie w twarz wyższego od siebie o głowę Mikołaja.

Głowa Mikołaja chwiała się po każdem uderzeniu, a on sam chwytał się księżych ramion i usiłował księdza pocałować w łokieć.

Wypadek ten na jakiś czas zmienił nasz bieg myśli. Była w nim bowiem jeszcze jedna osoba interesująca, Ołena.

Jak ona może? Gdy kocha księdza, jak może żyć z mężem?

Kobiety wszystkie są takie, — zadecydował Adaś. Ja jestem przekonany, dodał, że w gruncie rzeczy one wszystkie myślą o rozpuście.

Tajemnice kobiecej duszy zajmować nas zaczęły w sposób całkiem groźny dla politycznych planów.

Czy wiesz, rzekł Adaś, że są kobiety, które można kupić?

Czytałem o tem u Szekspira. Scena, w której porwana dziewczyna dowiaduje się, że wystawiona jest na sprzedaż, robiła na mnie zawsze dziwne wrażenie.

One to czynią wbrew własnej woli...

Aha, wierz im — tam, rzekł Adaś. Ja jestem przekonany, że Bourienka się dziwi, dlaczego ty jej nie zaczepiasz.

Bourienka była guwernantką mojej kuzynki Oli.

Zaczerwieniłem się... Bąknąłem coś, że my nie powinniśmy myśleć o kobietach. Życie nasze musi przejść bez miłości i szczęścia.

Tak, rzekł Adaś, ale nie można tłumić w sobie namiętności. Namiętność to siła. Zresztą nieraz w obozie powstańców obowiązki adjutantów pełnią młode, zakochane w dowódcy panny.

W rozmowach naszych temat ten zaczął powracać coraz częściej...

Raz w nocy Adaś zapytał: — słuchaj, co byś uczynił, gdybyś wziął do niewoli córkę wroga, jakiegoś wielkiego zbrodniarza.

Zapiekło mnie to; takie myśli przychodziły już mi nieraz.

Tych wakacyj odprowadzałem Adasia do Krasnego.

Zmienialiśmy tam konie i popasali.

Potem Adaś miał jechać dalej, ja zaś popasłszy konie wracać do domu.

Podczas obiadu wypiliśmy butelkę starego miodu, włożoną nam do koszałki przez Tychona.

Adaś po obiedzie kazał podać kawę i koniak. Wniosła nam to wszystko na tacy młoda dziewczyna o smagłej twarzy i czarnych oczach. Oczy jej nie patrzyły na nas, ale kąciki ust lekko drżały jakby w powstrzymywanym uśmiechu. Ubrana była w biały kaftanik. Gdy stawiała tacę na stół, ręka jej i pierś otarły się niemal o twarz Adasia. Na twarz jego wystąpiły płomienie.

Gdy dziewczyna wyszła, Adaś zwrócił się do mnie: ty wiesz, rzekł, jestem pewien, że ona jest t a k a?

Po obiedzie Adaś odjechał. Mieliśmy jeszcze zostać z godzinę.

Leżałem na brudnej kanapce w zajezdnym pokoju; palący niepokój ogarnął mnie. Było duszno. Zasnąłem męczącym snem. Obudził mnie jakiś szmer. Otworzyłem oczy: to dziewczyna sprzątała ze stołu...

Jak się nazywasz? — spytałem. — Bejła — odpowiedziała i zaczerwieniła się...

Wstałem z kanapy i drżąc na myśl o własnem zuchwalstwie, położyłem swą rękę na jej plecach.

Dziewczyna stała bez ruchu. Plecy jej lekko drżały pod moją dłonią. Po chwili odwróciła się i oczy jej spojrzały na mnie jakby z drwiącą zachętą i wyzwaniem.

Nie wiedząc, co czynię objąłem ją i zacząłem całować. Nie opierała się, nagle wyśliznęła się z moich rąk. We drzwiach stał Spirydjon, furman.

Nie możemy jechać paniczu, trzeba zanocować: siwka zakulała...

Jakaś dzika radość i strach ścisnęły mi serce.

Czułem, że to zrobię.

Kupię sobie tę dziewczynę i będę ją miał.

W tej właśnie formie skrystalizowała się we mnie ta myśl. Czułem rozkosz w samem przeświadczeniu, że można kupić, mieć jak rzecz, to młode, tajemnicze, kobiece ciało. Do mnie będą należały jej usta, jej piersi, cała drżąca, giętka postać.

Jednocześnie czułem podłość tego wszystkiego...

Wybiegłem z pokoju.

Miasteczko było małe i błotniste.

Na rynku przechadzało się kilku żydów. Jeden z nich spostrzegłszy nieznajomego przystąpił z chytrą miną...

Panu dobrodziejowi czego nie potrzeba...

Zaprzeczyłem.

Może tytoniu?

Nie.

Zniżył głos: może ładnej dziewczyny? Mam bardzo porządne dziewczęta...

Nic mi nie potrzeba...

Jak to może być nic nie potrzeba? Taki młody

pan? Jak to może być? Ona jest całkiem porządna dziewczyna.

Z wielkim trudem oswobodziłem się od niego.

Wybiegłem za miasto i wydostałem się na jakieś wzgórze i usiadłem.

Cóż to jest — myślałem? Więc to tak jawnie i systematycznie? Kobiece ciało jest rzecz, którą się nabywa, sprzedaje? Przed chwilą mogłem sobie kupić dziewczynę, której nie widziałem na oczy. I była obowiązana mnie całować, pieścić.

Cóż się dzieje z duszami tych kobiet? Czy one mają dusze? Czy one czują, że są tylko rzeczą. A może one istotnie to lubią. Bejła przecież zaczepiała mnie sama? Cóż to jest kobieta?

Przechodziła przedemną galerya znanych mi postaci, pań z sąsiedztwa.

Czy i one są takie?

Są inne, czy dlatego tylko, że nie ułożyło się im tak życie.

Czy taka pani Henryetta może kochać swojego męża? A przecież ma dzieci. Więc on ze swoim brzuchem, ze swoim czerwonym nosem. Widziałem obraz tak potworny i wstrętny, że dławiłem się z obrzydzenia. A jednocześnie było coś słodkiego w tem wpatrywaniu się wewnętrznem w bezgraniczne upokorzenie pięknej pani. Pani Henryetta była naszą pięknością prowincyonalną. Na wieczorkach tańcujących i przyjęciach modliłem się nieraz do jej cudownego wdzięku. Drżałem ze strachu, że zauważy ten mój dziecinny podziw. Teraz upajałem się zatrutą myślą. Twój mąż pijanica i karciarz,

może zrobić każdej chwili z tobą to, co ja zrobię dziś z Bejłą. Zrobię. Było to już we mnie postanowione. Kiedy tak jest, jak jest, trzeba wyciągnąć swoje wnioski. Czułem głęboką mściwą wzgardę dla kobiety. I jednocześnie myślałem, czy Adaś przeżywa też sam z sobą takie duszne, piekące chwile. Co dzieje się w duszy człowieka. I co to wszystko jest? Patrzyłem oszołomionymi oczami na brudne miasteczko. Gnieżdżą się w błocie setki ludzi. Biorą się gdzieś po brudnych kątach i piwnicach, płodzą dzieci. Więc to jest życie? A potem przychodzi chwila, gdy zamykają na wieki oczy i wtedy ciska się ich w ziemię, na pożarcie robakom. I tak wszystko się kończy. I tak będzie ze mną. Zakopią mnie poprostu w ziemi, zamkną w drewnianej skrzynce. A nad moją głową, będzie to samo, to samo bez końca.

Poczułem rozpacz, jakiej nie znałem nigdy przedtem. Silny, przeszywający bunt przeciwko śmierci.

Słyszycie! Ja nie chcę, aby to było? Ja nie chcę, aby przyszła ta chwila gdy będę już leżał trup — w czarnej ziemi. Nie chcę! Nie chcę...

W kościele zaczęto dzwonić.

Roześmiałem się...

Nieśmiertelna dusza, zbawienie, sąd, — cha, cha, cha.

Chciałbym pójść do kościoła krzyknąć: kłamstwo!

Kłamstwo to wszystko: — obrazy, dzwony, sakramenty.

A jednocześnie obracał mi się w sercu tępy nóż.

I cóż z tego? I cóż z tego. Czy przez to nie umrzesz? Czy przez to przezwyciężysz śmierć.

Nienawidziłem życia w tej chwili.

Po co urodziłem się, aby teraz żyć i czekać na tę straszną rzecz, która się stać musi?

Po co j a jestem?

Nie było mnie, a teraz jestem i męczę się i będę się tak męczył bez końca; jak robak wbity na szpilkę. I niema ratunku, niema nadziei.

Ona jest już i czeka na mnie, śmierć.

Będę leżał na cmentarzu w ziemi.

Nie ucieknę od tego obrzydzenia, zawsze przyjdzie to samo: skostnienie, martwota i rozkład.

I tak jest z każdym.

W tej chwili zapomniałem o Bejle, kobietach, zapomniałem, że, mamy stoczyć walkę z wrogiem, knuć spiski...

Po co? Po co? Jestem przecież sam, nędzny, drżący wobec śmierci, która mnie schłonie, rzucony na pożarcie ziemi, kłębiącym się w niej czerwiom.

Taki sam jestem, taki sam.

Z poprzetrącanemi kośćmi, rozbity — dowlokłem się do mieszkania.

Było już późno. Podano mi kolacyę. Zażądałem wódki, wypiłem dwa czy trzy kieliszki. Bejły nie było widać.

Pokój był duszny i brudny. Przez otwarte na zanieczyszczony rynek wychodzące okna, nie wpływało żadne świeże tchnienie. Jałowa nuda kładła

się na piersi. Pod wpływem wódki w głowie migotały jakieś strzępy myśli.

Tutaj więc schodzi ludziom życie. To jedyne, po którem nie będzie nic. O czem myśli ten siwy żyd, właściciel zajazdu. On tu przeżył dziesiątki lat, był młodym tu i tu się zestarzał. Tu umrze. A ziemia przecież jest tak wielką. Są kraje nieznane z innymi ludźmi i innymi widokami. I człowiek tak schodzi w grób, nic nie widząc. Co dzieje się pod czaszką ludzi, którzy tu przeżywają lata? Czy kochała kiedy ta brudna, stara żydowica w peruce, wpatrzona z taką dziwaczną bezmyślnością w rozpościerającą się pod samemi oknami jej domu gnojówkę?

I inna myśl, jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

Więc i w dniu, kiedy wleczono pomiędzy szeregami kozaków wziętego do niewoli Kościuszkę, więc i w tym dniu, gdy tam w jednem sercu krwawiła się cała ziemia — tu i w tysiącu innych punktów, w sercach tysiącznych i miljonowych mrowisk ludzkich — było to samo.

Człowiek! człowiek!

Ile pokoleń murzynów zatłuczono, zaszczuto psami na plantacyach bawełny?

Co dzieje się teraz z człowiekiem?

Tysiące eskimosów zamarza w swoich śniegowych budach, psy plantatorów tropią za murzynami, sto tysięcy kobiet wystawione jest na sprzedaż i przechodzi z jednych rąk do drugich. Brudna pleśń myśląca? Jakiż sens ma to wszystko? I czy ma jaki sens?

I najniespodziewaniej roztwierały się przedemną obrazy i przypuszczenia najdziwaczniejsze.

Mógłbym pojechać do Konstantynopola, przyjąć islam, mieć harem, kupować sobie czerkieski, greczynki, turczynki. Wszystkie wpatrywałyby się we mnie przerażonemi oczami.

Mógłbym być teraz murzynem, szczutym przez psy.

Mógłbym być pańszczyźnianym chłopem i słuchać pod oknem w wiśniowym sadzie, jak dziedzic gwałci moją żonę...

Kobieta, nagie kobiece ciało, coraz częściej przewijać się zaczęło w mych myślach.

Nie zapalając światła położyłem się.

Muchy brzęczały nademną.

Dotknięcie ich przejmowało mnie wstrętem. Jeszcze żyję przecież. Jeszcze jestem człowiekiem nie kupą gnoju.

I przecież to wszystko, to wszystko co przesuwa mu się przez głowę niby zbrodnicza bajka, to nie fantazya, nie wymysł — to prawda.

Prawdą jest to skąpane w krwi, dyszące gwałtem, zwierzęce istnienie ludzi, nie wiedzących nic o sobie.

Chrystus odkupił człowieka!

Ha, ha!

Drzwi skrzypnęły.

Pan dobrodziej już spi — zagadnął ochrypnięty głos właściciela zajazdu.

Poruszyłem się...

Żyd zapalił zapałkę i zasłaniając ją dłonią podszedł bliżej.

Nachylił się nademną... Czy pan dobrodziej nie każe, aby tu przyszła Bejła. O nią już się inni goście dopominali. Ale ja wiem, jaśnie dziedzica z Topolówki syn; taki gość, taki gość! Mój ojciec z jaśnie panem Celestynem jeździł, kiedy on za Napoljonem szedł. Handlował, konie dostawiał... Taki pan. Taki pan! Żyd cmoknął. I tak zginął... Co to było jak się o tem jaśnie pani hrabina, jego mamcia dowiedziała... A jej! A jaki pogrzeb był! Tego sukna czarnego ile było w kościele... A jej! Taki pan! A jaki siarczysty był — nu, nu!

— To ja każę Bejle, żeby przyszła — zakończył najniespodziewaniej.

Milczałem...

W duszy rozrastała się pajęcza pewność.

Przeszła długa chwila.

Drzwi zaskrzypiały znów.

Nie zapalałem światła.

Serce biło drapieżnie i cicho...

Zbliżały się lekkie, ciche kroki. Szła niby obłok gorącej mgły.

Wyciągnąłem rękę; spotkała włosy, opadła na nagie ramiona.

Ciało dziewczyny gorące, nie do uwierzenia prawdziwe spadło na mnie. Jej pierś musnęła moje ciało. Miałem ją w rękach swych twór rzeczywisty i dziwny: kobietę.

Okrutna bajka stała się ciałem i krwią.

Zajrzałem w oczy dziewczyny: było w nich jakby zdziwienie.

Ręce moje błądziły po jej ciele, usta bełkotały: Bejła, Bejła...

Nie wiedziałem, co czynię.

Inny człowiek, któregom nie znał rzucał się na to młode ciało, wpijał się w nie, chwytał gorącemi wargami jej ramiona, gryzł je z jakimś skowytem. To znowu podnosił się i dźwigał w ramionach dziewczynę, patrzył w nią osłupiałym wzrokiem.

To jest ona — tajemnica myśli najskrytszych: naga kobieta — rzecz.

I zaciskały się znów kurczowo ramiona.

Na dnie duszy coś okrutnego wołało wciąż o nową rozkosz, o nowy dowód władzy nad tem dyszącem ciałem.

Z piersi dziewczyny wydobywał się cichy jęk.

Podnosiła się i siadała.

Oszałamiały ją ta namiętność i szał.

Ile razy musiała ona już leżeć w objęciach coraz to innych ludzi.

Zerwała się i cała naga otoczyła mi szyję ramionami. Zagadką czarnych oczu patrzyła we mnie.

Przez zaciśnięte zęby wyrywały się niezrozumiałe słowa.

— Ty!

Pociągnęła mnie na swoje piersi.

Mój miły, mój miły!

Ja tobie taka wdzięczna, taka wdzięczna.

I jak spazm płaczu posypały się słowa.

Tyś mnie nie bił, ty mnie nie parzył papierosem po gołem ciele i nie śmiał się kiedym płakała.

Ja się tobie podobałam, jakbym naprawdę była twoją.

Tyś na mnie nie krzyczał, jak na zwierzę.

W oczach jej błyszczały łzy.

Zacząłem jej coś opowiadać. Mówiłem, że ludzie są nieszczęśliwi. Że ja umrę i ona umrze. Że niewiadomo po co wyłoniła się z brudnej miazgi świata myśl. Mówiłem, że miliony kobiet znajduje się w takim położeniu.

Mnie namawiają, żebym jechała do Rygi, mówiła mi, ale boję się. Rózia jeździła do Odesy. I jak wróciła!... Śliczna dziewczyna była. A teraz co. Szkielet — taka chuda i kaszle. A co opowiada. Pięciu, sześciu gości co noc. A w dzień jak się trafi. A najgorsi, to są marynarze. A ja się dowiedziałam, że Ryga także port. Ale pewnie trzeba będzie jechać. Tu też źle. I nic nie można zebrać. Ach żeby pojechać do dużego miasta. I mieć tylko jednego kochanka. Ale musiałby być pan, chodzić w cienkiej pachnącej koszuli.

I tak siedzieliśmy przy sobie otuleni kołdrą nawpół nadzy. Przez otwarte okno dolatywały dźwięki harmoniki. Ktoś pijany śpiewał ochrypłym głosem. Nagle rozległ się krzyk.

Bejła drgnęła...

To krzyczy Lia, rzekła. Ją dzisiaj Jankiel do stanowego prowadził. On, jak jest pijany, zawsze harapnikiem bije. Plecy jej drżały wstrząsane nerwowym dreszczem.

On i jeszcze jeden akcyzny.

Zamkną okiennice, spuszczą rolety. Każą się rozbierać i gołej tańczyć.

Jeden gra na harmonii, a drugi tańczy, a nie to albo papierosem skórę osmali, albo harapnikiem. I żeby zapłacił choć! Ale — wydęła pogardliwie usta, co on da, co on może dać. A akcyzny jest żonaty. I raz żona go złapała tak u stanowego z Rózią; ona wtedy jeszcze do Odesy nie jeździła. Wpada i łup go w pysk, a potem Rózię. Pazurami jej całą twarz rozdrapała, a później tak jak była golusieńką z domu wypędziła na ulicę. Gorącą wodą oparzyć ją chciała... Myślę, że pojadę do Rygi. Tam mówią dom taki, gdzie same generały chodzą. I nie biją. Gospodyni nie da palcem tknąć.

I po co to? — pytałem.

Co po co?

Żyć po co. No i cóż z tego będzie tak, czy owak, tu czy tam zestarzejesz się, zniszczy cię to życie. I co?...

Nie mogła zrozumieć.

Czasami dorobi się która, a czasami oficer się zakocha, do domu weźmie. A zresztą co? Jak ja teraz mogę inaczej. I tak przynajmniej nie gotuję, nie piorę, nie biegam z koszami po mieście. Gdybym ja jeszcze suknię miała. Do Rygi trzeba suknię: ot taką — z dekolte, pokazała, jedwabna suknia i rękawiczki i buciki.

Zarzuciła mi ręce na szyję i siadła mina kolanach.

Ja ciebie pieścić, całować będę i wszystko co chcesz, możesz ze mną robić, wszystko co chcesz. Ale daj mi pieniędzy, daj mi dużo pieniędzy. Dziesięć rubli dasz? Co dasz?

Sięgnąłem do szuflady.

Pieniędzy nigdy mi nie skąpiono. Zgarnąłem, co miałem. Było tego pewnie ze trzydzieści rubli.

Bejła nie liczyła; poczuła w ręku, że jest dużo: więcej niż dziesięć rubli.

Z gardła jej wyrwał się dziki, ptasi krzyk.

Zerwała się z moich kolan i naga tańczyć zaczęła przedemną, jakiś dziwny, namiętny, szalony taniec.

Kręciło mi się w głowie.

Kiedym się obudził, Bejła spała. Leżała na wznak z rękami złożonemi pod głową. Wydawała mi się odrażająca, bezwstydna. Nie mogłem zrozumieć, jak mogłem znieść obok siebie to rozpasane zbrukane ciało. Wstałem i zacząłem się ubierać, Bejła otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, nie poznając. Nagle przypomniała sobie. Schwyciła ze stolika pieniądze i zaczęła naciągać koszulę...

Ty powiedz, mówiła, żeś mi dał trzy ruble. Inaczej odbiorą mi. I wybiegła z pokoju. Z ciężką i mętną głową wracałem do domu, z poczuciem, żem się dopuścił jakiejś zdrady.

Przez kilka dni nie miałem odwagi poruszać myśli, któremi zwykle żyłem. Nie czytałem ulubionych książek. Myśli snuły się bezwładne i nudne. Nad wszystkiem innem dominowało poczucie upływania czasu. Przechodziły chwile bezlitośne, obojętne, a przecież każda z nich unosiła cząstkę mojego życia. Mijały puste i na wieki stracone. W bibliotece mojego ojca wpadły mi w rękę Myśli Pascala; zaczytywałem się niemi teraz. Te potężne,

jak skaliste szczyty aforyzmy wyrażały to, co się działo we mnie. Nie mogłem się zdobyć tylko na rozpacz wiary. Napróżno przypominałem sobie to, co Pascal mówił o duchowym automacie. W ciągu nocy klękałem i klęczałem godzinami całemi na zimnej podłodze. Powtarzałem słowa pacierza i tworzyłem własne rozpaczliwe, namiętne modlitwy. Ale na dnie duszy wiedziałem, że nie będzie z tego nic, co więcej czułem, że gardziłbym sobą, gdybym uwierzył. Czułem, że byłby to upadek. Ale ludzie piją przecież, myślałem. Starałem się przekonać sam siebie, że niedorzeczną i upokarzającą jest ta moja straszliwa, przeszywająca na wskroś, jak oszczep obawa śmierci. Tyle razy marzyłem przecież, że umrę na polu bitwy. Było to napróżno. Wtedy nie pojmowałem śmierci. Teraz stała ona przedemną i patrzyła oko w oko. Jednocześnie zaś rozwinęła się we mnie cicha, przeraźliwa pogarda życia. Myśl, że co noc ciała ludzkie dyszą w namiętnym szale — napełniała mnie odrazą. Miłość, życie wydawały mi się nudną i ckliwą komedyą. Zwolna wracałem do swoich dawnych marzeń. Czyniłem to teraz jednak bez wiary już i ze złym sumieniem.

I dlatego z pewną trwogą myślałem o spotkaniu z Adasiem, i dlatego bałem się, aby spotkanie to nie odebrało mi samej możności marzenia. Wmawiałem sam w siebie, że goręcej niż kiedykolwiek myślę o życiu walki i zmagania się z najeźdźcą.

Na dnie jednak leżała ławica obojętności.

Polska, niepodległość i cóż? Czy zmienisz się

ty? Czy zmieni się ksiądz Kulesza, stryj Floryan, drżący przed swoją kucharką i bity przez nią. Czy życie ludzkie przestanie być tem, czem jest: potworną, cuchnącą niedorzecznością?... Czy nie tak samo rozpłynę się bez śladu, zginę na zawsze pod ciężarem mogilnej ziemi? Czy zmieni się cokolwiek bądź z tych rzeczy?

Nie. Wszystko pozostanie tak samo bezlitośnie bezcelowem.

Ale gdyby mi odebrano i te marzenia pozostałaby już tylko nieznośna naga pustka.

Jednocześnie zaczęło mnie drażnić wszystko, co jeszcze przed kilkoma miesiącami przyjmowałem z dobrą wiarą.

Nad łóżkiem moim wisiał stary ryngraf z Matką Boską Częstochowską. W dawniejszych moich robinzonadach wojowniczych, odgrywał on zawsze wielką rolę. Teraz patrzyłem nań z gniewem. Po co trzymam tu tę blachę?... Pustemi wydawały mi się wszystkie patryotyczne westchnienia ciotki Emilii. Te wszystkie Odsiecze Wiedeńskie, Grünwaldy, Jadwigi i Święte Kingi.

Pamiętam z jakiem zdziwieniem spojrzała na mnie, Ola, kiedym raz w braku innego audytoryum wypowiedział jej, co myślę o książkach, któreśmy niedawno jeszcze czytywali razem.

Niema co się rozrzewniać nad temi niedołęgami i mazgajami, przez nich jesteśmy na dnie. Kto kazał królowi Janowi chodzić pod Wiedeń? Papież? co jemu do papieża? Kościuszko powinien był rozdać ziemię chłopom, szlachtę wywieszać, byłby

wypędził moskali. I po co nam każą myśleć o tem wszystkiem. Po co nam nie dają żyć?

Dziewczynka uciekła i odtąd ile razy matka jej przy mnie zaczynała jakieś ze swych ulubionych opowiadań, patrzyła na mnie jakby z prośbą, czy strachem.

W parę dni spotkawszy mnie powiedziała „Mama nie ma nikogo, Tatuś zginął za ojczyznę, więc nie trzeba jej martwić. Mama już stara i nie ma nic prócz pamiątek. Jak ja dorosnę wszystko oddam chłopom".

Wtedy ja jednak nie miałem czasu zwracać uwagi na Olę.

Myśli moje wszystkie pochłonięte były przez jedno: Bóg i śmierć.

Miewałem chwile, kiedy wszystkie zwątpienia moje, wydawały mi się tylko moją winą, kiedy lękałem się, że spotka mnie za nie kara.

Nie umiałem już wierzyć, ale nie umiałem też sobie wyobrazić świata bez Boga i zbawienia. Pozostawała pustka, ból i strach.

To też drgnąłem, kiedy Adaś w lesie zapytał mnie krótko, czy ty jeszcze wierzysz w Boga?

Nie podniosłem oczu i odpowiedziałem sucho: Nie.

Adaś wstał i przeszedł się nerwowo po polanie w końcu rzekł: Jakich ja ludzi poznałem, jakich ludzi. Wiesz Karakozow wcale nie za wyzwolenie włościan strzelał do cesarza. On był socyalista.

Pierwszy raz wtedy w rozmowie nie w książce spotkałem ten święty wyraz.

A Adaś mówił. Mówił, że ludzie schodzą całemi pokoleniami w mogiłę, tam oczekując po za grobem sprawiedliwości i nagrody. Czują więc, że tutejsze życie jest niedorzecznością. Inaczej nie wierzyliby, że istnieje, że potrzebne jest inne.

Czy rozumiesz, od czasu, jak człowiek istnieje, ludzie giną z tem przekonaniem, że to, co pozostawiają za sobą, to nie było życie, czują, że nie żyli, że zostali oszukani o życie całe. I cała historya ta jest takie schodzenie w grób zamęczonych, oszukanych milionów. I człowiek śmie się nazywać rozumną istotą.

Teraz zaczęliśmy mówić na przemian, wyrywaliśmy jeden drugiemu zdania, myśli, zwroty.

Trzeba walczyć o to, żeby człowiek już tu żył, aby nie przeciekało mu szczęście i życie pomiędzy palcami, aby je miał.

Czy ty rozumiesz, wołał Adaś, dlaczego musiały upadać nasze powstania? Chłop był nawozem wdeptanym w ziemię. Czy mu nie wszystko jedno było, co z niego wyrośnie? I czy nam nie wszystko jedno? Ojczyzna, to taki przypadek, jak i wszystko inne. Człowiek wyrodził się ze zwierzęcia. Popowstawały różne jego odmiany. Cóż z tem wspólnego ma rozum. Czy czytałeś Darwina? To wszystko kłamstwo, co oni tu śpiewają, że jego nikt nie uznaje. Cały świat już przyjął jego naukę. To my tylko w Polsce chcemy ocalić się wąchaniem kadzidła. A w Europie powstało olbrzymie stowarzyszenie międzynarodowe, dążące do tego, aby świat należał do pracujących.

I jedna za drugą wybiegały z ust jego ideje, jedna od drugiej śmielsza.

Człowiek-dziecię przypadku, krwi i nocy sam sięgał po władzę nad sobą.

Czy chcesz, czy chcesz walczyć razem z nimi o prawo człowieka, o ludzkość?

Nie trzeba było pytać.

Wracaliśmy do domu szczęśliwi i dumni.

Na jakimś zakręcie drogi spostrzegłem kobietę dźwigającą brzemię drzewa.

Pokazałem ją Adasiowi oczyma.

Uśmiechnął się do mnie i pojechaliśmy w cwał.

Kobieta nie przypuszczała, że mijało ją w tej chwili dwóch mesyaszów. Naręcz drzewa nie stała się przez to lżejsza.

Kiedym zsiadł z konia schwyciło mnie nagle wspomnienie Bejły i jego ohyda. Wydałem się sam sobie na wieki straconym.

Ale ja nie wiedziałem wtedy, tłómaczyłem się sam przed sobą...

Pomimo to schwyciłem Adasia za rękę: — słuchaj, rzekłem — ty wiesz, ja raz niedawno skrzywdziłem ciężko kobietę.

Adaś spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się smutnie. I ty, rzekł — już, a potem nagle dodał: myśleć o swoich grzechach mogą tylko próżniacy. Człowiek powinien iść w przyszłość. Gdy wymawiał jedno z takich zdań, oczyma prosił o pobłażanie dla jego górności. Był to jego wdzięk.

II.

Adaś Bielecki był naszym dalekim kuzynem.

Jego ojciec straciwszy dość znaczny majątek, osiadł w małem miasteczku podolskiem i żył z zapomóg, udzielanych mu przez rodzinę. W domu Adasia wszystko żyło wspomnieniami lepszych czasów, plotkami i dewocyą. Atmosfera była trudna do zniesienia. Nikt tu nie podnosił głosu. Przeciwnie, wszyscy mówili słodkim przyciszonym tonem, spotrzebowując niesłychaną ilość wyrazów zdrobniałych. „Stryjeńciuńcia“, „Proboszczyczek“ „tatusieczek“ „mamuleczka“ nie schodziły tu z ust. Nie przeszkadzało to bynajmniej temu, że życie ojca Adasia, jego matki i dwóch sióstr schodziło na systematycznem zagryzaniu się. Nie umiem sobie wytłomaczyć powstania w takim środowisku Adasia. Poznałem go czternastoletnim chłopcem, i odrazu zadziwił mnie on stanowczością sądów i zdecydowaniem woli. Organizm jego duchowy musiał albo zginąć w otoczeniu, jakim była rodzina Bieleckich, albo musiał sam z siebie wydobyć własną ochronę. Adaś znalazł ją w ironicznej wzgardzie względem wszystkiego, co go otaczało. Nie umiem określić sobie charakteru jego uczuć

w stosunku do rodziców i sióstr. Nie był to żaden żal, lecz chłodne i ostateczne zwątpienie, ciche i systematyczne przechodzenie do porządku dziennego. W tem środowisku najbliższem nauczył się Adaś polegać wyłącznie na sobie, nie dowierzać żadnej powadze. Przytem zewnętrzne niedowiarstwo to i ironia rozpościerały się i na niego samego. O sobie samym mówił on tym samym tonem gardzącego pobłażania i szyderstwa, jaki był mu właściwy w stosunku do innych. Trzeba było go dobrze poznać, aby spostrzedz, że pozwala on sobie marzyć o rzeczach wielkich i szczytnych, że w głębi serca miał gorące pragnienie wiary i wielką niewyczerpalną zdolność entuzyazmu. Długie lata nie miałem żadnego rówieśnika. Może dlatego w stosunku do mnie dość szybko stopniała odporna powłoka po za którą zamykał się Adaś ze swym wewnętrznym życiem. W długie wieczory i popołudnia wypowiedzieliśmy sobie wszystko, co zdołały wypracować nasze własne umysły i serca. Nie długiego czasu trzeba było byśmy zrozumieli, że dla żadnego z nas nie pozostało tajemnicą, jakie pokłady zobojętnienia, niewiary, służalstwa, egoizmu ukrywają się po za obłudą patryotycznego frazesu.

Szkaplerzyki, rzekł Adaś z głuchą złością, któregoś poobiedzia. Duszę oni wyciągną temi szkaplerzykami. Niech albo robią coś, giną, głowami o ściany walą, albo przestaną jęczeć o tej swojej nieszczęśliwej ojczyźnie.

Gdy doszła nas jakaś biografia Garibaldiego

wpadliśmy w prawdziwy szał. Odtąd nie mówiliśmy o niczem innem.

Ale od czasu do czasu Adaś zamyślał się: a co my z grzechotnikami porobimy — potem? Toć te wszystkie poświęcane mumie wtedy dopiero powypełzają i pęcznieć będą. Teraz kryją się jeszcze po kątach i zakątkach. Nie mogliśmy zrozumieć spokoju naokoło nas i nieustannie przypuszczaliśmy, że dzień każdy może nam przynieść wiadomość o gotującym się wybuchu. Nasłuchiwaliśmy, lecz nie słyszeliśmy nic prócz syku tchórzostwa, bezsilnego wzdychania, albo przejrzystej blagi.

Mojego ojca Adaś szanował za jego milczenie i spokój. Twój stary ma charakter, mówił, on się tak zaciął, że do niego już nic nie dostąpi. Natomiast o swojej rodzinie miał zawsze coś do opowiedzenia. Mój tatutuńcio rzekł, po ocaleniu cesarza od Karokozowa iluminacyę sobie na swój prywatny użytek zrobił i isprawnikowi gratulować chodził we fraku i białym krawacie. A o Berezowskim mówił: on musi być z rusinów, bo żaden z Polaków królobójstwem się nigdy nie splamił. Tej wiosny miałem właśnie pojechać do rodziny Adasia, by tam razem z nim złożyć egzamin dojrzałości. Cieszyliśmy się, że spędzimy parę miesięcy razem. Później Adaś miał jechać do Kijowa, gdzie przy uniwersytecie było jakieś stypendyum imienia Bieleckich. Ja marzyłem o Petersburgu, lub zagranicy. Teraz szczególniej, gdy mieliśmy niewyczerpany zasób tematów i myśli w naszej nowej wie-

rze, uśmiechał się nam ten wspólny paromiesięczny pobyt. Przytem Adaś nie przestawał powtarzać: jakich ludzi poznasz, jakich ludzi. Wreszcie na początku maja znaleźliśmy się w Niemirowie. Stary pan January Bielecki powitał nas już w bramie.

Co za gość! Co za gość! wołał, rozstawiając ręce. Wykapany kuzyn Oktawiusz. Gość w domu — Bóg w domu. Chociaż zmienną koleją rzeczy Bieleccy teraz na szaraczki zeszli, ale zawsze panie dobrodzieju, stać mnie na to, aby takiego gościa przyjąć. Jakbym samego pana Oktawiusza przyjął. Ojczulek pana dobrodzieja statysta, o, ministeryalna głowa, dyplomata, panie dobrodzieju. Synek pewnie w ojczulka pójdzie. Nie daleko jabłko od jabłoni. Ja, panie dobrodzieju na chudopacholskim zawsze koniku więc i mój dryblas, panie dobrodzieju, uczciwszy uszy, prochu nie wynalazł, ale uczciwość, nieskalane imię, panie dobrodzieju, ojciec przekazał mu i bojaźń bożą, więc i w senatorskim domu wstydu nikomu nie przyniesie.

Stary pan plótł tak bez końca, giestykulując i podreptując.

Nadeszła i reszta rodziny.

— A my właśnie — kuzynku serce, wołała mama, z majowego nabożeństwa wracamy. Jak mówił ksiądz wikary, jak anioł. Nińcia się spłakała, a Bińcia w tej chwili jest jeszcze zachwycona.

— Słowo kapłańskie jest pokrzepieniem duszy, rzekł pan January.

— Nieszczęśliwemu narodowi nic prócz modli-

twy nie pozostało. Zlatuje do naszego lochu, jak gołębica i ziarnem swoim nas zasila. Ja codzień padam na kolana i mówię: Bóg wziął, Bóg da i niech imię jego będzie pochwalone.

— A ksiądz Wincenty taki patryota — mówiła panna Nińcia — dzisiaj nazwał na głos Matkę Boską — Królową Polską.

— U... U... — rzekł pan Bielecki, ryzykuje, ryzykuje. Ale Bóg czuwa nad wybrańcem swoim.

— Albo kiedy mówił — rzekła panna Bińcia — na lwa srogiego bez obawy siędziesz i na okrutnym smoku jeździć będziesz, to już tam napewno coś innego myślał. Bo ilekroć coś patryotycznego pomyśli podczas kazania to wzdycha...

— Ależ nie! — rzekł Adaś — obciera nos.

— Młody człowieku — rzekł pan Bielecki — młody człowieku, zapewniam cię, iż pomimo, że na stoliku twoim znalazłem książkę, która wyprowadza człowieka od małpy — jesteś moim synem, a ja nie ścierpię aby Bielecki ubliżał wierze świętej. Bo co pozostało oprócz wiary? Reszta wszystko przemija, a Bóg jest wieczny, jak powiedział Tertulian.

Siedziałem jak na rozpalonych węglach. Ale Adaś nie robił sobie nic z tego wszystkiego. Pójdziemy do mego pokoju, rzekł. To, dodał w drodze, stary na twoje powitanie tak się wysadził, ale on ochłonie.

Jednak nie ochłonął.

Po chwili z kuchni doleciał nas przeraźliwy

krzyk. Płakała jakaś baba, piskliwym głosem wykrzykiwała pani Bielecka, grzmiał sam ojciec rodziny.

— Zaczyna się — rzekł Adaś. — Nie niepokój się, to kucharka upomina się o pensyę, ona to czyni raz na tydzień.

Przy kolacyi zjawił się natchniony ksiądz Wincenty i jakiś urzędnik, nie wiem już pocztowo-telegraficzny, czy sądowy. Urzędnik pił kieliszek za kieliszkiem pomarańczówkę, a ksiądz Wincenty bawił damy.

Od czasu do czasu uważał za stosowne zwracać na mnie uwagę i zaszczycać mnie jakimś pytaniem. Dowiedziawszy się, że chcę jechać do Petersburga, rzekł:

— Naturalnie, dobrej krwi i szlachetnym tradycyom nie zagraża to żadnem niebezpieczeństwem, ale słyszałem, dużo słyszałem o szerzącej się wśród młodzieży tamtejszej niewierze. W Boga nie wierzą, kościoła nie uznają, człowieka nazywają zwierzęciem i wolną miłość propagują.

— Księże dobrodzieju, — rzekła pani Bielecka i pokazała oczyma na córki...

— A przepraszam — rzekł ksiądz — ale słowo kapłańskie jest jak zefir, który kwiatów nie zwarzy, i owszem czyste lilje zwracają ku niemu swe kielichy i wypuszczają dziwne aromaty.

— Oni — odezwał się urzędnik — psa zjedli.

— Kto? — zapytał się pan Bielecki.

— Nihiliści — rzekł — niedowiarki. Że to prze-

sąd niby. Mieszkają sobie wszyscy razem na kupie, i jeden miał psa. I mogę powiedzieć, wyżła zjedli.

— Gdy duch święty opuści człowieka, staje się on jako Nabuchodonozor, trawą żywiący się, — rzekł ksiądz. — A zresztą skoro człowiek jest zwierzę i pies zwierzę, to dlaczego jedno zwierzę nie ma jeść drugiego zwierzęcia? Czy nieprawdaż? I nadziwić się nie podobna jak mógł im duch zaprzeczenia tak pomieszać rozumy. Bo i cóż mówi ten ich Darwin. Człowiek i zwierzę jedno jest. Otóż jeżeli wziąć Chińczyka albo murzyna, albo innego dzikiego człowieka i światłem wiary świętej go oświecić, stanie się jak każdy z nas. A czy zdołał kto uczynić to z prosięciem, szczenięciem, albo innem zwierzęciem, które lubo koło człowieka przebywa, w naturze zwierzęcej swojej pozostaje.

— Nie biją ich — rzekł urzędnik. — Cała rzecz w tem. Jabym tam tak. Nie wierzysz sto rózeg, nie wierzysz jeszcze sto, i zarazby ci świeczki w oczach stanęły.

— Pana dobrodzieja dużo bili — zwrócił się Adaś.

— Adam — wyrodne dziecko — zasyczał pan Bielecki — zakazuję ci. Ty nie myśl, żeś maturzysta. Ja ojciec ci mówię, że jeśli nie przeprosisz szanownego pana i gościa w tej chwili, to ja ojciec ciebie własnoręcznie, słyszysz, staropolskim zwyczajem. Ja człowiek starej daty i nie będę zważał na lata.

Adaś zerwał się blady.

— Niech ojciec nie probuje — rzekł przez zęby.

— Co, co? — pienił się stary. — Jakim tonem do ojca. Przy obcych ludziach. O czasy, czasy. Kiedy Karpiński wracał ze szkół, ojciec, gdy wszedł do izby, chcąc się przekonać, czy syn bojaźń bożą, a szacunek dla rodziców zachował w twarz go uderzył. I cóż uczynił szlachetny młodzieniec? Do ręki rodzicielskiej się nachylił i do ust ją podniósł. A dziś... Przeprosisz szanownego pana, czy nie...

— Ale cóż tam znowu! — rzekł urzędnik — ja się nie gniewam. To panie młodość. Ale, bo też prawa teraz. Ojciec powinien mieć prawo posłać na policyę z kartką: tyle a tyle gorących, a świeżych. I wsypaliby i po wszystkiem. A co do tego, czy ja bity nie był — to powiem wprost. — Dużom był bity. Ja w seminaryum, i bursiem się chował. To mogę powiedzieć więcej niż trzysta razy bity byłem. I nie byle jak. Z solą i podniesieniem bili. A ojciec Atanas łozy miał w spirytusie maczane, giętkie, a mocne. Bili i Panu Bogu dziękuję, że bili, do końca życia wspominać nie przestanę. Nacierpiał się człowiek, ale rozumu nabrał, charakteru. Nas w bursie nie bardzo po główce gładzili. Mnie samego, za przeproszeniem, wszy mało nie zjadły... Bo zbytków nie było żadnych. To i człowiek nauczył się grosz i kawałek chleba szanować. A jakże, setnie mnie bili — za to znów ja nie komunista i wiary mojej świętej się nie wypieram i rodziców szanuję. Ot co.

Teraz zaczęła jęczyć pani Bielecka. Tyle nocy nie przespanych, tyle ofiar, tyle zgryzoty i czy jest jaka wdzięczność, jakie uszanowanie? Do ojca, jak

do równego. Z kułakami na niego gotówby się rzucić. A matka? A matka? Czy jest wdzięczność dla matki, poszanowanie jakie! Matka to także pewnie przesąd? Oj mądrość, mądrość. Na to człowiek sobie od ust odejmując dziecko rodzone przez te szkoły pcha, aby on potem matkę własną z Darwinem porównał.

— Rózgi znieśli — rzekł urzędnik — i bicie. Człowiek młody jest, jak ten szczeniak — bez bicia zrozumieć nic nie może.

Kolacya miała się ku końcowi.

Adaś wstał.

— Rodzice, siedzą! — krzyknął pan Bielecki — tu nie komuna, nie karczma, nie falanstera, to jest dom. Uczcij dary boże.

— Egzamin pojutrze — rzekł Adaś — przygotowywać mi się trzeba. Chodź Michał. I nie zwracając uwagi na nic, wyszedł. Wymknąłem się za nim.

Stary, rzekł, wczoraj w karty się zgrał to i piekło robi. Chodźmy. Wieczór był ciepły. Na głównej długiej uliczce Niemirowskiej, obsadzonej drzewami, snuły się gromadki spacerujących.

Jakaś dama, gdyśmy mijali ją, pytała swego kawalera, dlaczego jedne kwiaty pachną, a inne nie pachną?

— Poznaję ojczyznę moją — rzekł Adaś i zadeklamował.

— Wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło.

Przeszliśmy w boczną uliczkę ciemną i błotnistą.

Dzień był suchy, lecz błoto tu nie zasychało nigdy chyba. Tworzyło się ono zresztą nie tyle z deszczów, ile raczej z pomyj, wylewanych niemirowskim obyczajem z okien prosto na ulicę. Wreszcie podeszliśmy do jakiegoś oświetlonego domu. Adaś podszedł do jednego z okien i zastukał. Okno otworzyło się i wychyliła się jakaś rozczochrana głowa.

— A to ty Indyk — przemówiła — wchodźcie.

W pokoiku pełno było dymu. Na stole stało kilka butelek piwa, leżały rozłożone książki i papiery.

— Przedstawiam — rzekł Adaś, Michał Kaniowski a to, znajomcie się zresztą sami.

— Michajłow, rzekł młody, szesnastoletni może chłopiec o jasnej, dziwnie sympatycznej twarzy i wysokim czole.

— Kasjanow — zamruczał właściciel kudłatej głowy.

— Koruta — odezwał się trzeci, wstając z łóżka. Był on dziwnie brzydki. Pośród bladej, skrofulicznej twarzy sterczał wielki kartoflowaty nos. Małe oczy były nieprawidłowo przecięte, tak że jedno umiejscowione było o wiele wyżej od drugiego.

— Wroński — przedstawił się ostatni z towarzystwa wysoki brunet o zapadłej piersi, bezkrwistej twarzy i ciemnych, jak gdyby w stanie chronicznego zapalenia znajdujących się oczach.

— A gdzież Kot? — zapytał Adaś.

— Poszedł po wódkę — odpowiedział Wroński, patrząc w ziemię.

— Znowu? Ej Wroński, Wroński, źle będzie.

— Sam wiem, że nie dobrze, mówić szkoda — mruknął zagadnięty. Ja bez wódki myśleć nie mogę. Żyć długo nie będę. No, to przynajmniej umierać chcę przytomnym, a nie z zamąconą głową. Jak nie piję, to głowa mi się kręci i myśli są nudne, jak para z wrzącej bielizny w pralni.

— A ty, jak to cierpisz? — zwrócił się Indyk do Michajłowa. Chwalił się człowiek: nie dam pić, nie dopuszczę do butelki.

Michajłow wzruszył ramionami i niechętnie rzekł: taki dzień już, dziś i ja pić będę.

— Zostaw — mruknął Adasiowi do ucha Kasjanow. Później ci powiem, nie przeszkadzaj.

Pojawił się i Kot, to jest właściwie Kotecki i z kieszeni wyciągnął butelkę okowity. Jest, rzekł, w sam raz 64 stopnie. Wroński ruszył się z pod pieca i jeden za drugim systematycznie bez pośpiechu wypił trzy kieliszki. Nalał sobie czwarty i przyglądając mu się rzekł: Teraz całkiem inna muzyka u nas pójdzie.

O egzaminach nikt nie mówił. Nie wszyscy obecni zresztą stawać do nich mieli. Michajłow był dopiero w szóstej klasie, a Koruta postanowił nie próbować szczęścia. W małym pokoju szumiało jak w ulu.

— Wiazowski zwaryował — rzekł Koruta, zwracając się do Adasia.

— Było to do przewidzenia.

Ja dziwię się, jak oni wszyscy nie powarjują. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, więc

taki siaki i z nas nie dziwi się, że coś podobnego do naszych gimnazyów stać może na miejscu. Ale ty wejdź w nie z żywą duszą i poprobuj w niem żyć, monologował Wroński. I w samej rzeczy. Pomyśl, jest nas pięćset, sześćset dusz, powiedzmy, ludzkiego materyału, mięsa dla pedagogów. I jest ich osób ze trzydzieści. I teraz przez całe życie mają oni z nas wystrugiwać, co? To, co się im podoba? Nie! co przepisane. Oni mają nas uczyć nie tego, co chcą i co myślą, a my mamy się uczyć tego, aby nigdy o niczem zdrowego pojęcia nie mieć. No i co z tego może być. Żółty dom jest i żółtym domem skończyć się wyłącznie może. Uczył człowiek ludzi przez dwadzieścia, trzydzieści lat o Jupiterze, Junonie no i uwierzył, że jest on w samej rzeczy Jowisz gromowładny. I cóż w tym dziwnego być może. Sznurują sobie mózg, jak chinki nogę, a potem dziwią się, że na nim guzy powyskakują.

— Przesada — rzekł Koruta. U nas tak źle nie jest. Sami porządni ludzie. Ot pojechałbyś ty do Kamieńca.

— Przesada? — zaperzył się Wroński. A ty powiedz mi Aniołku mój, czy dla mnie nie wszystko jedno, jakich obyczajów jest ten tasiemiec, co mię zjada. Porządni ludzie. Duszę oni mi, ci porządni ludzie, wyciągnęli. I teraz ja umierać będę — daj pokój Michajłow nie przecz już, jak ty mi pić pozwolił, to ja już wiem, że śmierć idzie, umierającego człowieka ty martwić nie chcesz. Sam chcesz się kieliszkiem trącić. Przesada? A kto mi w głowę

androny kładł, że ja o to teraz i umierać będę, same śmiecie w duszy mając. Trójca święta, dusza i tak dalej bez końca.

— I cóż robić mieli, program nie oni ustanawiają.

— Program nie oni ustanawiają, wiem aniołku najdroższy, a ty na to człowiek się nazywasz, abyś nie pozwolił z siebie maszyny do zabijania ludzi robić. A niech oni powaryują wszyscy, niech ich po klatkach trzymają, jak dzikie zwierzęta.

— Daj pokój, daj pokój, rozdrażniasz się niepotrzebnie — mitygował go Kotecki!

— Niepotrzebnie — szydził Wroński. Proszę łaskawco, tobie dobrze. Ty sobie wiesz, że jeszcze w słońcu pochodzisz, dobrych książek poczytasz, jasnych myśli nachwytasz. A mnie kto życie wróci? Żywot wieczny! A ty daj mi go teraz, kiedyś obiecał.

— Nie my pierwsi — mruknął ktoś.

Michajłow stuknął pięścią o stół. Tak, nie my pierwsi. Ciągle i nieustannie u nas i wszędzie zabijają człowieka. Krew na wszystkiem. Każdy umierający w nieszczęściu, głodzie, ciemnocie, to wieczne oskarżenie. Każda śmierć, każde zmarnowane życie ludzkie, to potępienie dla tego, co jest.

— Więc cóż robić, ty sobie krzycz, nie krzycz, to nic nie pomoże — filozofował Koruta.

Michajłow błysnął oczyma. Dopóki człowiek tego nie rozumie, że go zabijają, znieważają, kaleczą — można mu wybaczyć. Ale nam już nie wolno znosić, nie wolno wracać do jarzma. Walka na śmierć i życie. Walka...

— Aby tam się kiedyś innym ludziom dobrze żyło? — szydził Koruta.

— Abym ja sam niewolnikiem nie był. Co mnie inne pokolenia? Za siebie walczę, o siebie walczę.

— Inni także tak śpiewali i pewnie spuścili z tonu — mruczał sceptyk.

Michajłow stał. Słuchaj Koruta: tobie dwie drogi stąd — albo z nami iść...

— Dokąd, z jakimi wami?

— Mniejsza o to! Z tymi co mówią, że nie zniosą koło siebie ani źdźbła krzywdy ludzkiej, że w żadnej krzywdzie udziału nie wezmą, że przeciw każdej walczyć będą... Albo idź precz, tam gdzie nasi nieprzyjaciele.

— No, no nie unoś się.

— Nie można tak mówić!

Michajłow nie cofał się. Tu niema żartów, jeżeli wam rozmowa tylko w głowie, to ja wam nie towarzysz.

— Ale ty wiesz o tem, gdzie żyjesz, wiesz kto tu rządzi, wiesz ty, jak się ten kraj nazywa?

— Wiem. Rosya, kraj niewoli, kraj rabów Cara Aleksandra, oswobodziciela chłopów, ale tam gdzie ja stąpię, gdzie ja żyję, jak daleko ja sięgnę, tam rządzę tylko ja.

Rozmowa się urwała.

— Marya Pawłowna od męża wczoraj uciekła — rzekł Kasjanow.

Michajłow zerwał się.

— Uciekła? dokąd, nie wiecie?

— Dokąd miała uciec — do matki. Tam płacz

i zgrzytanie zębów. Ojciec wrzeszczy, że ją za włosy do męża zaciągnie, matka płacze, kumoszki zawodzą.

— A ona...

— A nic, zamknęła się na cztery spusty i siedzi, oni też czekają. Powiadają głodem wezmą.

— A mąż?

— Mąż? Wczoraj pił. Dziś po mieście biega, znajomym kańczuk pokazuje.

Adaś zaczął mi tłomaczyć. Historya całkiem miejscowa. *Couleur locale,* jak się to w teoryi literatury nazywa. Wydali młodą dziewczynę za mąż, za kapitana pijanicę. Bogaty miał być, a okazało się, że majątek w karty przegrał. Zdaje się, że na posag liczył. Tymczasem posagu niema, więc zwierzę zaczyna bić żonę. Całemi dniami wychodzić nie może z domu, ludziom się pokazać nie podobna: twarz w sińcach, oko podbite. I tak bez przerwy. Tydzień bez bójki nie przechodzi. A dziewczyna była z głową i sercem. Człowiek mógłby wyrosnąć. A tak jedna jej droga: powiesić się, albo bić się z mężem, kto kogo lepiej.

W tem drzwi się otworzyły, wpadł młody trzynastoletni uczniaczek, o różowej twarzyczce, ciężko dysząc:

— Dmitry Antonowiczu! — podbiegł do Kasjanowa. Siostrę mąż do domu powlókł, grozi, że zabije.

Nastała chwila ciszy.

Nagle rozległ się szczęk, to Wroński cisnął flaszką o podłogę.

— No! Ginąć, to ginąć! — A nie będzie tego, abyśmy się spokojnie temu przypatrywali. Mnie i tak śmierć. Niechże wiem przynajmniej, że coś porządnego na świecie zrobię.

Kasjanow złapał go za rękę...

— Pijany jesteś, o czem ty myślisz?

Wroński wyrwał mu się. Daj już pokój, ja tylko wtedy trzeźwy kiedy pijany. A myśli bracie, to już mam teraz całkiem jasne. Wam się panowie mięszać w tę sprawę nie należy. Przydacie się jeszcze, a ja już i tak stracony.

— Z tego nic — rzekł Michajłow — idę z tobą.

— I ja — rzekł Indyk.

— I ja — powtórzyłem.

Wszyscy idziemy.

— Mówić tylko ja będę — prowadźno mały.

— Tę drogę ja znam. Ogrodem bliżej będzie — rzekł Adaś.

I istotnie prowadzić zaczął ogrodem po jakichś zarośniętych ścieżkach. Przeskoczyliśmy wreszcie jakiś płot. Nagle doleciał nas nieludzki krzyk.

— Katia płacze — krzyknął uczniaczek.

Zawrzało coś we mnie i zastygło. Czułem, że to samo dziać się musi i w innych. Przyspieszyliśmy kroku. Ale Wroński szedł ciągle naprzód wielkiemi krokami.

Z domu, do którego podchodziliśmy, wydobywały się wciąż krzyki coraz bliższe, coraz straszniejsze.

Pod oknami stało kilka postaci. To kucharki sąsiadów i sąsiadki przypatrywały się egzekucyi.

— Z drogi bydło! — krzyknął Wroński i nie poznaliśmy jego głosu.

Ktoś probował zastąpić mu drogę, lecz nagle z niespodziewaną siłą Wroński zadał zagradzającemu drzwi cios tak potężny, że ciemna postać znikła, waląc się na ziemię z jękiem.

Wroński szarpnął drzwi i otworzył, weszliśmy za nim.

Przeszliśmy sień i stanęliśmy we drzwiach pokoju. Oczom naszym przedstawił się straszny widok. Przywiązana do poręczy krzesła siedziała młoda kobieta z okrwawionemi plecami. Nad nią stał dieńszczyk kapitana z nahajką w ręku. Z pleców młodej kobiety spływała krew, zębami targała sznurek, którym miała skrępowane ręce. Naprzeciw niej siedział kapitan, nizki o okrągłej twarzy mężczyzna i palił fajkę. Gdyśmy weszli wymawiał wyraz jedynaście.

Wyraz ten utkwił mu w krtani.

Na nasz widok zaniemówił. Zerwał się. Ale jednym skokiem był już przy nim Wroński, prawą ręką uchwycił za gardło i ścisnął. Michajłow wyrwał dieńszczykowi nahajkę, ja z Adasiem rozwiązaliśmy ręce kobiety. Niech się pani ubiera, krzyknął Wroński. Michajłow zajmij się, niech was tu w ten moment nie będzie.

Kasjanow mocował się z dieńszczykiem, Wroński zaś systematycznie tłukł głową nawpół duszonego kapitana o róg szafy.

— Raz, dwa — powtarzał. Kapitan kopał nogami, pienił się, chciał gryźć.

Nagle obalił Wrońskiego i wyrwał się. W tej samej jednak chwili Koruta schwycił go żelaznymi ramionami i przygwoździł do krzesła. Wroński podniósł się z ziemi, chrząknął, kaszlnął, krew rzuciła mu się ustami.

Drzwi skrzypnęły — to kapitanowa uciekała z Michajłowem.

My skoczyliśmy do Wrońskiego, dieńszczyk zdołał się wyrwać i wyśliznąć.

Kapitan szamotał się i ryczał. Z ust Wrońskiego płynęła krew dwoma cienkimi strugami.

Koruta przemawiał spokojnie.

— Siedź, aniołku, siedź kanalio, bo na śmierć zabiję. Ja, braciszku żartować nie lubię. I mnie jest wszystko jedno. Jak raz już bić zacznę, to kości połamię, siedź spokojnie, proszę ja ciebie.

Rozległo się ciężkie stąpanie, w drzwiach ukazał się urjadnik, sprowadzony przez dieńszczyka.

Obok urjadnika ukazała się jednak inna jeszcze postać. Był to chudy, średniego wzrostu pan o twarzy Mefistofelesa.

— Quod erat demonstrandum — rzekł. Naturalnie Wroński, Bielecki i Kasjanow, Michajłowa spotkałem w drodze. Spostrzegł jednak krew płynąca z ust Wrońskiego i zmarszczył brwi.

— Potrzebne to panu było!

— Puść pan kapitana — zwrócił się do Koruty.

Kapitał pienił się i krzyczał: Aresztować, aresztować, zakuć w kajdany tego oto zbira, wskazywał na Wrońskiego i tę gonić. Tu użył silnego wyrazu... Ja jej pokażę... Aresztować, aresztować!

Pan w szarym kapeluszu, inspektor gimnazyalny Kuźniecow, podszedł spokojnie do pieniącego się kapitana i położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany panie kapitanie — rzekł — co pan byś powiedział, gdyby panu świnia wpadła do ogrodu i zniszczyła ulubione pańskie z wielkim trudem wypielęgnowane drzewko?...

— Jak świnia do ogrodu wpadł — zawołał kapitan — tak właśnie...

— Ciszej, kochany panie — rzekł Kuźniecow. — Widzi pan tego chorego człowieka. Tak? Otóż od lat dwudziestu kilku, jak jestem nauczycielem to był mój najlepszy matematyk, najlepsza głowa, jaką ja spotkałem. Na dwadzieścia kilka lat jedna jedyna, o której sobie mówiłem: w biografii tego człowieka będzie napisane, że nauczycielem jego był Wasyli Andrejewicz Kuźniecow. I to widzisz pan, była moja nadzieja, moje marzenie. Teraz pan wie, jak ja muszę nienawidzieć człowieka, który mi tę nadzieję zniszczył. Jeżeli on nie wyzdrowieje, to ja panu radzę zniknąć raz na zawsze, panie Moroszkin, bo ja jestem spokojny i systematyczny człowiek. Za tę jedną dzisiejszą historyę z żoną, pana możnaby daleko zaciągnąć. I jeżeli temu człowiekowi coś się stanie, to ja pana potrafię daleko zaprowadzić. Ani się pan obejrzysz, jak fiut ordery, fiut szlify i może jeszcze coś na dodatek: szara kurteczka. Ja się nie interesuję ludźmi, panie Moroszkin, ale jeżeli pan ma coś na sumieniu, to ja to już odnajdę. Więc np. jest jakaś historya z Awdotyą idyotką, odkopie się tę historyę. Uważasz

pan, panie Moroszkin — takie historye jak pan ma w Rosyi na sumieniu 99 ludzi na sto. Dopóki się na nie nie zwraca uwaga wszystko w porządku, ale gdy się uwaga zwróci: fiut! zamiast dżentelmana jest katorżnik. I innej różnicy, panie, pomiędzy gentlemanem, a katorżnikiem niema. A teraz ja już na pana zwrócę uwagę, panie Moroszkin. I tak np. napisze się do naczelnika korpusu, że ja jako inspektor gimnazyum, zwracam uwagę, że pański pobyt w tym oto miasteczku stanowi przedmiot zgorszenia dla wychowańców powierzonego mojej opiece zakładu. Uważa pan, lepiej, żeby pan zauważył, że w tym miasteczku klimat panu nie służy. O wiele lepiej. I abym ja pana już nie spotykał panie Moroszkin; i jeżeli pan jest nabożny, daj pan na mszę, aby ten oto człowiek wyzdrowiał. Bo inaczej będzie źle, panie kapitanie Moroszkin. — I uważa pan, pańska żona jest obecnie w moim domu, u mojej żony. I tam lekarz pułkownik Sachs spisuje protokulik z pleców pańskiej żony. A zwracam uwagę pańską, że żona pańska zostanie u mojej żony, która jest osobą chorą i potrzebuje spokoju. I ona musi mieć spokój... będzie miała spokój, bo z ludźmi niepokojącymi moją żonę, ja się sam już załatwię. A wy dżentelmani, zwrócił się do urjadnika i dieńszczyka, precz stąd i trzymać mi język za zębami... Ciebie, kochanku, zwrócił się do dieńszczyka, — do poprawczych rot posłać zawsze można — a ciebie luby obrońco porządku też by ze służby trzeba, żeś nie słyszał, co się tutaj dzieje. No a teraz — fiut. Serwus, panie

kapitanie. I proszę bardzo, niech ja pana nie spotykam. Bo oprócz idyotki Awdotyi coś więcej jeszcze się znajdzie. Pomóżcie mu wyjść, rzekł wskazując na Wrońskiego, wsadzić na dorożkę i do szpitala gimnazyalnego. A panom też języczki za zębami trzymać radzę, z dyrektorem zaś ja sam pomówię.

— To jest człowiek — rzekł Indyk do mnie, gdyśmy wsiadali z Wrońskim do sprowadzonej dorożki. Teraz już można być spokojnym o Katarzynę Pawłownę. Kim się Kuźniecow zajmie, ten już może spać spokojnie.

Wroński mówił nawpół do samego siebie. — Teraz chciałbym żyć, słyszeliście co on mówił. Choć pięć lat, choć trzy lata żyć. Już jakbym ja pracował. Już teraz bracia, żadnej wódki. Ani kropli. Ach jakby to dobrze było żyć. Poczciwiec Wasyli Andrejewicz, jakby mi ktoś duszę pocałował. Można pocałować duszę. Poczciwy, jeszcze choć rok żyć. Teraz już ja wiem. Jeszcze możnaby coś robić, ach jaki żal, że będzie trzeba umierać.

— Będziecie żyli — rzekłem, dusząc się łzami.

— Zostawcie... nie... pewno nie...

Skąd ma siła być. Takie życie. A ona nie przebacza — natura; jej wszystko jedno. Zrównanie ci zawsze wypisze $X=0$ i śmierć. Basta cosi, jak powiada Herzen. Zazdrościłem zawsze Herzenowi. Jaki on szczęśliwy był. Pomiędzy takimi ludźmi żył. Takich miał przyjaciół. Morze, góry, muzyka. I ludzie jak morze i jak muzyka. Nie chciałoby się umierać. Na południe pojechać, i mieszkać sobie w białym, czystym domku. Śpiew, żeby był. Okna

otwarte na morze. I myśleć, myśleć. Wy nie wiecie, co to jest matematyka! Wy myślicie: liczby, liczby! Nie! A ona śpiewa, gra, jak kryształ. Cała dusza tonie w dźwięcznym, przejrzystym krysztale. Słońce niechby chodziło po błękitnym niebie. I zawsze piękne kobiety, wolni ludzie. Aby nikt nikogo nie śmiał tknąć. I inna mowa nawet niechby! Niechby nikt tą przemierzłą, niewolniczą mową nie mówił. Wziąłbym to wszystko za gardło i tak tłukł, jak tę podłą, bydlęcą, pijaną głowę. Szkoda, żem nie ubił. I skąd to jest? Tam, tu, wszędzie naokoło i w nas taka cisza, taka święta cisza. Ach, bracia, jak ja kochałem zawsze ciszę. Matematyka, to taka cicha, cicha, głęboka muzyka. Milczenie, a harmonia. Taki najpełniejszy, złoty ton. I już nic. I skąd to wszystko. Brud, krzyk, krew. Cisza, cisza. Żebym ja wiedział, że ona jest, to niechby sobie nie było Wrońskiego — matematyka, cóż! Ze mnie by łopuchy wyrosły, a ona by i tak była, jak zawsze jest. To tylko jedno wiedzieć. I jeszcze posłuchać, jak ona święcie milczy. Tylko to. A potem niechbym sobie już umarł. Tylko nie tu umierać, nie tu! Tu ludzie na cmentarzu jeszcze się po twarzy biją. Ach, nie tu! A najlepiej byłoby jeszcze żyć choć parę lat. Wasyli Andrejewicz poczciwy, głowa jego płonęła. Miał silną gorączkę i zaczynał bredzić. Wielkie integralne zrównanie, mówił. Cisza... I cóż ja tam sobie zbłąkany dyferencyał... W rachunku muszą być pomyłki. Jeżeli człowiek jest pomyłką, to nie może wiedzieć nic o całym równaniu, a ona jest, i z nas tak się błękitnie śmieje.

III.

Każdą swobodniejszą chwilę spędzaliśmy teraz przy łóżku Wrońskiego. Leżał on w szpitaliku uczniowskim, czystym białym domku w ogrodzie. Kwitnące bzy i akacye zaglądały do niego przez okno. Dwa, czy trzy razy przysłała mu bukiet róż pani Kuźniecowa. A raz jakoś w parę tygodni przyniesiono duży pęk kwiatów z bilecikiem: Katarzyna Moroszkinowa. Pani Moroszkin wyjeżdżała właśnie tego dnia z naszego miasteczka. Steroryzowany przez Kuźniecowa kapitan wydał jej paszport i jeszcze jakiś dokument, mający jej ułatwić uzyskanie rozwodu. Ze zdrowiem zaś Wrońskiego nie szło wcale ku lepszemu. Gorączka nie ustępowała i chory tracił siły z dnia na dzień. Po dniach całych leżał teraz bez ruchu, nic nie mówiąc, myśląc o czemś, czy marząc z przymkniętemi oczami. Pod wieczór dopiero zaczynał się ożywiać. Twarz płonęła, oczy błyszczały, i niepodobna było go zmusić, aby się nie wysilał i nie męczył mówieniem. Mój mózg, mówił, przeczuwa wielkie bezrobocie i funkcyonuje teraz całą siłą pary. Siedzieliśmy u niego do późnej nocy i zwykle ktoś z nas zostawał przy nim. Zachodził często i Wasyli Andrejewicz. Jakoś

w kilka dni po wypadku dla rozweselenia chorego opowiedział, jak uchronił nas od dyrektorskich gromów. Dyrektorem gimnazyum była istota z wyglądu uderzająco podobna do samowara. Człowiek niesłychanej dobroduszności, ale pełen dziecinnych ambicyi i histerycznie babskich kaprysów. Pod wpływem jakiejś *idée fixe*, lub uporu, stawał się niepoczytalny i mógł być szkodliwy. Wszystko zależało od tego, z jakiej strony zostanie mu przedstawione zajście. Wasyli Andrejewicz pojechał tego wieczoru prosto do klubu. Tam w małym pokoiku można było zawsze zastać Tichona Wasiljewicza, Tichonrawowa i Łukę Iwanowicza Zieleniewskiego. Łuka Iwanowicz był klasykiem niezmiernie nizkiego wzrostu, o głowie całkiem łysej, bezwąsej, z kępką włosów na podbródku; czynił wrażenie misternej figurynki japońskiej, z kości słoniowej wystruganej. W klubie spotykali się oni z dyrektorem codziennie już od niepamiętnych czasów. Zaczynali wieczór od partyi bilardu. Grali jednak pośpiesznie i bez przyjemności, jakby tylko dla pozoru. Po skończonej partyi udawali się do małego zacisznego pokoiku, i właściwa przyjemność zaczynała się dopiero. Przedewszystkiem Łuka Iwanowicz wyciągał z kieszeni małe wydanie Sofoklesa i pedagogowie odczytywali sobie skandując jakąś scenę. Potem żądali herbaty i Tichon Wasyljewicz opowiadać zaczynał o swojej planowanej wycieczce do Monte Carlo. Od lat dwudziestu kilku marzył o tem wieczorami, jak to on pojedzie do Monte Carlo, wróci do Rosyi, kupi sobie willę na Krymie, będzie ho-

dował róże i czytał klasyków. Łuka Iwanowicz wysłuchiwał codziennie niemal całego tego planu, w momencie jednak, gdy szczęśliwy dyrektor rozbijał już jeden bank za drugim i obładowany pieniądzmi myślał o powrocie, Łuka Iwanowicz przechodził do opozycyi.

— I na nic panu się to nie przyda, — rzekł — gdyż zaraz pana zabiją i pieniądze zabiorą.

— Jak to zabiją...

— Bardzo prosto, tam już są całe szajki poorganizowane i śledzą. W przedziale wagonu pana zarżną i wyrzucą przez okno.

— Kupię sobie przecież rewolwer — bronił się dyrektor.

— Jeszcze lepiej, z pańskiego własnego rewolweru pana zastrzelą, oszczędzi pan im kosztów, ciągnął swoje nieubłagany Zieleniewski.

Po chwili zaś dodawał: można także otruć kwiatem.

— Kwiatem? — dziwił się dyrektor.

— I cygarem można otruć, albo tabaką, ot poprostu powącha pan i koniec.

— Nigdy nie biorę tabaki od obcych.

— Doskonale się zabija też kurarą. Mam zatruty kamień w pierścionku, przechodząc drapię pana w rękę, nibym niechcący w ścisku sygnetem zawadził. *Excusez Monsieur*! A okazuje się, że nie *excusez*, *a Requiem aeternam.*

— Przecież każdy nosi rękawiczki.

— Pieniądze także można zatruć — wywodził Łuka Iwanowicz. Taka zatruta paczka banknoci-

ków, liczy pan, a z niej wydobywa się niedostrzegalny pyłek, dostaje się do nozdrzów, do ust i fiut.

— Ludzie wygrywają przecież — bąkał całkiem już struty dyrektor...

— I zabijają ich też. Gdyby nie policya! I Łuka Iwanowicz zaczął opowiadać o zręczności detektywów. Zostać szpiegiem było tajnem marzeniem Zieleniewskiego. Codzień przed zaśnięciem i rano, pijąc lurkowatą kawę, — snuł przed sobą plany fantastycznych pościgów, rozpływał się nad cudami przenikliwości i przebiegłości, jakichby dokazał. Sędzia śledczy musiał pisać do kuratora okręgu, aby zakazał Zieleniewskiemu mieszać się do śledztw gdyż dzięki hałasowi, jaki wszczynał on około każdej sprawy, kilku niebezpiecznych zbrodniarzów ukryło się z pod oka władz. Znany był wypadek, że energicznie poszukiwany przez policyę włamywacz mieszkał długie miesiące, jako lokaj u Łuki Iwanowicza i pomagał mu w tropieniu przestępstw popełnionych przez samego siebie.

— Każdy z nas, panowie, musi wytworzyć w sobie jakąś manię, któraby go chroniła od prawdziwego obłędu — mówił Kuźniecow — i doprawdy najstraszliwsi są ci, którzy traktują poważnie sam swój zawód, takim, jakim jest bez żadnych ozdób i przesłon. Różnych ludzi widywałem pośród rosyjskich pedagogów w ciągu dwudziestu pięciu lat: i oprócz pijaków ostatecznych nie spotykałem pośród nich normalnego człowieka. Żywy człowiek musi czemś żyć. A żyć teraźniejszą szkołą może tylko jakiś Torquemada. I zdarzają się, zapew-

niam panów, zdarzają się całkiem inkwizytorskie natury, talenty pierwszego stopnia.

Torquemadą nasz dyrektor nie był, ale w jego spasłem ciele tkwiły słabe, babskie nerwy i nachodziły na niego kaprysy i uniesienia całkiem nieprzewidziane. Grymasi, jak popadya w ciąży, wyrażał się Kuźniecow.

Jednym z kaprysów dyrektora było tropienie przyszłych nihilistów. Po zamachu Karakozowowskim na skutek jakiegoś okólnika ministeryalnego mania ta wzmogła się jeszcze. Opowiadano anegdotki o przemowach dyrektorskich mających wpłynąć na umoralnienie wychowańców.

Ofiarę swoją dyrektor zapychał wystającym brzuchem do jakiego kąta swej kancelaryi i podreptując przed nią i wymachując krótkiemi rączkami rozpoczynał swoje filipiki:

— Nihilista, socyalista,— piszczał swoim rozbitym babskim głosem. W Boga nie wierzysz, żaby krajesz, Cyceron ci się nie podoba. Homera nie uznajesz. Buty wyżej stawiasz od Iliady, co? He? Autorytetów nie uznajesz. Co tobie autorytet. Ja mam siwe włosy. Ale tobie tylko żaba, żaba! Żaba i skalpel. A ty mi znajdź sumienie skalpelem, co? Siwe włosy przesąd, ty myślisz sobie, ot także się rozgadał, a właśnie ja ci pokażę kochanku mój, także miałem ideały, także byłem młodym. Ale za moich czasów my młodzi ludzie słuchaliśmy Granowskiego. Tak. Ja jakem Sofoklesa w oryginale czytać zaczął, świecę do kościoła kupiłem. He! Panu Bogu trzeba podziękować. Antygonę Sofokles napi-

sał, a dlaczego Sofokles, skąd Sofokles?... Wy mówicie materya. Pewnie, pewnie z waszej materyi Antygona wyskoczyła... Tu Granowski nieboszczyk.. ale co wam, wam byle Moleschott... chemia... Już w Grecyi byli sofiści, ale taki Plato... nie śmiej się żółtodziobie, nie śmiej się... Już nie tacy, jak ty z Platona sobie podrwiwali, a na dobre nikomu nie wyszło. Postępowy jaki! Ja także jestem postępowy. Tak jest, ja ci mówię, mam siwe włosy, a postępowy jestem, a dlaczego postępowy, bo mlekiem klasycznem wykarmiony... O Kalos kagathos! Humantas. Znają was! Encyklopedyści, ci także myśleli. Condorcet musiał otruć się. A ty myślisz pierwszy raz od was dopiero świat uczyć się będzie. No proszę, proszę, naucz ty starego człowieka. Pokaż ty mi swoją żabę. Już ja was znam... Teraz ogon pod siebie, a potem w krzyk. Ty teraz tak, a ja tobie siak. Wam wszystko żarty. Ty najpierw w Boga nie wierzysz, a potem wszystko na bok. Matka — przesąd! Ojciec — przesąd! Ja — przesąd! Antygona! Miłość do brata. Jaki tam brat. To wszystko zacofanie, a ja właśnie powiadam, że nic z tego nie będzie. Już ty mi swego jadu nie wypuścisz. Matkę zarżniesz, Boga z nieba ściągniesz, mnie zabijesz, cesarza zabijesz, Grygorja Karłowicza zabijesz. A wszystkiego tego nie będzie, bo ja ciebie dzisiaj jeszcze wypędzę.

Grygoryj Karłowicz był jednym z pedelów gimnazyalnych szczególniej znienawidzonym przez uczniów. Zaspokoiwszy swoją żądzę krasomówczą

dyrektor zazwyczaj łagodniał i sprawa najczęściej kończyła się na oratorstwie.

Przyszedłszy do klubowego pokoiku i przywitawszy się Kuźniecow odrazu zaatakował z najczulszej strony.

— Kapitan Moroszkin twierdzi, że klasyczne wykształcenie wpływa ujemnie na charakter młodzieży.

Dyrektor skoczył. — Jak pan powiedział? Kapitan Moroszkin? Zaraz napiszę do dywizyjnego generała. Kapitan Moroszkin podkopuje podstawy, klasycyzm jest podstawą uczuć obywatelskich, on każe nam uszlachetniać siebie.

— Kapitan mówi, że klasycyzm nie zgadza się z naszym klimatem.

— Stary sofizmat. Człowiek pod każdą strefą, jest człowiekiem. Ja się pytam pana, czy stopień szerokości geograficznej rozstrzyga o pojęciach moralnych. Ja pana bardzo proszę niech mi pan odpowie.

— Ależ to nie ja, to kapitan twierdzi, że klasycyzm wyradza całkiem niewłaściwe pojęcie o stosunkach ludzkich.

— Całkiem niewłaściwe! Wielki filozof Hegel z Antygony wysnuł całą teoryę prawa. Ale, co nam Hegel. On musi być nihilistą ten kapitan. I w armii jest ten jad. Jutro powiem rotmistrzowi żandarmów, jedno tylko słowo: Hegel i Granowski, On już mu pokaże. Poczekajno gołąbku, klimat niewłaściwy. Oni ci właśnie klimat zmienią. On się Czernyszewskiego naczytał. Klimat, proszę! Dotych-

czas był Bóg a teraz już tylko klimat się zaczął. Kwiatami zabiją, albo tabaką, Łuka Iwanowicz mówi. A dlaczego zabił? Ja nie winien. Klimat winien. Już ja ci pokażę, jak młodzież demoralizować. Ja się pana pytam, kto tu rządzi, ja czy kapitan Moroszkin? Jedno słowo tylko, ja czy Moroszkin? Więcej nic. Dobrze, dobrze. Naturalnie. Panu tylko matematyka, fizyka eksperymentalna. Pięknie. Bardzo pięknie. Niechaj rządzi kapitan Moroszkin, niechaj rządzi. Ja jutro przyjdę i powiem na głos: Boga niema, Sofoklesa niema, jest klimat, więcej ani słowa. I my mamy rząd, mamy policyę. Pięknie. Ja się tylko rotmistrza żandarmów zapytam, czy wolno Moroszkinowi uprawiać nihilizm.

— Ale poczekaj pan — przerwał Kuźniecow — bo to od tego się zaczęło. Zaraz. Wroński twierdzi: nie powinno się bić kobiet, szczególniej nahajką, a Moroszkin w krzyk: aresztować, aresztować, klasyczne wychowanie!

— Otóż to, otóż to — dreptał dyrektor — ja mówiłem, to wszystko Czernyszewski. Kobietę odstąpić można przyjacielowi, jak rzecz. W Grecyi, były wypadki, ale to w innym okresie, a Plato tylko radził. Zresztą hetery odznaczały się wykształceniem. Ale człowiek pochodzi od małpy więc cóż matka? Matka — przesąd. Żona — także przesąd. A cóż jest? Nic nie jest. Naturalnie, a potem mówi się, że można bić nahajką. Bardzo dobrze. Rodzina jest podstawą państwa? Tak, czy nie. Pytam się pana, jak według pańskiej trygonometryi — czy to

także tylko klimat? Czy wolno w naszym klimacie burzyć rodzinę...

— Ale, bo nie pozwoli pan mi przyjść do słowa. Moroszkin więc kazał swojemu dieńszczykowi bić żonę nahajką...

— Naturalnie, tego się można było spodziewać. Tylko tego. A ja panu powiadam, że tego nie ścierpię. Tu jest młodzież, tu jest gimnazyum, ja jego każę w kajdany zakuć, ja go nihilizmu nauczę. Ja się pytam, gdzie tu są żandarmi? Czy my mamy jeszcze jaki rząd? Potem dziwią się, że jest Karakozow. On się też Moleschottów naczytał... w gazetach było. Oficer zamiast ikony w rogu trzymał dzieła Moleschotta, a przed nimi lampkę palił. No tak i co wyszło? Potem pułkownika przed frontem w ucho ukąsił... Jeżeli tego Moroszkina na Sybir nie wyślą, to ja wyjeżdżam. Ja mam też żonę. Co to dla niego znaczy! Dzisiaj swoją żonę nahajką, a jutro moją. A później powie: klimat taki, upały!

— Właśnie Wroński i tak już jest w szpitalu, ciężko chory, pluje krwią...

— W tejże chwili aresztować i wysłać z miasta przed sąd wojenny. Piszę do samego cesarza. Czy urzędnik ma prawo mieć spokój rodzinny? Czy wolno kapitanowi burzyć rodzinę i kąsać uczniów?

— On go kopnął, — ośmiał się Kuźniecow.

— Wszystko jedno. Różne są formy zezwierzęcenia. Naturalnie. Czernyszewski napisał, że człowiek jest zwierzę, dlaczegóż on nie ma kopać.

W tej chwili idę tam. Sam mu pokażę... I trzeba mu odebrać tę nieszczęśliwą kobietę.

— Ono jest już u mojej żony.

— Bardzo dobrze, ja tu nihilizmu nie ścierpię. Pan kapitan u mnie zaśpiewa. Ale Wroński, Wroński nigdy dobrze nie skandował Sofoklesa.

— Tłómaczył bardzo dobrze Platona — rzekł Łuka Iwanowicz.

— Niezawodny znak. Kalokagatia. Zawsze powiadam: albo nihilizm, albo Sofokles, albo Platon, albo Czernyszewski. A teraz jest pięknie: już się Moroszkin pojawił...

— Więc możecie, panowie, być całkiem spokojni. Gdyby Moroszkin probował się skarżyć, już go nasz dyrektor ubierze, że się wyplątać nie będzie mógł.

— Jak wspomniałem już jednak, Moroszkin skarżyć się nie odważył. Bardziej niż dyrektor przeraził go sam Kuźniecow. I nie tylko nam, ale i żonie jego nic już z tej strony nie zagrażało.

Natomiast natura nie przebaczała. Stan zdrowia Wrońskiego nie pozostawiał już żadnej wątpliwości, że jego zrównanie zostało już w zasadzie rozwiązane, że lada dzień scałkuje go w sobie wielka cisza.

Uśmiechnął się słabo, kiedy Kuźniecow zakończył swe opowiadanie słowami: Widzicie panowie, że i nasza rosyjska konstytucya ma swoje dobre strony.

— Tak, tak — mówił po odejściu Wasyla Andrejewicza — ma swoje dobre strony życie rosyjskie, i wszyscy oni dobrzy i bez żadnej złości.

A tak po troszeczku człowieka rozlizują. Niema żadnej tyranii nawet, wszystkich choć do rany przyłóż — a ty giniesz tak, jakby ktoś umyślnie pragnął twojej zguby. I spytałbym się ja Tichona Wasiljewicza, dobrego człowieka, ile pokoleń on już tą swoją dobrocią dławić i dusić pomaga? Nie, syneczku kochany, ty sobie tylko głowę napakuj głupstwem wszelkiego rodzaju — a złego ja ci nie życzę nic.

— Nie jego wina — rzekł Koruta.

— Już byś ty teraz przynajmniej dał spokój. Drażnić przestań. Jedyny człowiek, któremu coś zawdzięczam jest moja matka. Z tą przynajmniej wiadomo czego się trzymać. Odrazu jeżeli ty jej wszystkich zębów nie pokażesz, żywym zje.

Egzamina szły swoją koleją, a zdrowie Wrońskiego topniało.

Na posłane do rodziców jego zawiadomienie o chorobie, nadszedł list matki: „Krawiec Mendel za komorne nie zapłacił, a łyska wprawdzie ocieliła się, ale ciele zdechło. Ojciec przegrał w karty rubla, a Praskowja kucharka stłukła pół tuzina talerzy. Ja od piętnastu lat jestem chora, a do łóżka nie kładę się, bo obowiązek swój macierzyński znam. Lewe oko całkiem prawie widzieć przestało, a pod łopatką strzyka. Pomimo to pracuję i myślę wciąż, skądby pieniędzy dostać, aby tatuś twój najdroższy miał co w karty przegrywać. Leży teraz i wzdycha żółty, jak cytryna z pijaństwa. Pan Bóg skarał mnie za grzechy takim mężem, a i z dzieci widzę, pociechy żadnej niema. Na pijaństwo i roz-

pustę żadnych pieniędzy nie wystarczy. W przeszłym miesiącu posłałam ci nowe spodnie. Mendel za nie dziesięć rubli z długu sobie odciągnął. Jak człowiek o Bogu pamięta i o matce nie zapomina błogosławieństwo boże jest z nim". I tak dalej bite cztery strony.

Wroński uśmiechnął się. Otóż to: wierna fotografia duchowa: z oryginałem zgodne!

W pierwszych dniach i tygodniach choroby interesowały go jeszcze wydarzenia zewnętrzne. Zwolna jednak wszystkie myśli jego skupiały się na śmierci, czynił wysiłki aby myśleć o czem innem. Myśl jednak zawsze krętym biegiem wracała do tego samego przedmiotu.

Zdumiewająca rzecz, mówił raz. Ja żyję. Bardzo pięknie. I niby to jest: ja, coś oddzielnego samo za siebie. Teraz czem będzie moje życie. Tem lub owem, zależnie od tego, gdzie się urodzę. Tu, czy w Ost-Indyi, w Chinach, o sto lat wcześniej, albo później. Więc właściwie mnie niema a jest to, co daje mi wszelką treść, wszystkie myśli i uczucia. Nie kocham ani nie nienawidzę innych rzeczy, jak tylko to co jest w społeczeństwie. Matematyka naprzykład. Czy ja właściwie znam matematykę? Nie. Za lat sto już tam będzie wiele nowych rzeczy. Więc właściwie mnie niema. A jest sobie tylko jakieś ono. A tymczasem umieram ja *sam*, raz na zawsze, niepowrotnie. Nic mi nie wróci tego, co mi odjęte zostało. Dzień za dniem, godzinę za godziną coś wykradało mnie samemu sobie. Czy to nie można oszaleć od tej myśli. Nieustannie umie-

rają ludzie, umierają naprawdę bezlitośnie... tymczasem nie zaznali nic, nic z prawdy, nic z właściwego życia. Człowiek dotąd wcale jeszcze nie żył. I my tak wszyscy kradniemy sobie wzajemnie życie. Jak ludzie tego zrozumieć nie mogą, jak nie mogą zrozumieć, że *ja* mogę być tylko tem, czem ci inni mi być pozwalają. My ciągle się bawimy. I przyjedzie do mnie teraz mamuleczka i powie: Synku przebacz, wiem że nie przyjedzie, ale powiedzmy tak. I cóż stąd. Ta psiakrew nic mi nie przebaczy. Twój czas przeszedł i raz na zawsze koniec.

Miał silną gorączkę.

— Koruta, czy ciebie nie drażni twój nos... Ja całe życie nie mogłem znieść swoich chudych pałąkowatych nóg i długich rąk. I teraz sam myślę, że w gruncie rzeczy to powinno być zniszczone. Ale twój nos! I ty tak na całe życie już zostaniesz. I nic innego ci już tego nie wynagrodzi. Dlaczego ty jesteś taki brzydki, Koruta. Człowiek nie powinien być brzydki. Ja tak bym chciał, aby mnie kochała kobieta. Taka prawdziwa kobieta, o pachnących włosach, pięknych oczach. Mnie nigdy nie pocałowała żadna kobieta z miłości. Wszystko było za pieniądze po pijanemu. I takem w życiu nic nie miał, tak całkiem nic. Zawsze myślałem, zbiorę pieniądze, kupię sobie całkowite wydanie Helmholza, dużo, dużo książek. I teraz ja już nigdy nic nie przeczytam. Nie powinno się marnować czasu. Nie powinno się nigdy czekać. Biedakom mówią, aby byli cierpliwi. Nie trzeba być cierpliwym,

trzeba brać, brać. Dobrze już że mnie nie będzie, tak dobrze. Rano kiedym się budził brzydziłem się sobą, jak ktoś, co ma włożyć brudną bieliznę, bo innej nie ma. I tak mi już będzie dobrze, tylko żeby to już niedługo było. I żeby jeszcze jeden dzień piękny. Dużo słońca, kwiaty. Jeden dzień.

Nie usiłowaliśmy mu zaprzeczać, przekonywać go, że nie umrze. Spostrzegliśmy, że go to drażni.

— U nas teraz w domu wielkie pranie — mówił, któregoś dnia — początek miesiąca. Ojciec jeszcze trochę pieniędzy ma i po szynkach się włóczy, albo u Łukeryi siedzi: baba taka jedna jest. Po twarzy go bije, ale ludzkie słowo dla niego ma. Matka chodzi po pokoju i milczy. Ona tak w milczeniu, jak nóż się szlifuje.

Wreszcie stało się rzeczą jasną, że dni Wrońskiego są policzone. I jednego poranka stała się rzecz nieprzewidziana. Zjawił się pop i diaczek, Wroński o tej porze zwykle był apatyczny, zerwał się, siadł na łóżku, nastroszony, jak ptak, chudy i straszny.

— Oprócz mnie nikogo nie było przy nim.

— Nie potrzeba — krzyknął Wroński — nie potrzeba.

Pop zaczął mówić jakieś frazesy, wspomniał o sądzie wiekuistym, o grzechach.

Wroński trząsł się na całem ciele.

— Nie chcę, nie chcę, nie wierzę, w nic nie wierzę. Dajcie mi umrzeć spokojnie, śmierci mi nie odbierajcie przynajmniej.

Pop nie zrażał się, podszedł bliżej, Wroński go schwycił za rękę.

— Żywych, żywych ratujcie, umarłym dajcie spokój. Tuż przy waszej cerkwi jest dom, gdzie dziesięć dziewczyn dzień po dniu ginie. Co noc są sprzedawane po wiele razy. Pójdź tam i zobacz, pójdź tam wieczór z krzyżem i zbaw je. Albo pójdź wieczór na stary ogród i tam zobacz tych, co po lochach żyją razem z dziećmi, kobietami, starcami. Tam pójdź. O mój Boże. Ja nie chcę od was nic. Nic. Wy wszyscy mordujecie mnie. Wy idźcie, idźcie precz, sam chcę umierać. Chwycił krzyż i rzucił nim z trzaskiem o ziemię. Zrobiła się scena. Pop krzyczał. Sprowadzono lekarza. Ledwie, ledwie udało się uśmierzyć popa. Lekarz mówił o gorączce, ale Wroński nie mógł się uspokoić.

— Oni mi nawet śmierć zepsują.

Była niedziela. Piękny, słoneczny dzień. Rano pani Kuźniecowa przyniosła duży pęk konwalii.

Byliśmy wszyscy od południa.

Wroński leżał bez ruchu i ciężko dyszał.

Lekarz po badaniu spojrzał na Kuźniecowa.

Zrozumieliśmy, że śmierć się zbliża.

Nastrój jednak był pogodny.

Wroński nie odzywał się, zdawał się jednak słuchać i gdy zniżaliśmy głos, kręcił głową.

Gdy Kuźniecow nachylił się nad nim, wziął go za rękę i szeptem powiedział: a ot i nie będzie biografii.

Wasyli Andrejewicz usiłował się uśmiechać: nie udawało mu się to jednak.

Michajłow z cicha mówił o religii.

— Miał on swój własny logiczny system.

Takiego Boga, który by był po za znaną nam energią niema. Tak jest. I nie może być żadnego wdania się w bieg zdarzeń. Modlitwa, post, asceza, to wszystko nie może mieć znaczenia poza nami w świecie. Ale gdy rzucam ziarno w ziemię, Bóg mi odpowiada. I to samo, gdy tworzę jakąś maszynę; to jest. Jest w nas i poza nami. Świat rozumie nasze myśli. One są z niego i on dla nich. Rzucacie duszę w przestwór i ona w nim żyje, do nas powraca nowa śmiejąca się, jak kwiat.

Chciał mówić dalej, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Na progu stała wysoka kobieta lat pięćdziesięciu w kapeluszu przybranym w dwa słoneczniki. Nie podchodząc do łóżka krzyknęła.

W kuferku niema nowych spodni. Nie znalazłam także niebieskiej koszuli. Znów powędrowało to wszystko do Cwitkesa na wódkę...

— Cicho — podniósł się Kuźniecow.

— Matka jestem, zarekomendowała się przybyła. Prawo matki jest święte. Ja dałam do szkół zdrowego chłopca. A tu co! Żadnej pociechy. Pieniądze nauczył się puszczać. Spodnie dziesięć rubli kosztowały.

Wroński siadł na łóżku, wyciągnął chudą rękę, chciał coś mówić, ale zakrztusił się i zaczął konwulsyjnie kaszlać.

W drzwiach pojawiła się nowa postać. Był to wysoki, łysy mężczyzna w poszarpanym ubraniu.

obłoconych butach. Długa broda spływała mu na piersi.

— Gdzie są moje pioruny? — krzyczał.

— Porażę, rozbiję w proch...

Był to Wiazowski.

Kaszel Wrońskiego ustał. Coś jak uśmiech wykrzywiło mu usta, z których płynęła krew.

— W proch rozbiję — bełkotał Wiazowski.

— Syn pani umiera — szepnął do ucha matki Wrońskiego Kuźniecow.

Spojrzała na niego z gniewem. Nagle jednak zrozumiała widać, gdyż padła na kolana koło syna.

— Mikoleńka, ptaszynko, jedynaku.

Wroński z wysiłkiem wyrwał jej rękę i zrobił ruch, jakby chciał odepchnąć.

Wiazowski mruczał coś, podszedł do Michajłowa i chwyciwszy go za ramię, rzekł:

— Trzeba świecę... tak wypada. Kiedy moja żona umierała, była świeca.

Potem ukląkł i on także koło łóżka, — ciężko wzdychając.

4.

Chowaliśmy Wrońskiego w dwa dni później. Cmentarz leżał o parę wiorst od miasteczka przy niewielkim klasztorze kobiecym. W piękne popołudnie szliśmy za trumną po piasczystej drodze. Historya Wrońskiego była bardzo prosta. Dziecko o dużej wrażliwości, o umyśle czynnym i nieustannie pragnącym światła i powietrza urodziło się w przeciętnej, zdziczałej rodzinie urzędniczej. Przeceniamy ogromnie ogólny poziom kultury ludzi, żyjących zewnętrznie w myśl pewnych cywilizowanych nałogów. Cywilizacya nie wchodzi w związki chemiczne z wielu istnieniami, które otacza. Pogrążone są one w niej i zachowują swą całkowitą oporność. To wtórne z odpadków cywilizacyjnych wyłaniające się zdziczenie wydaje się często rozpaczliwszem od pierwotnego. Zresztą w rodzinie Wrońskiego nie było i tych cywilizowanych szmatek. Kułak odgrywał w niej zawsze znaczną rolę. Rodzina taka, jaką jest w obecnym świecie, musi być zawsze ośrodkiem uczuć antispołecznych. Rodzina w stosunku do pozostałego świata odgrywa rolę pieczary, do której drapieżca znosi swą zdobycz. Póki człowiek utrzymuje się przeważnie

z tego, co w ten, lub inny sposób innym ludziom wydrze, rodzina nie przestanie być tem laboratoryum uczuciowym, w którem najdrapieżniejsze, najbardziej egoistyczne, zaborcze, antiludzkie instynkty przetwarzane są na modłę sielankową, nie zmieniając swej zasadniczej treści. W imię rodziny popełnia się najwięcej podłości. Ona dostarcza największej ilości usprawiedliwień. Tu przeobraża się w obowiązek względem matki, ojca, rodzeństwa i dzieci osłonięte, lub nieosłonięte łupiestwo. W rodzinie Wrońskiego stosunki te występowały z zoologiczną wypukłością.

Matka jego była nieszczęśliwą kobietą. Widziała na około siebie życie w całej jego nagiej prawdzie. Wyrosła w drobnym urzędniczym świecie, w którym głód życia prawdziwie wilczy kojarzy się z zabobonną trwogą przed życiem. Bardzo szybko spostrzegła, że mąż jej nie ma kwalifikacyi niezbędnych dla utrzymania się na powierzchni tego bagniska, w które współzawodnicy wpychają siebie bez miłosierdzia. Był to sobie cichutki, zahukany człowiek. Nie wyobrażał sobie poprostu, że jest on takim samym człowiekiem, jak jego naczelnicy, przed którymi truchlał. Zaklasyfikował on sam siebie odrazu i pragnął tylko spokoju, partyjki preferansa i wieczornej knajpki. W żonie jego grała ambicya podżegana przez strach. W sercu własnem spisany miała ona twardy zakon zoologiczny swego środowiska. Pożycie tych dwojga ludzi było drobnem groszowem piekłem. Wywlekało się tu w gniewie wszystko. Straszniejszem od bójki były słowa ob-

nażające przed dziećmi z niezachwianą oczywistością katechizmu wilczy stosunek do świata. Cały świat po za obrębem rodziny był zdobyczą, lub nieprzyjacielem. Byli pośród tych nieprzyjaciół ludzie potężni — z tymi walczyło się chytrością. Ponad tym całym zagryzającym się mrowiskiem wreszcie żył ktoś najpotężniejszy — Bóg, i ten wymagał najwięcej kłamstw i najczujniejszej przebiegłości. Bóg ten mieszał się we wszystkie życiowe sprawy. On miał ukarać ojca Wrońskiego za przegrane w preferansa pół rubla, on miał wymierzyć sprawiedliwość kucharce za ukradzioną złotówkę, przed jego sąd powoływała pani Wrońska przekupkę, która pożyczała czasem od niej pięć rubli, płacąc na tydzień rubla procentu. Gdy rubel ten nie zjawiał się, pani Wrońska wyrażała podziw, że ziemia święta nosi cierpliwie tak obłudnego potwora, jak zaklinająca się i przysięgająca nadaremno, że odda właśnie dziś, w sobotę, baba. Do tego Boga odwoływała się kucharka Domna wobec bijącego ją po twarzy prystawa, że to nie jej dziecko znalezione zostało utopionem w wychodku. Ten sam zaś Bóg miał świadczyć, że to właśnie Domna utopiła swoje nowonarodzone niemowlę — według słów oskarżycielki Akuliny. Bóg miał rozstrzygać zwłaszcza, że dziecko to pochodzenie swe zawdzięczało pijanemu kaprysowi ojca Wrońskiego. Dźwięki modlitwy, zaklęć, zlewały się tu zawsze z dźwiękami policzków. Zwykle ktoś kogoś bił, gdy mowa była o Bogu. Szedłem za trumną i myślałem, czy właściwie każda rodzina pomimo różnicy tonu nie

przedstawia tego samego typu życia. Czy nie jest dla dzieci ojciec zawsze tajemniczą istotą, wychodzącą na łowy po zdobycz, matka samicą oczekującą zdobyczy, by nakarmić swe małe. A gdy ta troska znika, czy jest lepiej. Dziecko wyrasta w przeświadczeniu, że do niego z prawa, z mocy jakiejś przyrodniczej konieczności należy to wszystko co jest niezbędne dla wygody życia.

Tuż za trumną szedł ojciec Wrońskiego. Po jego ryżych wąsach płynęły łzy. Płakała także i matka.

Po skończonem nabożeństwie w cerkiewce klasztornej ojciec nieboszczyka zbliżył się do nas. Czuć było od niego mocno wódkę.

— Bóg dał, Bóg wziął powtarzał. I zostałem jako Hiob. I przyszedł wiatr pustyni. Nieboszczyk dobry był... Nikoleńka..., rozczulił się. Ja człowiek sobie jestem zwykły, nauki żadnej ja tam właściwie nie przechodziłem. Nie za miedziane nawet grosze. A on nie gardził ojcem. Bywało matka — obejrzał się — wyjdzie gdzie, a on myk i z alkierza wyciąga butelczynę... I dostawało mu się za swoje. Małżonka moja gorących obyczajów jest, to czy uwierzycie, panowie, on za mnie nieraz i po twarzy wziął. Strasznie się ona bić lubi. Natura taka. Jak tylko co nie według woli, bić. A my ludzie wiadomo jacy? maleńkiego gatunku ludzie. Czyż możliwe jest aby wszystko według woli szło. Zrozumieć ona tego nie może. Córka Zenaidy Pawłowny fortepian ma. Gra, okno otwarte trzyma. Edukacyę i *bon ton* pokazuje. No, czyż możliwa jest rzecz, abym ja fortepian zdobył? Albo z temi spodniami

też! Spodnie to Nikoleńka mnie oddał, że to niby moje oberwane były. Na służbę wstyd. A że u mnie pod ten czas potrzeby inne wyszły — no i tak stało się. I ze wszystkiem tak. Ze strony patrzeć żal. Samej sobie odetchnąć nie da. Zawsze ją coś niepokoi, coś gniewa. Ambitny charakter ma i głowę u... u... Taką głowę trzebaby u nas isprawnikowi mieć.

Zamyślił się.

— A szkoda Nikoleńki — zaczął. — Ja przyznam się jużem myślał: uniwersytet skończy, posadę otrzyma, na starość weźmie. A tak co? Żył człowiek, męczył się, a po co? Niewiadomo po co. Nie może przecież rodzić się człowiek po to, aby papiery przepisywać i w preferansa grać.

Po pogrzebie zaprosił nas Wasyli Andrejewicz do siebie — Mikołaja Wrońskiego wspomnieć i samym pożegnać się. Egzaminy były ukończone, i trzeba było myśleć o odjeździe. Siedzieliśmy w altance przy butelce starego dereniaku. Wasyli Andrejewicz brodę nerwowo targał.

— Archimedes mówił: daj mi taki punkt, abym mógł na nim stanąć poza ziemią, a ja ją poruszę... A ja mówię tylko: dajcie mi taki punkcik, aby na nim życie przetrwać było można, aby błoto rosyjskie w duszę nie kapało. I z całą geometryą wykreślną i analityczną, z całą trygonometryą kulistą napróżno szukać: nie znajdziecie. Zawsze się odnajdzie taka jedna nić i za nią człowieka aż na dno ściągnie.

— Tego jednego ja tylko zawsze chciałem — życie

przeżyć na boku spokojnie. Już ja tam niczego nie chcę, ziemi nie dźwignę. Niechby tylko krzywdy mi nad duszę nie padły.

Odezwał się z nas ktoś, że wspominać go będziemy dobrem wspomnieniem.

— Ano to tak, panowie. Starałem się osobiście nic robić nic... Ot dwadzieścia kilka lat przeszło: chciałoby się samemu sobie coś wspomnieć. I cóż wspominać ja będę? To przynajmniej robiłem: głów nie kaleczyłem i nie wykrzywiałem, ale stałem i patrzyłem, jak inni to robili. Rady pedagogiczne przecież są. Nasłuchał się człowiek wszystkiego i zmilczał.

Nalał kieliszki.

Trąciliśmy się znowu.

— Do dna, panowie, do dna — wielki toast wznoszę... I jeszcze raz trącił się z najbliższym sąsiadem.

— Na pohybel — rzekł — wszystkiemu temu na pohybel!

— Kędy człowiek pamięcią sięgnie błoto, błoto, błoto!

— Tu, wskazał na dom w sąsiednim ogrodzie, — ksiądz mieszkał, prefekt. Wielkiego rozumu człowiek był. Z jednej strony do płotu podchodził, ja z drugiej. I tak rozmawialiśmy nieraz. Ja mu o Łobaczewskim mówiłem, on mnie Hoene-Wrońskiego fragmenty na pamięć przytaczał, Kanta tłomaczył. Do pierwszej, drugiej w nocy staliśmy nieraz w letnią noc i gadali. Człowiek o Rosyi zapomniał, o wszystkiem. Wielka jest rzecz matematyka, pa-

nowie. Całkiem jak skrzydła, i otóż na tych skrzydłach myśmy razem latali.

— A czy uwierzycie, panowie, że nie przeszło dwóch lat, po tej oto ulicy tego samego księdza na wozie wieźli w kajdanach — rok sześćdziesiąty trzeci był, i że ja tu obok furtki stałem i temum człowiekowi się nie ukłonił. Patrzył na mnie temi niebieskiemi oczami. Siwa głowa mu się trzęsła. Kozak któryś podbiegł i patryotyzm wykazał: w kark mu dał. A ja stałem, jakby całkiem nieznajomy.

— Wasyli Andrejewicz, odezwał się kobiecy głos z poza nas, a cóż ty tak! A o tem już nie pamiętasz, żeś na drugi dzień do niego do Bracławia do więzienia pojechał i do Kijowa do generał gubernatora jeździł.

— To jużeś ty mi tak kazała.

— Nie prawda — zaczerwieniła się żona wchodząc — jak możesz nawet tak mówić. Uczciwszego człowieka i odważniejszego jak ty nigdy nie widziałam.

— Daj pokój Wiera. Sam siebie człowiek najlepiej zna, i jeszcze raz, panowie, na pohybel temu wszystkiemu!

Podano drugą butelkę.

— I to jeszcze powiem, panowie, nie powinien nigdy człowiek siebie samego oszczędzać. Z gieometrycznego punktu widzenia na samego siebie trzeba patrzeć: i cóż ja jestem, mizerny punkcik, aby warto było o mnie dbać. I pamiętać, że t a m t o właściwie jest to nieskończone, a nie ja.

Z ogrodu dobiegły głosy bawiących się dzieci.

— I trudno panowie — mówił Kuźniecow — nie o sobie, ale o takich oto główkach złocistych, a kędzierzawych z geometrycznego punktu widzenia pomyśleć. Ale to wam przysięgam, że nadejdzie czas a nic innego i im nie powiem: człowiek nie powinien siebie oszczędzać.

Pożegnaliśmy się z Wasylem Andrejewiczem.

Chcieliśmy spędzić pomiędzy sobą tę ostatnią krótką letnią noc.

Pobiegłem do domu spakować rzeczy i pożegnać się z rodzicami Adasia. Pomiędzy nim a matką i ojcem stosunki były bardziej niż kiedykolwiek naprężone. Adaś miał wyjechać na kondycyę, aby uniknąć nieustannego szpilkowania. Na mnie pan Bielecki też zezem patrzył, a miarkował się tylko przez wzgląd na majątek mojego ojca. Sytuacya zaostrzyła się od czasu przygody z księdzem Wincentym.

Istniał zwyczaj, że maturzyści szli do księdza przed pierwszym egzaminem prosić o błogosławieństwo.

Zbierano zazwyczaj składkę i tę po całej ceremonii doręczano księdzu w jakim haftowanym pularesie, lub wyszywanej paciorkami portmonetce. Ksiądz za to po skończonych egzaminach odprawiał uroczystą mszę z kazaniem specyalnie do młodzieży zwróconem. W tym roku jednak ksiądz Wincenty nie domagał. Doktór zakazał mu odprawiać nabożeństwa ze względu na wilgoć i chłód, panujący w kościele.

Do składek zabrakło pretekstu...

Pomimo to nabożniejszym wydawało się świętokradztwem otrzymać błogosławieństwo gratis.

Pierwszy podszedł do księdza jeden z braci Turskich. Podczas, gdy ksiądz mruczał swoje zaklęcia, Turski wsunął mu do rękawa banknot.

Ksiądz natychmiast zoryentował się w sytuacyi i każdemu następnemu podstawiał już rękaw tak, aby manipulacya łatwiejsza była do wykonania.

Wszystko było dobrze, póki po błogosławieństwo podchodzili chłopcy z rodzin przestrzegających tradycyi i przechowujących ideały narodowe.

Nadeszła jednak kolej na Adasia.

Tu zaszło coś nieprzewidzianego.

Ksiądz mruczał już przez długi czas łacińskie wyrazy, ale do rękawa nie przybywało nic. Przypuszczając, że Adaś nie mógł na czas przygotować pieniędzy, ksiądz od jednego błogosławieństwa przechodził do drugiego, deklamował całą litanię. Adaś stał nieporuszony i przyglądał się księdzu.

Później ksiądz Wincenty zapewniał, że mrugał on nawet lewem okiem.

Wreszcie sytuacya stała się niemożliwa: czułem, że parsknę śmiechem. Chcąc uniknąć tego, wybiegłem. Jakaś stojąca przed księżym gankiem dewotka twierdziła nawet, że trzasnąłem drzwiami.

Po chwili wybiegł Adaś czerwony od powstrzymywanego śmiechu.

Długi czas tego dnia nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy bez śmiechu, przypominała się nam bowiem twarz księdza Wincentego.

W domu tymczasem zbierała się burza.

Nińcia i Bińcia miały wypieki, kiedyśmy wchodzili.

Pani Bielecka leżała na otomanie, trzymając głowę w zawieszonym na haku rondlu. Był to niezawodny środek na migrenę i nieomylny znak cierpień duchowych.

Pan Bielecki chodził bez krawata i chwytał się za gardło, ukazując w ten sposób, że się dusi.

Gdy Adaś wszedł, usłyszałem od razu krzyk:

— Wszyscy Bieleccy obracają się w grobie.

Mój czcigodny kuzyn i jego rodzina nudzili się potwornie. Nuda zaś usposabia znakomicie do wszczynania tragiedyi rodzinnych.

Wszyscy, nawet lecząca się rondlem ciocia Bielecka rozkoszowali się lubieżnie wprost sposobnością wplecenia w życie monotonne i bezbarwne czegoś podobnego do wydarzenia.

Przekonania są potrzebne szczególniej w rodzinnem życiu, jako ideowe uzasadnienie i upozorowanie scen histerycznych, których znędzniałe, pozbawione wrażeń nerwy łakną, jak pokarmu.

Teraz cała rodzina drżała, aby sposobność nie wyśliznęła się. Nie było jednak o to obawy: i my z Adasiem byliśmy rozstrojeni przez egzamina i chorobę Wrońskiego.

— Czy wiesz — wołał pan Bielecki — że ja twój ojciec rumieniłem się za ciebie. Pytano mnie, czy to są staropolskie zasady mojej rodziny. I nie umiałem odpowiedzieć. Stałem upokorzony i my-

ślałem, za jaki grzech spada na mnie jeszcze i ta korona cierniowa. Jeżeli to szlachetna duma rodowa jest tym grzechem, który karzesz Panie w krwi mojej, to zważ, że my szczycimy się tem tylko, żeśmy wiary Twojej do ostatniej krwi naszej bronić byli gotowi. Tu zachłysnął się i zrobił giest duszenia.

— Adasiu, dziecko moje — odezwała się zbolałym głosem pani Bielecka — opamiętaj się. Jesteś na złej drodze, szczycisz się ze swego wykształcenia i zapewne wstyd ci, że masz tak głupią matkę, ale jaka jestem, taką już mieć musisz, a mój własny chłopski rozum mam. Ksiądz jest słusznie rozgoryczony. Dojdzie do ciotki Walentyny i cofnie nam pomoc, a stryj Emilian taki nabożny.

— Hrabina Pelagia odkłoniła mi się tak chłodno dziś, że nie odważę się pójść na ten podwieczorek.

Familia była w swoim żywiole.

Adaś ogłuszony, zakrzyczany w pewnej chwili całkiem machinalnie zagwizdał.

Pani Bielecka zerwała się.

— Precz — rzekł pan Bielecki — to są chłopomańskie maniery. Rylskiego drogą pójdziesz, precz mi z oczu, uszanuj siwe włosy ojca. Tu jest polski dom.

— Który się iluminuje na cześć ocalenia cesarza — krzyknął Adaś. Tu u nas niema żadnej Polski. Co ojcu po jakiejś Polsce, to nie jest as atutowy, ani znaczona karta.

Pan Bielecki padł na krzesło i zamknąwszy oczy, zaczął ruszać nogami, jak człowiek tonący.

— Kona — krzyknęła Nińcia.

— Zabiłeś ojca — jęczała pani Bielecka.

Adaś wybiegł na miasto.

Ze mną państwo Bieleccy byli też sztywni, zwłaszcza płeć piękna od czasu, gdy na wątpliwość pani Bieleckiej, czy ojciec zaaprobuje moje zachowanie wobec księdza, odpowiedziałem, że znam mego ojca i że dla niego właśnie, jako dla rozumnego, religijnego człowieka wszelkie szalbierstwo religijne jest głęboko wstrętne i wzbudza niesmak.

— Księdza Wincentego szanuje hrabina Pelagia.

— Ojciec mój nie szanuje za to hrabiny Pelagii — rzekłem.

Słyszałem potem, jak pani Bielecka wołała do męża: czy pozwolisz temu młodzikowi znieważać swoją żonę....

Pożegnaliśmy się więc z ciocią i kuzynkami bardzo chłodno natomiast pan Bielecki zaszczycił mnie rozmową.

— Dziwię się — mówił — kuzynowi Oktawiuszowi, że kuzynka do naszych szkół do Galicyi nie wysłał. Bo, że my chudopachołki musimy znosić, że nasze dzieci mieszają z tą dziczą, to inna sprawa. Ale kto może... zapewne, zapewne... Kuzyn Oktawian statysta jest... Senatorska głowa, zawsze mówiłem to — ale ciężko, panie dobrodzieju, ciężko patrzeć na to. Czy to Adaś taki był? Dzisiaj kuzyneczek inaczej na to zapatruje się, ja wiem. Demokracya, zasady! Panie Boże miły! Byłem i ja młody, panie dobrodzieju. Nie ten jest Bóg, który w Sykstyńskiej kaplicy, lecz ten, co z rozwichrzoną

brodą, z mieczem w dłoni na czele ludów. Tak! Tak! Ale z doświadczenia i szczerego przekonania mówię jest różnica między nami. U nas nawet taki Mierosławski był pan z fantazyami. A tu ta ich demokracya, panie, czyste chamstwo! Wy sobie, panowie młodzi, myślicie, że my już nic nie wiemy, o niczem nie myślimy. A my po swoich gabinetach, po naszych dworkach, dzień i noc, kuzyneczku, myślimy. I wspomnisz, kuzyneczku, moje słowa. January Bielecki ci to mówi. Brak zasad ich zgubi, podstaw niema. I nie może inaczej być: niema godności ludzkiej, wiary niema i patryotyzmu, miłości ojczyzny. U nich nawet samego tego wyrazu niema: ojczyzna. Uważasz kuzyneczku, brak zasad. I rozsypie się to jeszcze wszystko. Instynktu społecznego niema. Dziś ty urzędnik, pan, a jutro chłop! I przyjdzie taki czas. Jak Grecya w starożytnym Rzymie. Okaże się, że bez nas ani na krok. I my czekamy teraz. Nic tylko czekać i zasad przestrzegać. — Kuzyn Oktawian spenetrował to już wszystko pewno. Ale zasady, kuzyneczku, January Bielecki to mówi. I ja w młodości różnie tam. Poglądy, filozofie. Ale dziś jedną nogą w grobie już staję, mówię jak ten mędrzec: pół wiedzy odwodzi od Boga, cała wiedza powraca do niego. I tak jest. Starzec doświadczony ci to mówi. Na drogę życia przyjm tę radę od doświadczonego krewnego: siłą naszą są nasze zasady.

Pamiętam ich tych statystów z dworków wiejskich i pałaców. Porujnowani obywatele i magnaci, od zielonego stolika wstając, przy którym grali

w hazardownego dyabełka, czy poczciwego preferansika, wracając z kolacyi z baletnicami, lub z jarmarku, gdzie dawali ujście staroszlacheckiemu temperamentowi, lub też odrywając się od ulubionego niekończącego się nigdy pasyansa, jaki rozkładali niezmordowani po ośm, dziesięć godzin na dobę, wszyscy oni mieli to jedno słowo na ustach; tem dziwniejsze, że naprawdę przekonani byli, że w ich życiu odgrywa ono jakąś rolę. Wierzyli, że bronią oni tych jakichś zasad, dochowują im wiary. Nie wątpili o wyższości swojej i swego środowiska, zdawało im się, że panują nad życiem, że mają prawo wzruszać ramionami nad wszystkim i lekceważyć wszystko.

O jakże tu niedostrzegalnie, codziennie, spokojnie z łagodnym uśmiechem na ustach i gołębią słodyczą w sercu mordowano dusze i umysły.

Tu układały się i powtarzały dziwne legiendy.

Z dumnym uśmiechem, mówiono sobie, jak rozbił na głowę Klaczko Bismarcka. Jego jedynego, jego przenikliwości i szlachetnej wierności zasadom boi się żelazny kanclerz.

Nie dostrzegano, nie chciano dostrzegać, że z dnia na dzień wyrasta naokoło nas nowe nie znające już nas, nieznane dla nas i niezrozumiałe życie.

To wszystko były tylko zmyślenia chwili, wybryki mody, piana zdarzeń powierzchownych i nic nie znaczących.

Dzisiaj ja rozbity i wyrzucony po za życie czło-

wiek przeklinam cię jeszcze, ty roztkliwiająca dobroci polskich rodzin.

Ale na co się zda gniew i rozgoryczenie.

Tak być musiało i musi.

Tylko lękam się, że nadejdzie dzień, w którym zbudzimy się nagle pośród ludzkości niepotrzebni i bezradni.

Z jakim pańskim spokojem, z jaką poufałą desinwolturą sądów tu klepano po ramieniu ideje i ludzi.

Pasyansowy mędrzec lub nudzący się pomiędzy jedną a drugą partyjką, jedną a drugą budą jarmarczną męczennik narodowy z uśmiechem pobłażliwym przyglądał się, gdy syn jego wstawał z głową rozpaloną od dzieł Darwina albo Bouckle'a.

A jak lekceważono, jak umiano szczepić w lekceważenie dla człowieka, dla myśli, lub dla godności osobistej.

Ile razy i z prawdziwym smakiem opowiadał stryj Floryan, że w szkołach biją rózgami. Pamiętam, jak dowcipkował, gdy w Odesie pannie Wrzosek, aresztowanej za urządzenie jakiegoś patryotycznego nabożeństwa miano dać w policyi kilkadziesiąt plag.

Było w tem prawdziwe, a pozbawione złośliwości lubowanie się. Odżywała psychologia starostów Kaniowskich i błaznów w mitrze Panie Kochanku.

Pamiętam, jak zdziwił się stryj, gdy ciotka Emilia występowała w obronie znieważonej panienki.

— Ze wszystkiego można się przecież śmiać. Gdyby już człowiekowi żartować nie było wolno!

I żartowali oni bez ustanku z siebie, przyszłości dzieci swych, z nauki, z całego świata. Nikt tu nigdy nie był szczerym z samym sobą. Prawda wewnętrzna i zewnętrzna były raz na zawsze usunięte z tej atmosfery myślowej.

Żarty stryja Floryana były sławne. Obmyślał on je całymi tygodniami, całymi tygodniami wprowadzał w wykonanie.

Pamiętam takie zdarzenie: Przed bramą naszego pałacu ciągnął się wielki trakt pocztowy. Stryj siadywał tu i prowadził gawędy z przechodniami.

Był upał. Kupiec zbożowy, stary żyd, z którym rodzina nasza miała interesy przez lat kilka, zatrzymał się w przejeździe i po chwili rozmowy poprosił o szklankę wody. Stryj zadzwonił na lokaja. I gdy żyd wypił zapytał, mrugając na służącego.

— Wsypałeś?

— Wsypałem — odpowiedział wytresowany sługa.

Zelman, staruszek sześćdziesięciokilkoletni rozchorował się z imaginacyi: przekonany był, że wypił w wodzie coś trefnego. Stryj Floryan miał ustaloną reputacyę.

Szlachta zaśmiewała się, słuchając opowiadania a gdy w parę miesięcy syn Zelmana, przyjechawszy na wakacye do ojca z uniwersytetu posłał stryjowi wyzwanie, uznano to za doskonałą anegdotę.

— Syn starego Zelmana... ha, ha, Mojsze Zelman.

Miałem wtedy siedemnaście lat. Kazałem osiodłać konia i pojechałem do miasteczka, w którem mieszkał Zelman.

Starego nie było w domu. W zastawionym meblami salonie przyjął mnie młody człowiek o bladej twarzy, otoczonej czarnym zarostem i wielkich smutnych oczach.

— Jestem Kaniowski — rzekłem — mój stryj dopuścił się wobec ojca pana niegodnego czynu. Wzrósł w pojęciach, którym godność ludzka była zawsze całkiem obca. Jeżeli pan chce, będę się bić z panem.

Zelman uśmiechnął się, wyciągnął do mnie rękę.

— No i jakiż to byłby sens, gdybym ja strzelał do pana, a pan do mnie. Pańskiego stryja ja chciałbym nauczyć, kiedy on tego nie wie, że żyd jest człowiek. Mój ojciec nikogo nie skrzywdził, jego jedyna wina jest, że on panom z sobą żartować pozwalał. On i teraz na mnie z wielkim gniewem się rzucił, on się przeląkł, żeby mnie się co nie stało. On nawet do pańskiego ojca chciał jechać, pojechał może, choć go prosiłem. A z panem po co ja się mam bić? Z panem mnie bardzo przyjemnie się zapoznać.

Zaczęliśmy rozmawiać.

Młody Zelman był poetą. Później kiedy nie żył on już, w całej Rosyi zaczytywano się jego lirykami. Był w nich straszliwy smutek i gorąca chęć życia, miłość szczęścia i przekonanie, że nie ziści się ono.

Mówiliśmy o literaturze i położeniu żydów.

Pomiędzy innemi Zelman rzekł: Pan mi wybacz, na waszej polskiej dobroci można się zawieść, wy jak kaprys taki przyjdzie, pachciarza nawet do stołu razem z sobą posadzicie. Tylko niech on nie wyobraża sobie, że jemu to się należy. Wy jesteście dobrzy ludzie, wy mówicie: i dla żyda trzeba być dobrym.

Pochyliłem głowę.

Niech pan się nie obraża, mówiłem, ja przecież nie do pana stosuję, ja pana nie znam, zresztą pan młody jest. Ale mi smutno, że wam jest tak źle, a wy przecież tak mało jesteście ludźmi.

Gdy powróciłem, przy podwieczorku sprawa Zelmana była znowu tematem rozmowy.

Coś musiało zajść, bo ojciec był pochmurny, stryj Floryan nadrabiał miną.

— Ależ proszę cię, proszę cię, cóż mi to szkodzi — mówił stryj — ja mogę nawet do niego we fraku pojechać i w białym krawacie. Pierwszy raz coś podobnego słyszę, jutro Tychon, albo Spirydyon mi sekundantów przyśle.

Kiedy na zapytanie ojca odpowiedziałem, gdzie byłem, wybuchła burza.

Stryj Floryan wstał z krzesła i podszedł do mnie, nizko mi się kłaniając: dziękuję ci za naukę, serdecznie dziękuję. Jaja dziś od kury mędrsze. Cóż teraz, do kąta mi pójść każesz, czy może na kobiercu rozciągniesz? Proszę cię, proszę, nie żenuj się. Cóż? ja przecież, choć stryjem twoim jestem, łaskawy chleb u ojca twojego jem, dla czego masz mnie oszczędzać? I owszem, pozwól sobie.

Ojciec wstał od stołu i wyszedł.

Było mi nad wszelki wyraz przykro. Jakże nienawidziłem tej obłudnej, płaczliwej maniery, tego drapowania się w płaszcze męczeńskie.

Wieczorem w ogrodzie spotkała mnie ciotka Emilia: uraziłeś stryja, sam wiesz, jakie on ma złote serce. Kiedy wyszedł ocierał łzy. Rozumiem cię, ale wierzaj mi, że przejmujesz się nadmiernie. Ci ludzie tego nie czują tak. Żyd ten przeląkł się tylko o zdrowie.

Myślałem z pewnym strachem o lecie, o trzech długich miesiącach, które wypadnie teraz spędzić w tem otoczeniu. Już podczas świąt Wielkiejnocy, ciotka patrzyła na mnie z wyrzutem. Uchyliłem się stanowczo od bywania w kościele.

Ojciec zagadnął mnie nieznacznie. Ciotka gryzie się, wiesz jak ona jest przyzwyczajona do tych form. Jej trudno się dziwić, nie pozostało jej nic, prócz dziecka, a przeżyła zbyt wiele.

Było mi trudno mówić o tem z ojcem. Nie śmiałem nigdy być z nim całkiem szczerym.

Ja nie chciałbym martwić ciotki, powiedziałem, ale nie chcę też nikogo oszukiwać.

Nie wracaliśmy do tego przedmiotu.

Ojciec mój był religijny po swojemu. Latami całymi nie pokazywał się w kościele, ale widziałem go raz czy dwa, jak klęczał, bił się w piersi, z oczu mu płynęły łzy.

Raz było to na jakimś pogrzebie, a drugi raz zaszliśmy do jakiegoś kościoła w przejeździe. Nie było w nim nikogo.

Tego dnia modlitwa ta bez świadków zrobiła na mnie przejmujące wrażenie.

Gdyśmy wyszli, ojciec wziął mnie za rękę.

— Siebie tylko nigdy nie powinien zdradzać człowiek. Nigdy nie powinien w żadnych okolicznościach zdradzać siebie. Nie powinno się być rozumniejszym od sumienia.

Trudno mi było zrozumieć ojca i do dziś dnia nie jestem pewny, czy czytam naprawdę, w poplątanem i pozacieranem piśmie wspomnień, czy łudzę się tylko. Gorąco kochałem mojego ojca. Trudno mi zrozumieć go i sądzić. W gruncie rzeczy na dnie świadomości pozostał on tym samym, czym był dla mnie, kiedym był dzieckiem: przedmiotem religijnej czci. Buntowałem się przeciwko niemu i myśli moje wyszły po za okręg jego świata. Nie potarganym jednak został serdeczny związek dni dziecinnych. Myślę, że uczucie głęboko wrośnięte w duszę nie zaciera się nigdy. Istnieją u nas sfery wzruszeń i uczuć, w których do zgonu pozostajemy dziećmi.

5.

— Pan Bóg, kiedy stwarzał Kaniowskich, był roztargniony i przesolił, mawiał stryj Floryan.

Innym razem wywodził nas od pestki z tego jabłka, którym udławił się Adam.

— Każdy Kaniowski sterczy w świecie tak, jak kość w grdyce. Rzuć go do młyna, koła i kamienie popękają, a mąki nie będzie.

Istotnie z twardego materyału wykrzesała nas natura. Krwi skandynawskiej więcej w żyłach pozostało, mówił jeden z moich krewnych, mocno przekonany o normandzkiem pochodzeniu polskiej szlachty.

Życie mogło i umiało nas łamać, ale nie zdołało nigdy rozpuścić w sobie, zasymilować. Pozostawała zawsze jakaś oporna, nietutejsza reszta.

Jak daleko w przeszłość sięgnąć Kaniowscy darli koty z otoczeniem swoim i pomiędzy sobą.

Opowiadają, że gdy w XVII-tym wieku jakiś biskup naszego nazwiska, krewniaka swego za niedowiarstwo przeklął, ten go z własnego pałacu w biały dzień porwał, do swojego zameczku uwiózł i tam tak długo w lochu morzył, postem i samotnością usiłując prałata na rzecz Koperni-

kowskiej heretyckiej teoryi, czy innych „nowinek“ przekonać, aż wreszcie stary i uparty ksiądz ducha wyzionął, a awanturniczy wolnomyśliciel uchodzić musiał z kraju i jak wieść mówi poturczył się, do wielkich godności doszedł, a wreszcie spisek przeciwko sułtanowi uknuwszy, na palu twardego żywota dokonał.

Jeden z jego potomków, że od komunii przez księdza publicznie w kościele odprawiony został, Jezusa Chrystusa, jeżeli wie co godność szlachecka, na rękę wyzwał, a nie doczekawszy się go na posterunku do kościoła samotrzeć z kozakami wjechał, do cudownego krucyfiksu nad wielkim ołtarzem z pistoletów strzelił, „nic prócz drzewa“ mruknął i koniem zawrócił; zastępującego mu drogę przeora obalił, zakonników roztrącił i zdrów i cały miasteczko opuścił. Tenże sam Kaniowski przywódcą miał być jednej ze zbuntowanych watah kozackich, z Żeleźniakiem i Gontą w przyjaźni był i pod nazwą Ataman Czort trzymał w strachu szlachtę i regimenty imperatorowej rosyjskiej.

Inny z moich przodków, przez Katarzynę na Ural wywieziony, był sekretarzem i adjutantem Puchaczewa. Jego zaś brat rodzony był przez siedem tygodni tejże Katarzyny kochankiem. Jak kronika skandaliczna dworu petersburskiego opowiada, na wielkiej maskaradzie wystąpił w rydwanie, ciągniętym przez sześciu kamerherów, rżących z uciechy i z bólu, gdyż nie skąpo smagał ich po spasłych łydkach surowcowym biczem. Ta sama kronika mówi jednak, że gdyż tę samą metodę surowcową

w jakiej sprzeczce zastosował względem białych ramion swej kochanki, znikł nagle z petersburskiej powierzchni, a prawdopodobnie i ze świata, gdyż nigdy już potem nic o nim nie słyszano.

Jego syn natomiast był honorowym obywatelem jedynej i niepodzielnej republiki francuskiej i przyjacielem Marata, a umarł w więzieniu, jako oskarżony o współudział w sprzysiężeniu równych Grakchusa Babeufa.

Rodzony zaś brat tego spiskowca dziesięcioletnim chłopcem przez Pawła do Berezowa wysłany potem z drogi wrócony i kamer-paziem mianowany, w roku 1812 zasłynął tem, że ogłosił swoją między Napoleonem a Aleksandrem I neutralność i na dostawach do armii oraz skupowaniu od braci stryjecznych, którzy regimenty dla korsykanina szykowali, folwarków i kluczów, olbrzymiej się fortuny dorobił.

Uważał państwa i narody za fikcyę, wojnę za chorobę umysłową, księży nazywał wieszczbiarzami, i płacił im za to, by się za niego nie modlili. W majątkach swych zaprowadził sądy rozstrzygające zatargi pomiędzy bydłem i dozorującą je czeladzią, miał o wszystkiem własne i niepodobne do żadnego rozpowszechnionego zdania. Braci stryjecznych za przywiązanie do Napoleona raz na zawsze za obłąkanych uznał. Za rezydentów bym ich nie przyjął mówił, więc sobie po różnych San Domingach i Pirenejach poginęli. Dowiedziawszy się jednak, że po Celestynie pozostał syn, z niepobłogosławionego przez kościół związku z francuzką,

która dla swego kochanka z jakiegoś klasztoru uciec miała, sprowadził matkę i dziecko do kraju, wreszcie dziecko usynowił a z matką się ożenił. Ze związku tego miał trzech synów i dwie córki. Rodzinę swoją wychowywał w myśl zasady: do mojego domu nikt nie śmie się wtrącać, ja sam ojciec, sam-sędzia, sam-papież i sam-trójca święta. Żonie i córkom sam obmyślał suknie, gdyż mody zmieniały się zbyt szybko. Synów usiłował wychowywać w pogardzie dla marzycielstwa, płaczliwości i dewocyi. Żaden z nich mu się jednak dobrze nie udał. Pierwszego rozczarowania przysporzył mu syn przybrany, który zrazu w Petersburgu świetną karyerę rozpoczął, lecz w 1825 roku w spisek grudniowy się wmięszał, w cudowny sposób na okręcie angielskim uciec zdołał, na lat kilka zaginął bez wieści, w roku 1831 do kraju się przedostał, wraz z wojskiem wyemigrował. Na emigracyi zrazu był uczniem ojca Enfantina i członkiem meniemontańskiej gminy. Potem jednak nawrócił się, wstąpił do zakonu ojców Jezuitów i został w nim podobno wysokim i wpływowym dygnitarzem. Przy każdej z tych zmian dziad Ksawery wyklinał wyrodka i zmniejszał jego część w testamencie o jakąś specyalnie obmyśloną i uzasadnioną kwotę. Każdy występek dzieci był w testamencie tym nieustannie przerabianym w ten sposób karany i testament otrzymywał coraz to nowe kodycyle, które następnie przez długie lata stanowiły przedmiot utrapienia dla mojego ojca i źródło dochodów dla rosyjskich sądowników.

Nie udały się panu Ksaweremu i rodzone dzieci. O starszą z córek Julię oświadczył mu się przez adjutanta car Mikołaj I dla jakiegoś ze swych oficerów. Dziadek za zaszczyt podziękował i przepraszał, że nie wiedząc o szczęściu, jakie go może spotkać, losem córek już rozporządził. Gdy adjutant wyraził zdanie, że cesarzowi miło będzie poznać nazwiska wybrańców, by mógł i nadal opiekować się losem panienki, która zwróciła jego łaskawą uwagę, dziadek Ksawery nie zmięszany wymienił dwóch znienawidzonych przez siebie ubogich krewnych, którym ani się marzyło o konkurach. Pomimo to w sześć tygodni małżeństwa zostały zawarte i pan Ksawery przekonany już był że partyę tę ostatecznie wygrał. Mikołaj I był jednak po niemiecku systematyczny, i w kilka dni po ślubie jeden z zięciów pana Ksawerego, Ignacy Kaniowski, otrzymał nominacyę na urząd w Wiatce. Urząd przyjąć trzeba było, lecz pan Ksawery nie dał za wygrane. Mianowany, czy też raczej skazany mógł tak gorliwie smarować koło swej karyery, aż wreszcie dosłużył się rang i zaszczytów więcej niż wysokich.

Było to jedyne chyba powodzenie metody wychowawczej pana Ksawerego.

Drugi z jego zięciów miał zrazu fantazye tylko bałagulskie, gdy jednak raz przysłany mu, z okazyi pełnienia jakiejś obywatelskiej funkcyi order świętej Anny trzeciego, czy czwartego stopnia suczce swojej Dyanie na szyi powiesił, został oddany pod sąd i skazany na służbę wojskową na Kauka-

zie. Tam zrazu o mało nie zginął pod pałkami, potem niemal już całkiem zginął w jakiejś bitwie, lecz jednocześnie ocalił życie swemu generałowi. Umierając otrzymał awans oficerski i na złość rządowi wyzdrowiał, podał się do dymisyi i wrócił do domu z głową całkiem już przewróconą. Kije i szpicruteny przekonały go tak zasadniczo o równości skóry chłopskiej i szlacheckiej że niepodobna mu było tego przekonania żadnymi argumentami z głowy wybić. Mikołaj Kaniowski i jego rodzina stanowczo byli przedmiotem zgorszenia dla całej opinii szlacheckiej. Majątek został uprzednio już skonfiskowany. Dziad Ksawery po zesłaniu zięcia wziął do domu córkę i wnuczęta. Po powrocie jednak pana Mikołaja doszło prędko pomiędzy nim a dziadkiem do scen tak gwałtownych, że stary pan nie chciał nic słyszeć o tym chamie, ani o jego potomstwie. Cham zamieszkał w jakimś miasteczku powiatowym i został doskonałym cieślą! Gdy po śmierci dziada Ksawerego przypadła na niego i jego rodzinę dość znaczna suma, zawodu, uwłaczającego godności szlacheckiej nie porzucił. Rozszerzył go tylko i wkrótce zasłynął, jako wysoko uzdolniony i sumienny przedsiębiorca budowlany. Ale szlachta trzęsła się na samo wspomnienie cieśli Kaniowskiego i to z tych najlepszych, prawdziwych Kaniowskich. Pamiętam, z jaką nienawiścią wymieniano to nazwisko, zwłaszcza gdy cieśla Kaniowski, cham Kaniowski, w czasie zebrań obywatelskich w sprawie włościańskiej pojawiać się na nich zaczął i mówić znakomitą polszczyzną o cyceronow-

skich okresach prawdy tak zgrzebne i chamstwem cuchnące, że aż w końcu jenerał-gubernator kijowski rozkazał mu wyjechać z miasteczka, w którym mieszkał. Nie przeszkodziło to opinii szlacheckiej ogłosić chama Kaniowskiego zdrajcą i omal że nie agentem rządowym. Wiadomo przecież było, że służył w wojsku i dostał nawet żelazny krzyż żołnierski świętego Jerzego. Nie przeszkodziło to też w lat parę Murawiewowi powiesić upartego cieślę w Wilnie, gdy został schwytany gdzieś na Żmudzi na czele chłopskiego oddziałku. Szlachta prędko zapomniała o tej śmierci. Natomiast nie zapomniała że skonfiskowane skrypty „renegata" zostały przekazane komisyi do spraw włościańskich Milutyna i Czerkaskiego.

Nie lepiej też naogół poszły sprawy z rodzonemi synami pana Ksawerego. Było ich trzech najstarszy pan Seweryn, później pan Floryan i wreszcie mój ojciec. W czasie powstania listopadowego ojciec mój miał lat dwanaście zaledwie. On też jeden nie sprawił dziadkowi w tym czasie gorzkiego zawodu i do powstania nie poszedł. Pan Ksawery i w tym bowiem czasie pozostał neutralnym. Chował do końca życia wyrok jakiegoś sądu obywatelskiego, skazujący go na infamię i konfiskatę dóbr i czytając nazwiska sędziów wydobywał uprzejmie pisane, a ten sam podpis noszące listy z prośbą o protekcyę do władz lub pożyczkę. Chłodna i systematyczna pogarda dla współobywateli stawała się, w miarę, jak posuwał się on w lata prawdziwą namiętnością. Długi czas opowiadano

sobie anegdoty o złośliwych bolesnych figlach, płatanych przez starego borsuka swym sąsiadom. Umarł w 1846 po otrzymaniu listu, w którym pan Seweryn przepraszał go, że swem postępowaniem przyczynił się do wytworzenia zatwardziałości duchowej w jego sercu i błagał Boga, by mu pozwolił się tak pojednać z sobą, by ojciec jego nie potrzebował się już czuć duchem surowym i karzącym. Pan Seweryn należał już w tym czasie do najgorliwszych wyznawców Towiańskiego. W roku 1848 wybrał się on z misyą osobistą do cara Mikołaja, został aresztowany na granicy, wysłał z więzienia do cesarza list, za który zrazu został zamknięty w twierdzy, potem przeniesiony do szpitala obłąkanych, wreszcie zesłany do Orenburskiej gubernii. Po śmierci Mikołaja pozwolili mu podobno wrócić, nie chciał jednak rzekomo skorzystać z pozwolenia, mówiąc, że ma tu do spełnienia obowiązki, od których tylko wola Boga uwolnić go może. Mieszkał w jakiejś baszkirskiej wiosce, raz na dwa albo trzy lata przysyłał ojcu mojemu list pisany na siwym, grubym i szorstkim papierze. Ojciec mój wysyłał mu rocznie pewną nad wyraz skromną przez niego samego wyznaczoną sumę, wypłacał też z jego polecenia różnym osobom kwoty niejednokrotnie znaczniejsze. Po śmierci dziadka bowiem ostatecznie najznaczniejsza suma znalazła się w ręku mojego ojca, który jednak uważał majątek ten po części za swoją własność, po części zaś za fideikomis, należący do brata emigranta jezuity, do zesłańca Seweryna i do wdowy po Mi-

kołaju. Ignacy Kaniowski, mąż ciotki Julii część swoją skapitalizował, a stryj Floryan niedługo przeżartował swoją resztkę za wyjątkiem małej wioszczyny w naszem sąsiedztwie, w której mieszkał.

Emigrować po roku 1831 stryj Floryan nie potrzebował. Współudział jego w rewolucyi był zarówno krótki, jak oryginalny. Został on po ucieczce z domu (miał wtedy lat szesnaście czy siedmnaście) wzięty do niewoli na trzecim już popasie, nie przez moskali jednak, lecz przez wysłanego za nim w pogoń przez dziada Ksawerego ekonoma.

Odstawiony do domu, zamknięty został przez dziadka w sklepionym alkierzu i tu przez kilka miesięcy pozostawał pod kluczem, nie wypuszczano go niemal na krok. Skazany był przytem na skubanie wełny i mędlenie konopi. Sam opowiadał później, że w tym czasie uzbierało mu się w głowie tyle złośliwych konceptów, że na wykonanie ich nie starczyło mu później całego życia. Żarty swoje obmyślał nieraz stryj Floryan całymi miesiącami, następnie je wykonywał. Sąsiad jego Sitkowiecki przekopał kilkanaście tysięcy rubli, szukając złota w swym podolskim majątku. Znając jego chciwość stryj Floryan porozrzucał po jego polach i ogrodzie trochę umyślnie sprowadzonego złotego kruszcu, i Sitkowiecki stał się gadką całej prowincyi.

Najulubieńszemi ofiarami stryja Floryana byli urzędnicy rządowi. Z tymi prowadził on walkę prawdziwie nieubłaganą i w rezultacie kosztowną,

gdyż każdy grubszy figiel stawał się niebezpieczny, iż trzeba go było opłacać.

Tak było z księciem Oldenburskim naprzykład.

Był on na polowaniu pod Kaniowem i miał przejeżdżać przez jakieś miasteczko, dokąd na powitanie go sprowadzono orkiestrę gwardyjską.

Stryj Floryan jadąc w swym eleganckim powozie dobrymi końmi, spotkał właśnie zdążający z muzyką na przedzie oddział wojska, wychylił się z powozu i kiwając głową z wyrzutem rzekł: A powiedziałem przecież, że jadę incognito.

Oficer się zmieszał, zatrzymał oddział, wreszcie postanowił wrócić po nowe instrukcye.

Dzięki temu książe Oldenburgski obszedł się bez muzyki, kancelarye zapisały z metr sześcienny papieru.

Stryj Floryan zaś uchodzić zaczął za wielkiego patryotę i męża stanu.

Fama ta wzrosła jeszcze bardziej od czasu, gdy napoił on biskupa prawosławnego eparchii kamienieckiej kawą z oliwą.

Biskupisko przejeżdżając przez majątek stryja uznał, że zrobi polaczkowi zaszczyt, jeżeli u niego konie popaść raczy.

Był to czas podwieczorkowy. Było kilka osób z sąsiedztwa: miano podać kawę.

Stryj Floryan był nadskakująco grzeczny dla nieoczekiwanego gościa. Co drugie słowo cytował Jana Chryzostoma albo Bazylego wielkiego, wygłaszał aforyzmy, jak naprzykład:

„Słota uczy pokory wobec Pana".

„Deszcz poi ziemię, aby plon wydała".

„I konia należy czyścić zgrzebłem, aby lśniła się skóra jego i chędogie było siedzenie jeźdźca.

Podano wreszcie kawę. Na tacy, obok kubków ze śmietanką, pojawiła się karafinka z oliwą.

— Eminencya wybaczy nam, — mówił stryj Floryan — myśmy chociaż to post nawet, kawę ze śmietanką pić przywykli, ale dla duchownej osoby jest oliwa. A jakże! Gość w dom — Bóg w dom, a ojcowie kościoła mówią: Zachowaj zakon — ojców twoich — a Bóg ci przysporzy w sercu swoim.

Biskup poczuł, że powaga kościoła prawosławnego jest zagrożona i zdobył się na poświęcenie, a na drugi dzień gruchnęła po Podolu wieść o kawie z oliwą i o patryotyźmie pana Floryana.

W dwa tygodnie zaś przed dom stryja Floryana zajechał feldjeger i w dni kilkadziesiąt potem stryj Floryan mógł prowadzić studya etnograficzne i geograficzne w gubernii Ołonieckiej.

W ten sposób został męczennikiem i w tym ostatnim już charakterze w roku 63 głosił: spokój, spokój, spokój, bo i tak jużeśmy aż nadto wiele cierpieli.

W tym też charakterze odmówił podania ręki Mikołajowi Kaniowskiemu na jakimś zjeździe, i szlachta mogła powtarzać, że znany patryota pomimo związków krwi odsunął się od sprzedawczyka.

Ojca mojego stryj Floryan się bał, jak bali go się raczej niż lubili wszyscy niemal, z kim stykał

się on bliżej. I było to rzeczą zrozumiałą. To, co jest nieznane i niepojęte, działa w myśl swoich odrębnych niedostępnych dla nas zasad i praw — wzbudza zawsze niedowierzanie, nieufność i lęk.

Ojciec mój zaś był *pur sang* Kaniowskim. Nie zgadzał się z otoczeniem nawet wtedy, gdy szedł z nim razem. W roku 63 ojciec mój zajmował praktycznie to samo stanowisko, jakie propagował stryj Floryan. Stryj Floryan pomimo to był patryotą, ojciec mój zaś człowiekiem wielkiej głowy, lecz bez narodowych uczuć. I właściwie było to w porządku rzeczy.

Myślę, że ojciec mój, arystokrata i heglista, nie był bliższy ogółowi szlachty, niż demokrata i renegat stanu szlacheckiego, który na szubienicę murawiewowską poszedł, nie zasłużywszy, aby mu patryotyczny stryj Floryan dłoń uścisnął.

— Śladami Mikołaja pójdzie — rzekł stryj Floryan, gdym upierał się przy tem, że na studya do Petersburga pojadę.

— Nie najgorsze to może ślady, rzekł mój ojciec i zmarszczył brwi.

Stryj Floryan zamilkł i wzrok narodowo cierpiący wzniósł ku niebu.

III.

Spartakus i Szymon Słupnik.

Jesienią 1869 roku znalazłem się w Petersburgu, jako student wydziału przyrodniczego. Sam wybór tego wydziału był powodem nieporozumienia pomiędzy mną i ojcem. Nieporozumień tych było aż nazbyt wiele w czasie poprzedzającym mój wyjazd. Nie chcę ich wspominać szczegółowo.

Były to czasy, w których mój ojciec musiał wiele cierpieć.

Dzisiaj pamiętam, że w jego spojrzeniu, kiedy patrzył na mnie, migotał strach. Ale wtedy ja nie widziałem tego. Nie chciałem i nie mogłem widzieć.

Musiałem iść precz stąd, z domu, w którym ciągle wspominano.

Ja chciałem żyć, a ich wspomnienia nie były moimi wspomnieniami. Byłem zresztą w stadyum wojowniczego ateizmu i nieustannie wywoływałem sceny, po których ciotka Emilia dostawała spazmatycznego płaczu.

Ojciec bladł, patrząc na moją haftowaną z chłopska ukraińską koszulę.

Ja zaś uważałem siebie wtedy za ukraińca z obowiązku.

Każdy człowiek powinien pracować dla tych, co go wykarmili. Mnie wykarmili ukraińscy chłopi, a więc...

Nie przeszkadzało to wcale temu, żem nigdy prawie z żadnym chłopem nie mówił.

Bo i o czem?

O ateizmie, o teoryi Darwina, o tem, że trzeba wyzbyć się przywiązania do przesądów historycznych.

Rozmowy te nie byłyby doprowadziły do niczego.

I w tym czasie mój gardzący chamstwem ojciec — był o wiele bardziej w zgodzie z moim ideałem, niż ja.

On troszczył się o mieszkańców swojej wsi tak, jak o swoje rasowe bydło, lub stadninę. Ja w ich imieniu wszystkiem naokoło gardziłem.

A inaczej nie mogłem.

Ta pogarda była dla mnie takim samym odruchem instynktownym i zbawczym, jakim była dla mojego ojca jego duma.

On żył tem, że na cały świat patrzył, jak na jakiś barbarzyński chaos.

Sam siebie porównywał do Dymitra Wiśniowieckiego, zawieszonego w Stambule na haku. Był romantykiem w swem upodobaniu do efektownych porównań.

Jakże nienawidziłem ja tego wszystkiego.

Tej całej atmosfery relikwii i szkaplerzy, unii lubelskich i odsieczy wiedeńskich.

Ja przecież dzieckiem widziałem odwrotną stronę tego szychu.

Widziałem w Warszawie modlących się ludzi, rozstrzeliwanych przez żołnierzy, tratowanych przez kozactwo i czepiałem się drżących rąk ojcowskich wołając: dlaczego oni się nie biją!

W tej strasznej godzinie, kiedy z okna hotelu, ja—dziecko widziałem pletnie i szable nad głowami błagających o pomoc z nieba, widziałem jak kule kosiły śpiewających hymny, narodziła się we mnie twarda niechęć dla wszystkiego, co jest modlitwą, pokorą, a potem, a potem...

Przez długie trzy lata twarze sąsiadów mojego ojca, bladych ze strachu, drżących, aby nie padł na nich cień podejrzenia, lękających się i rządu i chłopów, lękających się śmiałości własnych dzieci.

Nie, o tym nie chcę myśleć. Pocóż mam bluzgać szyderstwem na jego mogiłę.

Niechaj śpi zwyciężony, on, który wierzył w polskiego szlachcica.

Zwyciężony...

Miszuk nie urazi słowem twojej mogiły.

On ci tylko żywemu nie mógł ustąpić.

Nie mógł, jak i dziś nie mogę cofnąć ani słowa.

Elle ne se rend pas
La commune de Paris!

W 69 roku byłem więc w Petersburgu. Przywiozłem tu razem z sobą swój niepokój i pustkę, która wołała o pełne życie.

Zrazu rzuciłem się na książki.

Nigdy już potem nie wchłonąłem w siebie takiej masy myśli.

Codziennie waliło się coś we mnie, codziennie myśl umacniała się w swojej twierdzy.

Wierzyłem wtedy, że rozum zaczyna dopiero istnieć, że należy go tylko stworzyć, tylko zdobyć formułę przenikliwie jasną i wszechobejmującą, a światło jej rozleje się po ziemi i rozpocznie się nowe życie.

Żyłem w absolutnej próżni.

Bardzo szybko przestałem regularnie uczęszczać na wykłady. Książki mi dawały więcej. Dniami i nocami nie wstawałem od swego stolika w zadymionym pokoju, czytając, notując, kreśląc. Nie odpowiadałem tygodniami na listy i otrzymywałem telegramy. Ojciec niepokoił się. A ja istotnie zapominałem o wszystkiem.

Nie było Polski, legend, wspomnień, był olbrzymi świat stwarzania się i stawania nieustannego. Z łona przekształceń się materyi powstawały formy żywe, rodził się człowiek, tworzył w sobie myśl i rozum, aby zawładnąć światem.

Określałem wtedy sam siebie, jako kawał materyi, który chce zostać myślą.

To określenie zdobyło mi pierwsze stosunki wśród kolegów.

Wśród kolegów nie znałem nikogo. Nie było tu nikogo z moich stron, nie przywiozłem z sobą żadnych stosunków, żadnych znajomości.

Byłem tu absolutnie sam w tym tłumie i zrazu było mi to nawet dogodne.

Powoli od czasu do czasu wymieniałem parę słów z tym, lub owym.

Tak raz w laboratoryum wygłosiłem do jednego z sąsiadów, jasnowłosego, różowego niemca swój aforyzm.

Niemiec był zgorszony; zaczął mi mówić o duszy. Mówił mi o *Bewusstsein*, *Selbstbewusstsein*. W końcu zaś o *Pflichtbewusstsein*.

Roześmiałem się.

Nie lubiłem tego słowa.

Przypominało mi ono ciotkę Emilię, która czytywała i rozumiała wszystko, nawet Darwina, ale skończywszy czytać, mówiła: to jest bardzo rozumne, ale my nie mamy ojczyzny i dlatego jesteśmy obowiązani szanować wiarę.

— I cóż to za Pflicht? — pytam się swojego Schultza.

Na to on mi mówi: — Ja mam teraz trzysta rubli stypendyum, jabym bardzo chciał nieraz pójść do teatru. Ja to bardzo lubię. Co to znaczy ja? Moje zmysły to lubią. O... I mój umysł, to lubi. — Ale jaki umysł? Materyalistyczny, egoistyczny umysł. I gdybym ja miał tylko ten umysł, to bym poszedł, albo bym sobie kazał zapalić w piecu, ale bilet kosztuje pół rubla, zapalenie w piecu 5 kop., a mój ojciec jest pastorem i ma dziewięcioro dzieci, więc ja ze swego stypendyum muszę posłać mu chociaż 80, choć 100 albo 120 rubli. A dlaczego muszę? Bo jest coś, co się nie zmienia, co

nie jest ani ruch ani przyjemność, ani barwa, ani nic. A co to jest? To jest to: musisz. Więc co jestem ja? Obowiązek. I dlatego ja wiem, że ja mam duszę, bo mam coś, co nie jest ani ruch, ani wrażenie, ani zmiana.

— A dlaczego pastorzy rozmnażają się nieumiarkowanie?—basem przeciągnął sąsiad na prawo o kudłatej głowie i skośnych oczach.— Obowiązek — dusza. A wcale nie dusza, tylko królicza niewstrzemięźliwość.

Schultz się zaperzył...

— Ja bardzo pana proszę, mój ojciec jest duchowny.

— I mój ojciec jest duchowny — rzekł kudłaty kolega.

— Ja nie pozwalam panu, ja bardzo kocham mojego ojca.

— No i ja kocham mojego ojca, chociaż pijanica jest, co nawet jest dobrze, bo pop porządnym człowiekiem może być tylko, gdy pije...

— Mój ojciec nie bierze do ust nawet piwa — mówił z dumą niemiec.

— To źle robi — rzekł nieubłagany wróg pastorów. Niemiec, który nawet piwa nie pije, cóż to może być za niemiec. Was i z piwem znieść trudno, a bez piwa...

— Mój ojciec wie, że każda kopiejka, to jest ciężko zapracowana kopiejka...

— Ba... i mój stary wie o kopiejce i wie, że ja mu nie poślę, bo nie mam. A choćbym posłał to i co? Też nie mówiłbym obowiązek, tylko: wó-

dka. I choćby mój stary delirium dostał, to stądby nic o mojej duszy nie wynikało.

Niemiec coś mruczał długą chwilę, wreszcie poprawił kołnierzyk i mankiety i podszedł do kudłatego.

— Nazywam się Karol Schultz — rzekł i pozwoli pan z panem nieznajomym być.

Brunet parsknął śmiechem. A ja — rzekł — nazywam się Jaszka Czernow i nie mogę się z panem rozstać, bo dusza moja rozkochała się w panu. I zresztą szanuję pana bardzo i pana ojca szanuję i pana siostry.

Niemiec próbował coś mówić, ale Czernow zwrócił się już do mnie.

— Ej wy, szlachcic — rzekł — a wy o materyi tam mówiliście... Po pierwsze polakowi nie wypada mówić „materya". Wy szlachcice mówicie: Bóg i ojczyzna. A tu materya. Pierwszy raz słyszę...

— A wy, Jaszka — zawołała z drugiego kąta młoda dziewczyna w niebieskim fartuchu: wam to też niebardzo wypada polakom o ojczyźnie mówić. Katkow wam się kłania.

— To go spotka afront, bo ja się nie odkłonię.

— Źle zrobicie. Za ich ojczyznę, Polaków Murawiew wieszał.

— Mało kogo Murawiew wieszał — tłómaczył się Jaszka. On i mnie mógłby powiesić. Karakozowa powiesił...

Jakieś zimne tchnienie powiało po laboratoryum. Wysoki blondyn spojrzał przez okulary na Jaszkę

i rzekł półgłosem: — Ej, wy Czernow nie bardzo. Potem zaś zwracając się do mnie rzekł: — Jestem Orłow. Jak pan to rozumie o materyi. Czy myśl dla pana to nie jest już materya. Jeżeli zaś materya, to dla czego mam dążyć do tego, aby stać się myślą. Myśl więc, to jest pewna forma materyi.— Chodzi więc o to tylko, jaka jest ta materya. Ja myślę, że panu szło o co innego, o to, że człowiek jest dziś materyą nieszczęśliwą, a chce się stać materyą szczęśliwą. I to jest jasne, gdyby nie był nieszczęśliwą, nie chciałby być czem innem. Chce, więc jest nieszczęśliwy. Ergo chce być szczęśliwy. Innemi słowy trzeba poznać technologię ludzkiego szczęścia.

Poczułem się, jak ryba w wodzie.

Znowu spotkałem ludzi, mówiących tym samym językiem, jakim mówiły moje myśli. Zapaliłem się. Zacząłem się spierać. Przypomniały się przegadane wieczory przy łóżku Wrońskiego. Szczęście nie wystarcza, trzeba wiedzieć, że jest ono moje. Potrzebna mi władza nad niem, pewność, że je mam, bo je stworzyłem sam.

— Ja widziałem — rzekł Jaszka — dwa razy szczęśliwą materyę. Raz było to w chlewie, a drugi w gubernatorskim domu. Raz był to wieprz, a drugi raz pokojówka gubernatora. Szczęśliwa materya wieprza była smaczna, szczególniej z kapustą i musztardą. A pokojówka miała otłuszczenie serca i dziwnie lekki mózg. Analizy chemicznej nie robiłem.

— Rosyjska myśl, jest bardzo lekkomyślna myśl

— rzekł Schultz. Wy wszyscy robicie ciągle skoki. Wy jesteście, jak wasz kraj: mało kolei żelaznych.

Z laboratoryum tego dnia poszedłem po raz pierwszy do studenckiej kuchni.

Odtąd zaczęło się dla mnie nowe życie. Samotne ślęczenie nad książką ustąpiło gawędom bez końca.

Poznałem odrazu całą masę niepospolitych ludzi. Mówię to z całym spokojem po tylu latach: ludzie ci żyli istotnie tylko poszukiwaniem prawdy. Prawdy żywej, przekształcającej samo życie, nie martwej wiedzy. Nie było dla nich rzeczy obojętnych. Myśl ich nieustannie pracowała nad rozwiązaniem zagadnienia, czem ma być człowiek. Ja więcej przeczytałem i przemyślałem od większości z nich, ale w nich była większa łączność pomiędzy myślą a życiem. Była jakaś nieustraszoność w wykonywaniu wyroków sumienia i badaniu. To ich charakteryzowało, nadawało im jakieś klasyczne bohaterskie cechy. Ich filozofia była życiem.

Tak na przykład, Aleksander Brenneisen twierdził, że człowiekowi należy się tylko zaspokojenie potrzeb koniecznych. Że zadaniem jego jest praca. Pracował też po dwanaście, szesnaście godzin dziennie. Pieniądze zaś zarobione kładł do otwartej puszki, stojącej na stole. Każdy ze współlokatorów jego mógł z niej brać, ile potrzebował, nie tłomacząc się. Społeczeństwo mi jest obowiązane dać wszystko, abym mógł być ja, to jest myśleć. Co zaś potrzeba, aby być ja? jeść, aby żyć, ubrać się i schronić, aby nie nie zmarznąć. To ja powinienem mieć.

A potem kiedy ubrane i najedzone jest zwierzę — zaczyna się ja. Tu nie ma prawa nikt, ani nic...

— A jeżeli ja moje chce tylko pić i za dziewczętami biegać, — przekomarzał się Jaszka...

— Idź, zdołasz się napić — pij, nie zdołasz, będzie źle. Zdołasz mieć dziewczynę, bierz. Nabiją — tak i będzie. Do tego nikomu nic.

— A jeżeli ja z tej oto twojej szkatułki dziesięciorublówkę wezmę i na Grochową do fraülein Gizeli pojadę... to co...

— Że ktoś jest świnia, to ja nie muszę być pastuch od świń, — mówił niewzruszony Brenneisen, swym dziwnym jakby niedołężnym językiem.

W tym środowisku żadne przekonanie, byle na krytyce oparte, nie raziło.

Ale gdy Wołoszanowicz zawiesił w swym pokoju ikonę i zapalił przed nią lampkę, usunięto się od niego.

— I co ja wam zrobiłem, — tłómaczył się on.

— Nic — odpowiedział mu Michał Zemczużnikow, ale pies wściekły też mi nic nie zrobił, a ja jednak usunę mu się z drogi.

— Ależ zmiłuj się przecież — czy ja tobie bronię Moleschotta czytać?

— Moleschotta ja nie czytam, bo on jest zacofaniec, a zresztą to inna sprawa. Moleschott mi mówi: myśl i ja myślę. A tu... psu wściekłemu instynkt powie: gryż i on gryzie. A ja skąd wiem, co tobie twój Bóg każe zrobić. Pókiś ty sam od siebie zależał, ja wiedziałem, czego się od ciebie spodziewać, ale od czasu, jak u ciebie Bóg poja-

wił się, ja już nic wiedzieć nie mogę. Skąd ja wiem, co temu twojemu Bogu do głowy przyjdzie. Ja tam nie lubię mieć z nim do czynienia. Kto chce ze mną żyć, musi sam za siebie odpowiadać.

Istotnie wszelkie zrzeczenie się swobody osobistej uważane tu było za występek.

Waria Torzecka oskarżyła raz niemiłosiernie Jaszkę o brak charakteru za to, że w obecności jej matki wyparł się Darwina.

— I wcale nie wyparłem się — mówił Jaszka, Ale sami osądźcie: pyta się mnie taka dama z trenem, z chignonami, o, o całkiem Kleopatra Egipska, w starości oczywiście. Czy, powiada, możliwe jest, aby człowiek od małpy pochodził, czy naprzykład ja podobna jestem do małpy? No i cóż ja miałem odpowiedzieć. Ależ nie, mówię, gdzież tam, ani najmniejszego podobieństwa, powiadam: małpa ma ogon od urodzenia, a pani od krawca, no i tak dalej wszystko.

— Nieprawda, oburza się Waria. Ty lepiej powiedz, coś o duszy powiedział.

— No i cóżem ja takiego powiedział? Powiada dama, że za duszę męża w trzech klasztorach nabożeństwo wieczne zakupiła, że więcej niż trzy tysiące ją to kosztowało. Więc pyta się, czy jest dusza, czy nie ma. Ja, mówi, kwity pokazać mogę. Czy ja mogę cokolwiek wobec kwitu? Tego nikt nie przewidział. Kto nie ma kwitu — to jeszcze na dwoje babka wróżyła, ale jak ma kwit...

— Z ciebie już nigdy nic nie będzie Jaszka — wzruszyła ramionami Waria.

Ale reszta towarzystwa się śmiała.

Jaszce wogóle uchodziło wiele...

— Tylko językiem nie zanadto wojuj — mówił mu Orłow, szczególniej gdy wspomniał, tak jak wówczas Karakozowa, Czernyszewskiego...

Ale Jaszka nagle spoważniał.

— Pańszczyźniani wy! krzyknął. Tfu! niewolnicy. Z pośród nas ukradziono człowieka. Takiego człowieka. Jak ja jego czytam to mądrzejszym się staję. Jego wam ukradli, zabijają powoli. Myśl wasza, sumienie wasze: a my nic, my milczeć będziemy. Psy wy, tchórze, tchórze!

I nagle podbiegł do okna i otworzywszy lufcik na cały głos krzyknął w ciemną szarą ulicę...

— Ej ty! Oddaj nam Czernyszewskiego! Czernyszewskiego nam oddaj, słyszysz!

— Czegoś się rozkrzyczał, — rzekł Zemczużnikow. Dużo krzykiem pomożesz...

— Jeżeli — jego wola — rzekł Brenneisen, nikt mu przeszkodzić nie może.

— Sam przepadnie.

— Jeżeli jego dusza znieść nie może milczenia, niech krzyczy. Inaczej ona będzie podłą duszą.

Ale Zemczużnikow podszedł już do okna. Słuchaj, Jaszka, rzekł. Czy ty wiesz, co z tego będzie, gdybyśmy nawet przed zimowy pałac poszli wołać: oddaj go nam!

— To i co — rzekł Jaszka. — Zabiliby, niechby zabili.

— Bardzo mądrze, powiedziałby Czernyszewski.

Bardzo, bardzo sprytnie to pomyślałeś: zabiliście mojego przyjaciela to i mnie zabijcie. Nieprawdaż.

— Ale milczeć kiedy twojego przyjaciela, nie przyjaciela ale świętego, mędrca zabiją — to hańba.

— Tak pozwalać na to, co zrobiono z Czernyszewskim, co zrobiono z Michajłowem, z dziesiątkami tysięcy polaków — to hańba — odpowiedział Zemczużnikow.

— My tu sobie filozofujemy, rozprawiamy, a naokoło krew płynie. Człowieka nieustannie mordują — unosił się Jaszka.

I stuknąwszy pięścią w stół, krzyknął: nie zniosę dłużej, nie mogę.

W pokoiku milczano.

Gromadka nasza ujrzała w myśli prawdziwe swoje położenie, spotkała się twarz w twarz z potworem dziejów rosyjskich.

I odrazu uwydatniła się czarna rysa.

Orłow, prawnik z zawodu, chemik z upodobania zaczął mówić swoim spokojnym, mądrym głosem.

— Nie mówi — perły wyszywa, określała jego dykcyę Waria.

— Ja myślę, prawił, że to, o czem mówi Jaszka, jest nam wszystkim znane. Wszyscy przemyśleliśmy już to. Człowiek nowoczesny nie powinien się łudzić. Życie cywilizowanych społeczeństw jest taką samą walką, jak i życie zwierząt. I nie przekonamy ludzi, że się nie powinni pożerać. Idzie poprostu o to, aby to zrozumieć i aby w tej walce zwyciężyć. Ludzie rozumni powinni dbać o to, aby

nie być pożartymi przez zwierzęta. Bo lew, który zje Arystotelesa, nie jest mędrszy od lwa, który zje cielę. Niechaj więc lew żywi się już lepiej cielęciną. A Arystoteles niechaj sam siebie uchroni i myśli, aby albo wytępić lwy, albo też je oduczyć od zjadania nawet cielęciny.

—Innemi słowami? rzekła Waria, zaciskając usta. Co? Zamknąć uszy i oczy, a w razie potrzeby pochwalić lwa i życzyć mu dobrego apetytu?

Orłow też pobladł i rzekł: Ja także czczę wysoko Czernyszewskiego, ale my, którzy rozumiemy jego myśl, powinniśmy dla tego właśnie starać się przeżyć, zyskać stanowiska i wpływy.

— I kiedy zostaniesz już oberprokuratorem świętego Synodu, każesz mojemu ojcu, aby zamiast Czetyi Mineji i psałterza czytał stadku *Czto diełat'*. Jemu to istotnie żadnej różnicy nie zrobi, zwłaszcza po śniadaniu, roześmiał się Jaszko. Ale od tego czasu Orłow rzadko już pojawiał się u nas i rozmowa w jego obecności szła opieszalej. Tymczasem zapanował nad wszystkiemi innemi tematami ten jeden Czernyszewski. I w końcu wszystkie nasze myśli i gawędy przybrały całkiem określony kierunek: oswobodzić Czernyszewskiego.

2.

Mało znałem tego pisarza.

Teraz długie godziny opowiadał mi o nim Brenneisen.

To wszystko co on napisał jest niczem w porównaniu z nim samym. On wszystko wiedział,

co go spotka, wszystko rozumiał. Pojmował, że się za nim nikt nie ujmie. Pojmował, że gubi sam siebie każdym wierszem, jaki pisze. I pisał. Nie było w nim żadnej pozy. On nie stawał na żadnym piedestale, na żadnych szczudłach, nie mówił, że jest bohaterstwem myśleć w kraju niewoli i milczenia, tylko to bohaterstwo wykonywał. I czytał mi ustępy z listów bez adresu, pisanych przez Czernyszewskiego, właściwie pod adresem Aleksandra II. Szanowny Panie! pisał on do cesarza Wszech Rosyi, jest pan z nas niezadowolony. To nie ma wielkiego znaczenia. Ważniejszem jest to, co myśli o nas szara milionowa masa. Pana ona zna z imienia, chociaż postępowania pańskiego nie rozumie i nie jest w stanie go rozumieć... O mnie, o nas, to jest o ludziach takich, jak ja, nie wie ona nic.

Gdym tego słuchał, przypominały mi się opowiadania ojca o Wielopolskim w Petersburgu.

Ojciec mój miał dla margrabiego szczególniejsze uczucie gorzkiego żalu, połączonego z uwielbieniem, którego nie mógł się pozbyć.

Rysował mi go dumnym, nieprzystępnym wśród pełzającego petersburskiego dworactwa.

Car nie miał naokoło siebie człowieka, nikt nie śmiał być człowiekiem wobec niego, myśleć, kiedy on mówił.

W Wielopolskim po raz pierwszy spotkał może Aleksander II człowieka, który go się nie bał.

Naokoło wszyscy mówili carowi — będzie to, co zechcesz.

A on nie chciał mocno niczego. Raczej się bał. Więc czuł, że grunt się pod nim chwieje, że opiera się tylko na bezmiarze tchórzostwa i słabości.

Nazbyt gardził bezwiednie wszystkimi, aby mógł na kogokolwiekbądź liczyć. Liczyć na niewolników niepodobna. Więc właściwie był sam. A gdy samego siebie w sobie szukał, nie znajdował nic: pustkę i strach, nudę i jałowość.

Miał odwagę fizyczną i sam na sam chodził na niedźwiedzia, ale nie miał wewnętrznego męstwa. Nie wiedział kim jest i dokąd idzie. I gdy zaczynał rozmyślać, odurzała go mgła myśli ciężkich i niejasnych, dusznych, jak zapach ładanu.

Kiedy w sali obrad korona polska z trzaskiem padła na posadzkę, Aleksander II widział w tym prognostyk, a Mikołaj kazałby ochłostać lokaja, do którego należało pilnować porządku w sali.

Mikołaj czuł się bogiem, a lud uważał za bydło. Czuł się oficerem, który po śmierci pójdzie zdać Przedwiecznemu raport, że wszystko w porządku. Gdy los pomięszał mu szyki, otruł się tak, jakby to uczynił urzędnik po sprzeniewierzeniu pieniędzy skarbowych.

W Aleksandrze II nie było stanowczości.

On czasami marzył, jak dobry pan, który robotnikom urządza dożynki.

Ale pragnął, aby rzeczywistość była zależna od jego kaprysu, jak marzenie.

On pragnął myśli w swym kraju, ale chciał, aby myśl ta sławiła go dobrowolnie, bez zastrzeżeń.

Dla Aleksandra II człowiek, jak Czernyszewski, człowiek nieubłaganej myśli — musiał być wrogiem.

Samo istnienie jego było niebezpieczeństwem.

Zacząłem przeczuciem rozumieć straszny dramat rosyjski.

Myśl pojawiła się tu, jak gość nieoczekiwany, jak wróg. Na olbrzymiem podłożu skutych, uciemiężonych milionów, wznosiła się piramida samowładztwa urzędniczego.

Myśl jednostek podkopywała się pod nią; już sam fakt, że nie podlega ona niczemu, żadnej zewnętrznej presyi, że sama dla siebie określa prawa, był zbrodnią.

Tu potrzebni są żołnierze, urzędnicy, nie ludzie, mówił ustrój.

I jednocześnie coś na dnie serca cieszyło się, widząc możliwość walki, wielkiej walki o przyszłość człowieka.

Tak mię wyczerpały już i znużyły walki myślowe z upiorami, że cieszyła mnie perspektywa walki rzeczywistej.

Dotąd, jak Scyt umierający, puszczałem strzały swoje w słońce i widziałem, jak spadają one bezsilne. Teraz rysowała się przedemną mroczna ziemska potęga. Ty przynajmniej jesteś śmiertelny — myślałem.

Na razie ja najjaśniej widziałem sytuacyę.

Dla moich przyjaciół ginęły ogólne linie wśród szczegółów i epizodów. Dla Jaszki wszystko po pewnym czasie stawało się anegdotą i przygodą, dla Brenneisena kwestyą stoicyzmu moralnego.

Każdy musiał dokonać wszystkiego dla siebie. Waria wiedziała tylko jedno, że jej nie wstrzyma ani matka z ogonem od krawca i kwitem na duszę, ani nic, że w każdej chwili jest gotowa się poświęcić bezgranicznie, bez zastrzeżeń dla każdej sprawy, w jaką wierzy. Zemczużnikow był praktykiem, on musiał mieć przed sobą cel określony i względnie osiągalny. Tym celem stał się dla niego teraz Czernyszewski.

Ale tu piętrzyły się od razu tysiączne przeszkody.

Jaszka z nadzwyczajną swobodą układał fantastyczne plany.

— Najlepiej — mówił — porwać kogoś, któregoś z ministrów, albo wielkich książąt. To nie jest trudno. Dość będzie zamienić karetę, pod jakimkolwiek pozorem oddali się właściwą. Na jej miejsce postawi się naszą. Brenneisen świetnie będzie wyglądał w liberyi jako lokaj. Ja siądę za furmana. Zrobię sobie brzuch z poduszek. Jeden z nas zaczai się w karecie, będzie miał w ręku gąbkę z chloroformem. Gdy nasz jegomość wsiądzie, gąbkę mu w usta i w drogę. Zamknie go się w piwnicy, każe napisać list. Uwolnić Czernyszewskiego i odstawić zagranicę, wtedy mnie uwolnią. List ten się wywiezie zagranicę i nada na pocztę w Paryżu.

Zemczużnikow się złościł, ale jego plany były wygłaszane wprawdzie poważniej, nie były jednak wcale rozsądniejsze, ani łatwiejsze do wykonania.

Było nas zbyt mało i zbyt mało mieliśmy doświadczenia.

Pojechać przebranymi za żandarmów z rozka-

zem wydania Czernyszewskiego. Jak sfałszować rozkaz? Żaden z nas nie widział nawet podobnego dokumentu, nie mieliśmy pojęcia jak wygląda.

Jaszka proponował przedostanie się na Sybir, podpalenie więzienia i zbrojny napad podczas pożaru.

Ale Brenneisen zaczął kreślić przed nami kolumny cyfr, oznaczających odległość i mówić o mrozach.

Trzeba było futer, broni, wielu ludzi i dużej sumy pieniędzy. Przytem szanse były mniej niż małe.

Pomimo to zaczęliśmy mówić o zorganizowaniu wyprawy na Sybir. Na miejscu się zobaczy.

Funduszów brakowało.

Wysłałem telegram do ojca. Bez słowa przysłał pięćset rubli.

Niech żyje polska szlachta, krzyknął Jaszka.

Zemczużnikow tymczasem sondował grunt, naokoło nas szukał towarzyszów.

Poraz pierwszy miałem sposobność zapoznać się z uczuciem obawy zdrady.

Nagle wydawać się nam zaczęły ściany przejrzystemi, na każdego naszego znajomego patrzyliśmy śledczem spojrzeniem.

Jednego wieczoru Zemczużnikow wrócił jawnie przejęty czemś. Poznałem człowieka — rzekł.

— Toś szczęśliwszy od Dyogenesa — zaobserwował Jaszka — nazwa ta przyrosła odtąd do Zemczużnikowa.

Ale nowonarodzony Dyogenes mówił:

— Dajcie spokój żartom. Mówię wam, spotkałem człowieka takiego, co wie dokąd idzie i czego chce.

W parę godzin poznaliśmy i my Wasiljewa, jak przedstawił się nam nowy znajomy Zemczużnikowa. Był to nizki blondyn, o dziwnie silnym i przenikliwym spojrzeniu. O nim można było mówić, że uderzał oczyma. A czynił to zawsze z ukradka, jakby niechcący. Oczom jego nie uchodziło nic. Myśl jego nie przestawała pracować, nie zatrzymywała się na powierzchni odsłanianej przez słowa, lecz na ich podstawie snuła wnioski. To, co człowiek mówi, to jest to, co się jemu zdaje. Ale ważnem jest nie to, co wydaje się nam, ale czem jesteśmy. Nie to więc, co mówisz, mię obchodzi, ale dlaczego to mówisz. Ty sam możesz nie wiedzieć dlaczego mówisz to lub owo, ale ja, jeżeli cię chcę znać, wiedzieć muszę. Na pierwszy rzut oka Wasiljew nie wzbudzał zaufania. Było w nim coś czającego się. Zdawało się, że jest on całkowicie obcy nam, samemu sobie, wszystkiemu, co mówi; że wszystko, co czyni on, jest mu do czegoś potrzebnem, że nic nie robi on od niechcenia.

Jaszka bardzo szybko najeżył się.

Nie lubię ludzi, którzy tak całkiem nie umieją się śmiać.

I istotnie śmiech Wasiljewa był przykry. Był jakimś jadowitym szyderstwem. I trudno było orzec, z czego szydzi on.

Naszych planów o oswobodzeniu Czernyszewskiego wysłuchał w milczeniu.

O tem już inni myśleli, wreszcie rzekł:

— Więc co? — zapytałem.

— Trzeba dużej siły, z tą siłą możnaby już coś innego zrobić.

— Co, naprzykład? — pyta Zemczużnikow.

Wasiljew zmarszczył się:

— Dużo będziesz wiedzieć, szybko zestarzejesz... A zresztą nie panowie, z was nikt się nie zestarzeje.

— Także doktor — żartował Jaszko i na jakąż to pomrzemy chorobę?

— Ja widziałem, powiedział posępnym głosem Wasiljew, Karakozowa: na tę samą...

Miałem wrażenie, że człowiek ten próbuje nas. Istotnie widziałem go potem w innych kółkach, widziałem go cedzącym ostrożnie słówka, zadającym zagadkowe pytania. Tu przeczuł, że trzeba uderzyć w silny ton.

Sam mówił później: z wami był Aleksander Brenneisen. To był ważny znak. Dajcie mi tysiąc Brenneisenów a zmienię Rosyę całą. Po chwili jednak dodał: Nie, z Brenneisenami ja nie pójdę, po co ja Brenneisenom? Oni mają stalowe serca, gwiaździste oczy. Moje oczy są, jak rysia w nocy, moje serce to nie stal, to coś twardszego od stali. Brenneisen jest wolny człowiek, a ja jestem Spartakus, książe niewolników.

I takim, jakim widziałem Wasiljewa w ten wieczór, nie widziałem go nigdy chyba potem.

— Czy wy wiecie, co to jest Rosya? Czy wy wiecie, że tu człowiek nie ma żadnego znaczenia, myśl

żadnego znaczenia. Że my wszyscy jesteśmy raby, niewolnicy. Słyszycie, słyszycie: nam nie wolno myśleć. Mojego ojca gubernator po twarzy bił, a ojciec go w rękę całował; a matka mówiła: tak trzeba, synku. Niewolnicy nie powinni mieć dzieci. A wy wiecie, ile tysięcy ludzi umiera z głodu? a wy wiecie, ilu zatłuczono pałkami za Mikołaja? A wiecie, ilu zamurowano w Szlisselburgu? A Karakozowowi nie dawano spać przez tydzień. I wy chcecie myśleć, walczyć? Jeżeli to zabawka, rzućcie— krwawa zabawka. Jeżeli wejdziecie na tę drogę, niema powrotu. Tu rządzi ślepa siła, strach, ciemnota. Kiedy was będą wieszać, czerń będzie wołać, by was ćwiertowano, jak wołała pod szafotem Obruczewa. Wy chcecie walczyć o prawa ludzkie dla zwierząt, a zwierzęta te na was poszczują i rozszarpią one was.

Pytałem się potem Wasiljewa, kiedy słyszałem, jak w innych razach roztaczał przed świeżo spotkanymi ludźmi najpromienniejsze perspektywy, jaki cel miał, mówiąc z nami w takim groźnym tonie.

— Każdy instrument ma swój ton, odpowiedział. Gdybym wam był mówił o blizkiem zwycięstwie, bylibyście nie uwierzyli.

I istotnie nie żałował wtedy mocnych barw.

— Synowie zguby wy chcecie żyć? Wasza jedna droga śmierć.

— A to kracze, rzekł Jaszka. Byłby z was dobry pop na wielki post.

A Brenneisen powiedział spokojnie: Żyję, jak

chcę, i umieram, jak chcę. Nikt mi nie każe żyć dłużej, niż ja zechcę.

— Nikt mi nie przeszkodzi, odpowiedział Wasiljew, walczyć do ostatniego tchnienia. Póki żyć będę, póki myśleć będę, póki będę miał jedno tchnienie w piersi, to i ono będzie tylko krzykiem: śmierć tyranom, śmierć obłudzie, śmierć wyzyskiwaczom.

— Wy się nie patrzcie na mnie zdziwieni. Wy żyjecie w świecie uprzywilejowanym. Wy macie dostęp do nauki, do światła, wasze kobiety są czyste, wasze serca nie zatrute pogardą dla samego siebie. Ja przychodzę ze świata potępionych. Tam żyją ci, których rozdeptał wasz świat. Kobiety tam sprzedają swe ciało i są bite. Słyszycie, słyszycie... Bite są kobiety. Przecież to siostra wasza mogłaby być bitą w ten sposób. Za liche pół rubla ściągnie ją pijane zwierzę do karczemnego numeru i bije, bije czem może; kijem, kułakiem, butem. A wy wiecie, że taka obita, opluta, osiniaczona kobieta może mieć gdzieś u siebie w jakimś zgniłym, śmierdzącym kącie dziecko. I wy chcecie żyć, uczyć się, myśleć. Póki choć jeden człowiek ginie w świecie, póki choć jedno życie jest tak wdeptane w błoto, nie warto żyć, nie można żyć, jak tylko walcząc. Krew wszędzie, wszędzie ludzka krew. Purpurową krwią spisane są książki waszych uczonych, wasze prawa pisane są łzami głodnych dzieci. Wasza cnota nie wyprała swoich szat z krwi. Padliną żyje wasz świat. Wy się dziwicie, że ja mówię do was w ten sposób, że ja nie mam wymuskanych, wy-

mytych słów. Nie. Ja nie jestem z waszych kółek. Ja nie chcę uczyć się, doskonalić, ja nie jestem nic poza walką. Temi oto rękami zadusiłem człowieka: jestem Sergjusz Nieczajew.

Wielki łowca dusz, człowiek, który ujarzmił takiego nawet węża uwodziciela jak Bakunin, nie pomylił się i tym razem. Wybaczyliśmy mu wszystko za siłę nienawiści, za elementarne, żywiołowe tchnienie walki i samozatracenia. Na żadnej innej drodze nie byłby Nieczajew doszedł tak szybko do porozumienia z nami. Teraz gotowi bylibyśmy iść z nim razem. Moje pięćset rubli poszły na fundusz podstawowy rewolucyjnej drukarni.

3.

Początkujący rewolucyonista znajduje się w specyalnych warunkach psychicznych. Są rzeczy, które on jeden jest w stanie wykonać w pewien sposób. Do rzędu rzeczy tych należy rewolucyjna literatura. Pracom rewolucyonistów początkujących może zbywać na wiedzy, na doświadczeniu, na zwartości w rozumowaniu i argumentacyi. Posiadają natomiast pewną im tylko właściwą świeżość wiary. Nie nauczony przez doświadczenia młody działacz wierzy w natychmiastowość skutków. Słowa jego mogą zaprzeczać tej młodej wierze, ograniczać ją, uwarunkowywać, ale to jest pozór. Jest to doświadczenie wmówione. Na dnie serca młody rewolucyonista wierzy, że każde słowo przez niego napisane i wydrukowane w potajemnej gazetce stanie

się natychmiast ciałem i krwią. Dlatego też w pismach jego pulsuje nie zastąpiona przez nic bezpośredniość. On sam drży z niecierpliwego męstwa, gniewu, radości, wyzywającej niebezpieczeństwa, gdy pisze. I przejęcie to udziela się jego słowom, poprzez słowa zaraża czytelnika. Tak pisaliśmy naszą gazetkę i nasze proklamacye w drukarence założonej przez Nieczajewa. Była ona więcej niż prymitywna, składała się z niewielkiej ilości czcionek, z drewnianej ramy i dwóch kawałów marmuru. Marmur zdobyła Waria z letniego mieszkania matki, gdzie istniał w altance marmurowej stolik ogrodowy. Rozbiliśmy blat na dwie połowy i oddawał on nam wielkie usługi. Dzięki niemu proklamacye nasze i gazetka równiej i czyściej były drukowane niż w innych ówczesnych rosyjskich drukarniach potajemnych. Z czcionkami było istotnie kuso, mieliśmy szczególniej mało niektórych liter: pamiętam, że często brakowało litery r, to też nakazywało się współpracownikom, aby z tą zbytkowną literą obchodzili się jak najostrożniej. Wyraz barbarzyńca został całkowicie wycofany z obiegu, aż dwie litery r w jednym słowie. Zastąpiliśmy go przez Kanibal. Drukarnię urządziliśmy w mieszkaniu wynajętem przez Brenneisena. Miało ono wielką zaletę, gdyż stanowiło część wielkiego lokalu najmowanego przez głuchoniemego krawczynę, którego żona upośledzona była również w ten sam sposób. Mieściła się nasza drukarenka w koszu, który stał w mniejszym z dwóch zajmowanych przez Brenneisena pokojów. — Wadą

było to, że pokój nie miał drugiego wyjścia, ale za to wejść do niego można było tylko przez wielki pokój, służący Brenneisenowi za pracownię i jadalnię. Zresztą okno naszego pokoiku znajdowało się co najwyżej o dwa łokcie ponad daszkiem jakiegoś składu, czy stajni. A z daszku tego nie trudno było dostać się już na ziemię. Nieczajew dostarczył nam rewolwerów a Brenneisen oświadczył, że żywym go policya nie weźmie. Tymczasem wziął się gorliwie do drukowania, pisanie sprawiło mu mniej przyjemności. Mnóstwo talentów natomiast odkryliśmy w Jaszce. Przedewszystkiem zaczął on sypać, jakby z rękawa artykułami, proklamacyami. Sam on podrwiwał ze swego pisania i gdyśmy go chwalili, gwizdał przez popsute zęby. W istocie jednak obchodziło go bardzo, jakie wrażenie robią jego artykuły. Przytem on jeden z nas wszystkich najmniej troszczył się o zdanie Nieczajewa. Nazywał go Napoleoniątkiem i pokpiwał z niego, czem wzbudzał wielki gniew Warii Torżeckiej. Waria stała się prawdziwie genialną dostarczycielką pieniędzy. W tym czasie Nieczajew potrzebował ich nieustannie i ciągle narzekał na ich brak. Miałem wrażenie, że bardziej niż pieniędzy jeszcze brakuje mu ludzi. Sam on piętnował nieustanne palącymi wyrazami niewolnicze instynkty i tchórzostwo Rosyan.

— „Im by tylko książeczkę czytać:

— Dzień dobry Wasyli Iwanowiczu, a co słychać?

— Wszystko dobrze Iwanie Wasyljewiczu. W Ka-

zańskiej gubernii do głodnych chłopów kartaczami strzelali. Stu czy dwustu zabito.

— Ot co? ja zawsze mówiłem, że my mamy niemożliwy ustrój.

— Wasza racya... głodnemu po co kartacze.

— Oczywiście, głodny potrzebuje chleba.

— Naturalnie: chleb powinien być dla wszystkich...

— Tak oto właśnie: ja teraz o tem piękną książkę czytam.

— A ja czytam o szkodliwości prostytucyi...

— Także ważna kwestya. To po przeczytaniu poproszę...

— Z przyjemnością, z przyjemnością, wzajemnie.

I całkiem to oni, jak te instytutki książeczkami się mieniają. A nie, to jeszcze lepiej: ja tobie dam piękną ideę i ty mi dasz piękną ideę i basta.

Na chłopskiej pracy wszystko to wykarmione: na pańszczyźnie i po pańszczyźnianych haremach porozwijało sobie indywidualność.

Indywidualność.

Z całej rosyjskiej szlachty jeden tylko Bakunin był człowiek. I trzeba widzieć było, jak go Herzen nieboszczyk z góry traktował".

Zemczużnikow próbował ująć się za Herzenem. Jego dzwon budził całą Rosyę.

— To właśnie: a wcale jej budzić nie było potrzeba. Tej jego Rosyi: niech by ją był rozbudził czerwony kogucik a topór.

— A potem? — spytał Zemczużnikow...

— A cóż? potem ogień i krew, ogień i krew, ażby

został sam chłop i sam robotnik, a wtedy ty jego budź a nie daj mu zasnąć, a nie daj mu stworzyć sobie nowych bogów.

Jaszka zmrużył oczy. A jakby, powiada, chłop popalił krzyże, a potem sobie dla odmiany z Dniepru wyciągnął na nowo Peruna.

— To już nasza rzecz, aby mu Peruna obrzydzić, rzekł; na człowieku ponarastało dużo dzikiego mięsa. Topór będzie miał robotę.

Brenneisen rzekł cicho i spokojnie.

Ja z wami idę tylko do topora, potem nie.

Nieczajew z Brenneisenem nie spierał się nigdy, nazywał go Szymon Słupnik, ale szanował.

— Do topora, rzekł, ani ty, ani ja nie dożyjemy, a potem dodał: chociaż, kto to wie. Gdyby było więcej krwi w narodzie.

O Herzenie mówił Nieczajew z nienawiścią...

— Plantatorską duszę miał człowiek, który napisał, że loretka w tem podobna jest do cielęcych kotletów, że jedną i drugimi można się rozkoszować, ale mówić o nich nie można.

Loretka to już dla niego nie był człowiek. To już był człowiek inny: upadły. I wy mi tu jeszcze będziecie mówić, że nie w pańszczyźnianych haremach oni wyrośli. Człowieka do kotletów porównywać. I jedno i drugie dla mnie. Upadli ludzie! upadli ludzie. Ludzie, których jedzą i którzy jedzą innych. Kto wie, co jest wstrętniejsze... Loretka jest upadła, jeżeli was nie rujnuje, jeżeli nie jeździ po was jak po mułach. Kokota bijąca bankiera pantoflem po twarzy, to też protest.

Dowcip Nieczajewa znikał, gdy brał on pióro do ręki.

Pisał on w sposób urywkowy, ostry, nieprzekonywający.

— Jak ja mam pisać, kiedy pomiędzy mną, a niewolnikami nic wspólnego niema. Stał on istotnie całkowicie z tamtej strony. Dla takich ludzi, jak Nieczajew jeden już tylko język: gilotyna. Był on jedynym znanym mi chyba przykładem terorysty w przekonaniowym znaczeniu systematu. Dla niego śmierć była nie środkiem walki, ale jakąś niecofnioną koniecznością. Jak Marat mógłby on obliczać ilość głów, które strącić z karków należy.

Pisanie jest odkrywaniem niespodzianek w samym sobie. Nieczajew już niczego nie odkrywał. Wykonywał on. Dawał gotowe wyroki.

Natomiast Jaszka był niewyczerpany.

Dziś układał liturgię żałobną nad Rosyą wyśpiewywaną przez Iwana Groźnego. To znowu pisał straszliwą biografię Mikołaja. To gradem szyderstw zasypywał Aleksandra II, to od imienia matuszki popadyi pisał list do Katkowa.

Proklamacye natomiast mniej mu się udawały.

Te pisał znakomicie Zemczużnikow. Zwarte i logiczne prowadziły konsekwentnie do wniosku, że rewolucya jest konieczna, zbawienna, nieunikniona.

Na przestrzeni kilkudziesięciu wierszy umiał on wykładać najzawilsze sprawy w sposób tak jasny, że stawały się one prostemi.

I prostemi były one istotnie, gdy się miało odwagę odrzucić cały splot istniejących stosunków.

My zaś z rzeczywistości istniejącej nie pragnęliśmy ocalić nic, nic nie pragnęliśmy przenieść po przez płomienną rękę rewolucyi. Aksjomatem było dla nas, że nic z tego, co jest związanem ze stanem niewoli człowieka nie zasługuje na szacunek bezwzględny. Człowiek swobodny zdoła chyba stworzyć, gdy zapragnie, wszystko to, co miało jakąś wartość w dziele ludzkości niewolniczej.

— Człowiek nie powinien zależeć od rzeczy, mówił Brenneisen, ale jednocześnie dodawał: A nie jest swobodnym ten, który kocha, musi kochać jakąś rzecz.

On jeden z nas wszystkich zapatrywał się sceptycznie na chłopskie pojęcia o ziemi. Kto pragnie ziemi jest niewolnikiem ziemi.

— Na chmurach jęczmień się nie rodzi, żartował Zemczużnikow, a z Marsa transporty zboża nie przychodzą.

— Człowiek musi żyć z ziemi, ale nie powinien jej dostrzegać. On powinien być j a i kochać to, co jest j a, odpowiadał Brenneisen.

Nie przeszkadzało to jednak mu z najwyższą cierpliwością składać nasze hymny na cześć gminy.

Przewyższając nas wszystkich wyrobieniem moralnem Brenneisen najmniej z nas znał przeciętne życie.

On nawet uzasadniał tę swoją niewiedzę.

— Ja nie jestem wcale obowiązany znać, co jest rzeczywistością niższego typu. Ja wiem, czego ja chcę. I chcę tak żyć, jak chcę i mogę. Tak kiedyś będą żyli wszyscy ludzie. Ja chcę żyć tak jak

będą żyli kiedyś. Ja nie mogę zrzekać się siebie dlatego, że urodziłem się w tak mało rozwiniętym wieku, jakim jest nasz XIX.

Brenneisen rzadko mówił. Częściej słuchał. Decyzyi swojej nie zmieniał prawie nigdy.

— Szymon Słupnik, mówił Nieczajew, jest największy siłacz.

Istotnie czuło się w Brenneisenie obecność skupionej siły. Wzbudzał on szacunek, zbliżony do strachu, gdyż czyny jego i słowa nacechowane były znamionami potęgi wyższej i nie zawsze dla nas zrozumiałej.

Waria bladła i mieniła się, ile razy mówił do niej. —

Nie dziwiliśmy się temu, gdyż nawet Jaszka milkł w środku nieskończonego żartu, gdy poczuł na sobie jasne i ciężkie spojrzenie Słupnika.

O tę to siłę, którą czuliśmy, strzaskało się istnienie naszej drukarni, a stało się to blisko w miesiąc po jej założeniu.

Już w pierwszym tygodniu drukowania zauważyliśmy, że najtrudniejszą bodaj stroną sprawy będzie rozpowszechnianie naszej literatury. Pomiędzy naszym kółkiem, a resztą studenckiego światka całkiem spontanicznie powstała próżnia. Odcięliśmy się od życia i musiało być w nas coś, co mroziło zbliżenie. Być może był to wpływ surowej postaci Brenneisena. Stanowiliśmy pewien rodzaj wysepki, pomiędzy którą, a światem płynął nurt lęku i nieufności wzajemnej. My sami nie czuliśmy się dobrze w towarzystwie nastrojonem na inny ton. Być może

było to skutkiem pewnego rodzaju instynktu myślowego. Nasz świat idei nie znosił nacisku rzeczywistości. W tym okresie byliśmy jeszcze wierzącymi rewolucyi, nie jej świadomymi i trzeźwymi oraczami. Rewolucya! Sam ten wyraz dziwnie odbija dziś, gdy myślę o tamtym czasie, o naszych ówczesnych działaniach. Myśmy nie czuli się wtedy związanymi ze światem; nie czuliśmy się zobowiązani do żadnych tłumaczeń wobec niego, lecz po prostu szliśmy mu zwiastować mroczną naukę zniszczenia istniejącej krzywdy. Wszystkie przesłanki, argumentacye przepaliły się już przedtem w naszych głowach. Myśli nasze zahartowały się i zaostrzyły. Nie znaliśmy wtedy akordów pośrednich, za najlżejszem poruszeniem wydawaliśmy pełny i potężny dźwięk spiżu, bijącego na alarm. I to odstręczało. Sonda rozmowy towarzyskiej, napotykała nazbyt szybko surowy opór metalu i łamała się. Nie mieliśmy o czem mówić z kolegami naszymi, którzy dopiero zaczynali żyć, którzy dopiero gromadzili materyał dla wniosków, dawno już przez nas wysnutych. Nie mogę myśleć bez podziwu o atmosferze umysłowej, w której tak szybko poznać się i skupić mogli ludzie, stojący na tak abstrakcyjnym i krańcowym cyplu myśli. Byliśmy, gdyśmy się poznali odrazu pewni, że nas nie obowiązuje żadne z powszechnie uznawanych mniemań.

Gdyby nasze kółko stało się przedmiotem dochodzeń śledczych, wyobrażam sobie, ile nałamała by sobie głowy prokuratorya, gdyby chciała zna-

leżć, kto z nas właściwie spropagował i wprowadził na drogę „występku“ pozostałych. Prawdopodobnie rolę tę przypisanoby Brenneisenowi. Myślę bowiem, że najbardziej ograniczony sędzia śledczy nie mógłby uwierzyć, aby nad człowiekiem tym i jego sumieniem mógł ktokolwiekbądź zapanować, aby ktokolwiek, czy cokolwiek mogło go pozbawić absolutnej swobody wewnętrznej. Ale tu i o odwrotnym stosunku nie mogło być mowy. Ludzie charakteru Brenneisena, nie oddziałują nigdy na innych w kierunku określonym i praktycznym. Zresztą w Brenneisenie była jakaś skończoność moralna, zamkniętość, która wykluczała wszelkie oddziaływanie jednostronne. Był on pomiędzy nami raczej, jak posąg rzymskiego stoika, niż żywy człowiek. I działał też tylko tak: i koło posągów tworzy się przecież surowa atmosfera hartu i wzniosłości. Znaliśmy go nawet mało pod względem zewnętrznym. Nic nie wiedzieliśmy o jego rodzinie. Nie przychodziło nam nawet do głowy myśleć, czy Brenneisen kochał, czy wogóle mógł kochać kobietę. Zresztą miłość i kobieta zajmowały w naszej myśli wtedy mało miejsca. Jaszka tylko od czasu do czasu rzucał jakiś żart, lub anegdotę i Zemczużnikow rumienił się gdy żartowaliśmy, że się ubiera zbyt elegancko, że musi mieć gdzieś narzeczoną. Zemczużnikow był dziwnym człowiekiem. Cichy, niemal przesadnie ugrzeczniony, nad wyraz systematyczny i porządny, robił wrażenie młodego człowieka, który musi zrobić karyerę, musi podobać się przełożonym. Nie narzucał się nikomu ze swem

zdaniem, więcej słuchał, niż mówił. Nagle jednak wybuchał, gdy urażono jego przekonanie. Wybuchy te miały dziwny charakter. Były to jakieś rozpłomienienia wewnętrzne. Myśl Zemczużnikowa zaczynała nagle świecić jasnem, równem światłem, wtedy widziało się jego wielkie wyrobienie moralne i umysłowe. Czy było to słuszną rzeczą mówić, że Nieczajew właściwie był naszym „uwodzicielem" rewolucyjnym? Nie sądzę. Myślowo nie dał nam on nic nowego, ale niewątpliwie podniósł skalę naszego czucia i zaostrzył naszą wolę. Sądzę, że i nie spotkawszy się z nim, bylibyśmy nieuchronnie weszli na tę samą drogę. Niewątpliwie natomiast zaważył on na wzruszeniowym tonie naszej myśli, nadając jej żar świadomej, zdecydowanej nienawiści. Dał nam też odwagę niecofania się przed żadną konsekwencyą, stanowczego i niecofnionego potępienia wszystkiego, co jest, co śmie istnieć w tym świecie krwi i krzywdy. Myślę, że na tem właśnie zasadzała się siła Nieczajewa: człowiek ten nigdy nie przestawał nienawidzieć. Widziałem go w Szwajcaryi i widziałem, że przyroda nie wywiera na niego żadnego wpływu. Jej tchnienie nie łagodziło nigdy ostrego żaru, jakim płonęły w nim wszystkie pierwiastki duszy. Musiało odrazu na początku życia coś zabić w nim, wszystkie organy cichego odczuwania, poprzecinać wszystkie nici, łączące go ze szczęściem i spokojem. Nieczajew był nieubłagany w każdej porze życia, w każdym nastroju. Dla potomności będzie ten człowiek zagadką psychologiczną. Życie Rosyi odbiło się na nim, jak odbiło się na surowym

kolorycie tych kółek, z których wyszedł Karakozow. Gdy przemoc jest tak wielka i pewna siebie, że nawet rozpaczliwe męstwo przestaje widzieć przed sobą drogę, protest musi albo zagłuchnąć, albo wzbić się w regiony abstrakcyi, albo przybrać formę szaleństwa. I Nieczajew miał w sobie coś z zimnego, systematycznego szału. Był on zamkniętym w sobie, jak kryształ jakiejś nieznanej i do niczego innego niepodobnej substancyi duchowej. Nie liczył się Nieczajew z nikim i z niczem. Nas zaczął on okłamywać bardzo szybko. Zrozumiał, gdzie leży w nas słaby punkt. Przywiązaliśmy się do naszej drukarenki i mimowoli wierzyliśmy wszystkiemu, co uświetniało ją w naszych oczach. Nawet Jaszka przestawał uśmiechać się ironicznie, gdy widział na swoich utworach groźną pieczęć komitetu ludowej rozprawy. Pieczęć tę przechowywał Nieczajew u siebie. Konspiracyjna tajemniczość była jego manią, od której nie mógł się sam wyzwolić. Pomimo woli zaczynał fantazyować, gdy tylko wchodził na ten grunt. Był zresztą mało wykształcony, i o wielu rzeczach pojęcia miał wprost dziecinne. Jestem przekonany, że gdy ukazywał nam międzynarodówkę i związek bakuninowski jako jakieś spiski fantastycznie krwawe i romantycznie tajemnicze, sam ulegał złudzeniu. Nie był po prostu w stanie zrozumieć pewnych stron walki rewolucyjnej na zachodzie. Gdy przestawał mówić o konieczności zniszczenia istniejącego ustroju, kończyło się dla niego wszystko. Nienawiść i palące poczucie krzywd, wyrządzanych dziś nieustannie uciemiężo-

nym, wypełniały całą jego istotę. Opowiadał więc nam całe historye o swoich stosunkach zagranicą. Żaden z nas nie był jeszcze wówczas w Europie Zachodniej, a kordon cenzuralny, oddzielający Rosyę od całego świata, sprzyjał tworzeniu się najbardziej fantastycznych pojęć. To też nie byliśmy w stanie kontrolować nawet myślowo danych, komunikowanych nam przez Nieczajewa. Miał on zresztą pewien rodzaj listu, uwierzytelniającego od Bakunina. Łatwiej już było przekonać się, że jego rzekoma organizacya w Rosyi na kruchych musi się opierać podstawach. Przekonywały nas o tem trudności, jakie napotykało rozsyłanie proklamacyi i gazetki. Nieczajew mówił nam o kółkach potrójnego systemu, o agentach zwyczajnych i nadzwyczajnych. Najczęściej jednak musieliśmy rozsyłać nasze proklamacye w kopertach, pod różnymi nieraz bardzo dowolnie wybranymi adresami, lub też roznosić je i wsuwać ukradkiem do mniej lub więcej znajomych mieszkań. Pomimo to wyrzeczenie się drukowania stanowiłoby dla nas zbyt ciężką ofiarę. Łudziliśmy się więc, że zgłaszający się od czasu do czasu z rozmaitego rodzaju hasłami i znakami konspiracyjnymi studenci reprezentują istotnie jakąś organizacyę, a nie odosobnione kółka w rodzaju naszego. Któż opisze jednak nasze zdumienie, gdy pewnego popołudnia zjawił się w naszem mieszkaniu konspiracyjnem, to jest w pokoiku Brenneisena, posiadający duszę syn pastora Karol Schultz. Był tak samo gładko uczesany i mankiety jak zawsze, akuratnie na pół cala wyglądały z pod ręka-

wów. Blady był jednak nieco i zająkiwał się mówiąc. I on też zdziwił się, spotkawszy nas. Z uporem powtarzał raz po raz: ja nie widziałem twarzy i nie poznałem i wy nie widzieliście twarzy i nie poznaliście. Przyniósł nam blankiety z pieczęcią do zbierania składek, oraz zakomunikował, że Wasiljew będzie musiał wyjechać za granicę, że niedawno był aresztowany, siedział w twierdzy, ale udało mu się uciec. Nieczajewa nie widzieliśmy przez dni kilka, ale historya z aresztowaniem wydała nam się nieprawdopodobna. Schultz odszedł, zostawiwszy adres mieszkania, gdzie miałem spotkać się z Nieczajewem. Po odejściu Schultza zastanawialiśmy się wszyscy w jaki sposób mógł opanować Nieczajew to niewiniątko. Zastraszył go i zahukał, obiecał mu posadę, emeryturę dla ojca i posag dla sióstr, żartował Jaszka. Istotnie jednak rzecz była podziwu godna.

5.

Mieszkanie wskazane mi przez Nieczajewa było wynajmowane przez samego Schultza właśnie. Całe usposobienie moralne właściciela odzwierciadlało się wiernie w urządzeniu tego pokoiku. Nie było tu ani okruszynki kurzu. Książki w powłoczkach z kolorowego papieru leżały systematycznie poukładane na stole. Nad łóżkiem zasłanem białą, czyściuteńką kapą i poduszkami w poszewkach z haftowanym znakiem, wisiała wyszywana dżetami kieszonka na zegarek, a nad nią portret łysego, otyłego mężczyzny, oraz damy bardzo chudej, o wystraszonych oczach.

Samego Schultza nie było w pokoju, gdym przyszedł. Na sofce leżał Nieczajew i palił nerwowo papierosy. Wogóle był rozgorączkowany i rozdrażniony. „Trzeba znikać, rzekł. Tam w Moskwie wszystko się psuje. Lada dzień powpadamy wszyscy. Trzeba się przyczaić na chwilę".

Zapytałem go o Schultza.

— Kurczątko! rzekł. Nie wiedziałem, że go znacie. Uśmiechnął się. — Wrócił całkiem nastraszony: poznali mnie. Teraz jest nawpół przytomny ze strachu.

— Ale w jaki sposób on, Schultz wdał się w tę sprawę.

Nieczajew nachmurzył się. „Ludzie mi są potrzebni. Kto się pod rękę nawinie, musi służyć, czasu mało".

— Ależ Schultz przekonaniem nie może sprzyjać naszej sprawie.

— Przekonaniem? Nieczajew zagwizdał. Gdzie wyście w Rosyi znaleźli przekonania. Strach i frazesy. Strach i puszenie się kiedy nas nikt nie widzi. Et... co tu gadać długo. Ja wyjeżdżać muszę. Wy musicie jechać do Moskwy. Tam podobno to ciało znaleźli w stawie pod lodem. Trzeba powiedzieć. Niech się nie plączą. Wykręcić się nie da. Ja zabiłem, i ja kazałem brać udział w zabójstwie. Sprawę stawiać dumnie. Głowy i tak już nie ocalą. No i już. Co więcej — tam Popowa trzeba mocno naelektryzować. W ambicyę wbić. Uśpieński i sam się utrzyma, ale Popow... I niech wierzą, że sprawa

nie ginie. Jadę za granicę i wracam. Organizacya nie naruszona.

— Organizacya Schultzów — zapytałem.

— Schultzów i nie Schultzów. Wszystko jedno. Głównie, aby był ruch. Czy nie wszystko jedno czem podpalam stóg: hubką, zapałką, świeczką, czy łachmanem umoczonym w nafcie. Byle ogień był.

Podniósł się z kanapy; było ciemno. Nieczajew nie chciał zapalać światła.

— Wy myślicie, że mi to nie zbrzydło, rzekł, kłamać i kłamać. Ludzi kłamstwem spoić, strachem trzymać i tak gnać. Ty mi daj człowieka, który zniesie prawdę Sergiusza Nieczajewa, to ja jemu powiem moją prawdę. Nasłuchałem się ja słów. Postęp, postęp. Dobra sprawa zwycięża. A kiedy ta dobra sprawa zwycięży, z nas już dawno ani śladu nie zostanie. No i dużo ja ludzi znajdę, kiedy ja im prosto w twarz powiem — szubienica. Oni ciągle słówkami się bawią. Nieboszczyk „baryn", tak nazywał Nieczajew Herzena, zwykle mówił: My nie Polacy, do nas strzelać nie można. Skąd mu taka pewność. Od jakiego to czasu skóra rosyjska w takiej cenie. Nie można strzelać — a ty się przekonasz, że można. Rosyjskiego ducha, rosyjskiego rządu, wy nie znacie. On postawi ze stu tysięcy, z milionów głów piramidy — i nic. Sto wsi trzeba spalić — spali się. Miasto zbombardować — zbombarduje się. Studentów powywieszać — drzew na szubienice wystarczy. Studentki kozakom oddać dla uciechy. I to można. One inteligentne, a skąd ty wiesz, że inteligentnej kobiety gwałcić nie można.

Czy ona ma Bukla w głowie i prawa człowieka, czy nic nie ma — wszystko jedno. Zoologia ta sama. Prawo! Prawo! Jakie prawo? Dopóki siedzisz na wozie — dobrze, a jak pod wóz spadniesz — stratują cię. I jak wy nie słyszycie trzasku kości: po ciele ludzkim my ciągle jeździmy.

Zamyślił się...

— Ja tu raz w Petersburgu, rzekł, umierałem z głodu. Całkiem literalnie: żebrać chodziłem. — Nie umiałem żebrać, oczy zuchwałe mam. No i kiedyś osłabłem z głodu, padłem na ulicy, przycisnęło mnie. Do szpitala zawieźli, poleczyli trochę. Później na ulicę. W kieszeni ani grosza. Nogi, ledwie stąpają, w głowie kręci się. Dzień cały chodziłem po ulicach. Jesień już była. Siadłem na schodku, siedzę... Trąca mnie ktoś. Patrzę, dziewczyna stoi wymalowana cegłą, czy burakiem.

— Zmarzniesz — lepiej do mnie chodź — ogrzejesz się...

Pokazuję, że nie mam ani grosza.

Rozśmiała się, zagwizdała i poszła.

Próbowałem wstać, iść — nie mogłem. Gorączka chwyciła mnie, zęby szczękają.

I takem siedział w pustej ulicy i umierał. Wokoło były domy bogatych ludzi. Jedli, pili, spali w czystych posłaniach. Czy ja dla nich byłem człowiekiem? Niech mi nikt nie mówi, że jest społeczeństwo. Nie uwierzę: ja w tę noc nauczyłem się myśleć. Przechodziły koło mnie dziewczęta pijane, głodne, zmarznięte, złe. Śmiały się. Nie mogłem się ruszać. Zebrała się ich koło mnie cała gromadka.

Kto taki? — Mówię: student. Śmiech. Wreszcie uradziły zabrać mnie — weselej będzie. Poszliśmy do pokoiku: mieszkały w nim dwie dziewczyny. Wiem, że coś piłem. Potem zwaliłem się i takem został. Przez dwa tygodnie tam na sofce przeleżałem w gorączce. Dziewczyna — upadły człowiek, prostytutka, błoto, na które taki piękny pan, jak Herzen, spojrzeć by nie chciał, jeść i pić mi dawała, ciałem swoim na mnie zarabiając. Tak ja sobie leżę w gorączce, a do niej przez noc pięciu, sześciu gości przychodzi.

Słyszę, jak biją ją, a ona krzyczy i ruszyć się nie mogę...

Raz pijany wachmistrz ją już zbił i nogami skopał. A teraz, mówi, ja twojego seladona, to jest mnie, pomacam.

Wtedy ona jego rąk się czepiała, w nogi go całowała, aby mnie nie ruszał.

Potem cały dzień siedziała przy mnie: jakąś laską okutą głowę on mi wtedy nadwerężył — i płakała nademną. Piosenki mi śpiewała, bajki opowiadać chciała. A najniższego rzędu prostytutka była. Od gościa i pół rubla nieraz nie dostała.

I za cóż ja teraz was oszczędzać mam? Czy wyście nas oszczędzali?

— My? chciałem protestować. I nagle przypomniałem sobie Bejłę, przypomniałem sobie całe moje dzieciństwo. Zaciążyło na mnie wspomnienie wygód. Zamilkłem.

— Uczciwości w was jeszcze wystarczyło, rzekł Nieczajew.

— Zginiecie, zginiemy wszyscy. A nas mało ginie każdej godziny. Czem wy dla mnie świętsi od tych wszystkich pijanych, głodnych. Każdy złodziej i każdy przestępca jest mi tak samo brat, jak i wy. Nie! Jaki wy mi tam brat. Ja stamtąd idę. Z tamtych zgniłych piwnic, gdzie chore matki rodzą dzieci na mokrych, cuchnących rogożach. Co mnie wasz świat, co mnie wy? Wy chcecie, abym ja wam prawdę mówił. A czy my mamy jednakowe słowa. Wasz ojciec to dumny pan, a mój pijany djak, który chłopów okrada i w pysk od urzędników bierze. Ja widziałem, jak jemu sędzia brodę do stołu lakiem przykapał, później nad uchem strzelił. Brodę wyrwał sobie i rubla srebrem dostał. A moją siostrę matka za dziesięciorublówkę porucznikowi sprzedała. Nie tanio przecież! Jedna tylko noc. Dziewicza. Po dziesięć rubli za panieństwo djakonowej córki. A kiedy porucznik odjeżdżał mnie czterdzieści groszy dał: Dwanaście lat wtedy miałem. Cukru lodowatego sobie kupiłem.

Zamilkł.

— Wy słuchacie sobie i myślicie: — Znowu kłamie. Rozczulające historye opowiada. A może i kłamię? Może nie ze mną to się przytrafiło. A czy mi nie wszystko jedno. Czy mało nas biją, czy ciała naszych sióstr nie sprzedają. —

O mnie Herzen mówił, że ja mogę pannę uwieść, aby ją zrewolucyonizować. Uważacie: młodą pannę z dobrego domu. Nie jakąś tam pierwszą lepszą. A mnie co. Póki są prostytutki, każda kobieta jest towar i rzecz. Czystość tylko dla bogatych. A ja

nie znam się na tych przywilejach, różnicach. Nie patrzcie się tak na mnie. Szczerze wam mówię: z nikim i niczem ja się nie liczę. Podpalacz jestem i nie mam czasu przebierać.

— Czy Iwanow był szpiegiem? — zapytałem. Iwanow był to student zabity w Moskwie przez Nieczajewa.

Nieczajew podniósł głowę.

— Nie! rzekł.

— Więc dlaczego? — zapytałem.

— Było trzeba. Będzie trzeba: was zabiję, albo kurczątko.

Roześmiał się.

— Organizacyę zniszczyć mi chciał. Mądry był, delikatny. Nie czas jeszcze. Będzie nas więcej, robota pójdzie łatwiej. Dożyć potrzeba. Ot i nie dożył.

— Nasze drogi się rozchodzą, Nieczajew, rzekłem.

Nieczajew położył mi rękę na ramieniu.

— Mnie wy możecie i w oczy napluć. Mną możecie gardzić, możecie mnie przeklinać, byle tylko robota szła. Kiedyś zrozumiecie. To jest walka na zęby i pazury. Kto kogo wytępić zdoła: my ich, czy oni nas. A najlepiej i oni nas i my ich. Wtedy zostaną oni sami: ci z dołu.

— A potem?

— Nas nie będzie. Naszego śmierdzącego świata nie będzie. Kultura zginie. Niech ona ginie ta wasza kultura. Ja w pokoiku dziewki ulicznej, bity przez sutenerów dowiedziałem się, co to jest kultura. Ludzkość? Wy obliczcie, ile tej ludzkości na gnój idzie.

— Do Moskwy pojadę — powiedziałem — iść pora.

Nieczajew nagle schwycił mnie za rękę.

— Lubiłem was — powiedział. Wy nie patrzcie, że na moich rękach krew. To nie była niewinna krew. Nie wolno mieć ambicyi, mieć rozumu, kiedy idzie o walkę. On stał na mojej drodze. Cóż ja? Prędzej, czy później i mnie koniec ten. Ja widziałem, jak wieźli na śmierć Karakozowa. Ręce i nogi wisiały, jak gumowe łachmany, jakby w nich kości nie było. Jego sam Murawjew badał. Czy wy wiecie, jak nam przyjdzie się umierać. Jemu było lżej.

Było mi go żal.

Czuło się, że on, człowiek, nie ma na świecie nikogo i nic.

— Bądźcie zdrowi, powiedziałem mięcej. Może spotkamy się jeszcze.

— Popowa pilnujcie w Moskwie raz jeszcze, wołał Nieczajew, kiedym wychodził.

Byłem w sieni, kiedy zatrzymał mnie Schultz.

Kurczątko było czemś wzruszone.

— Proszę, niech pan jeszcze wróci.

Wróciłem do pokoiku.

— Ja niechcący słyszałem, rzekł trzęsącym się głosem, co wyście tu mówili o mnie — zwrócił się do Wasiljewa. To nie prawda, ja nie z powodu tego baszłyka. Ja byłbym się trzymał zdaleka, bo mi ojca żal. Ale teraz już nie. Ja nie chcę, aby ludzie umierali z głodu w nędzy. Jeżeli to można zmienić, to mój obowiązek jest zmienić to. Moja rodzina jest w gruncie indywiduum — przypadek. Nie mam

powodu dla indywiduum poświęcać ogółu. To nie przez ten baszłyk.

Nieczajew pochylił się nagle nad Schultzem i pocałowałgo w głowę. Wybacz bracie, rzekł, jakby przez łzy.

Okazało się, że początkiem wpływu Nieczajewa na Schultza było to, że pożyczonym od niego baszłykiem był zaduszony Iwanow.

Opowiedziałem o wszystkiem Brenneisenowi. Było postanowione, żebym natychmiast jechał. Brenneisen mocno sposępniał i był małomówny.

6.

Jechałem w ciężkiem usposobieniu. Niejednokrotnie przeżywałem chwile, jak gdyby zacierania się i znikania tego, co stanowiło treść moich myśli i wysiłków przez czas dłuższy. Zdarzało mi się to najczęściej w podróży lub przy zmianie miejsca. W styczności z innymi ludźmi, z którymi nas nic nie łączy, występuje dobitnie cała nasza przypadkowość. Wydaje mi się, że wyrażenie zgubić się w tłumie, oznacza coś więcej niż zwykłą przenośnię. Nowe, a zwłaszcza chaotycznie zmienne, nie zaklasyfikowane przez nas środowisko: działa na nas zawsze, jak gdyby chemicznie. Wytwarza w naszej duszy nowe grupy i kombinacye zainteresowań, zmusza patrzeć na świat innymi, cudzymi oczami, a przynajmniej liczyć się z faktem, że istnieją obok nas niezliczone i nieskończenie różne sposoby odczuwania i pojmowania życia i świata. Niedostrzegalnie wytwarza się w nas jakaś nowa, powierzchowna, migotliwa ale na razie silnie przemawiająca

świadomość, stanowiąca wynik i sumę tych nowych, zmiennych oddziaływań. Świadomość ta zaczyna działać i w ten sposób przekonywamy się, że to, co wydawało się nam jedynem, możliwem życiem, jest przypadkiem. Trzeba mieć już mocno skrystalizowany własny świat moralny, aby nie podlegać takiego rodzaju oddziaływaniom. Dziwię się zawsze, dlaczego dotychczas nikt nie próbował powiązać systematycznie teoryi poznania i psychologii ze statystyką. Każda forma istniejącego naokoło nas życia, a więc i myślenia wprowadza do naszego wnętrza swoje pierwiastki. Jestem przekonany, że możnaby niemal matematycznie wykazać, jak dalece myśli przez nas cała społeczna masa. Długi czas męczyła mnie ta żywiołowa plastyczność mojej natury. Każde otoczenie, najbardziej chociażby chwilowe, zabarwiało moje życie psychiczne. Wydawało mi się to zawsze brakiem mojego charakteru i być może nie myliłem się zupełnie pod tym względem. W każdym zaś razie nigdy nie odczuwałem tak straszliwie i boleśnie samotności i zatracenia samego siebie jak właśnie w tłumie. Myśli i uczucia, które niedawno jeszcze przejmowały mnie do żywego, zaczynały w takich razach blednąć i tracić rzeczywistość: wydawać się udaniem i pozą. I to też nie było złudzeniem całkowitem. Musi istnieć w człowieku jakiś utajony pierwiastek niezadowolenia z samego siebie, aby mogły się w nim dokonywać tego rodzaju dezagregacye moralne. Dusza nasza przeżywa często całe rewolucye molekularne, kiedy cała myśl, ze wszystkiemi budowami jej roz-

kłada się nagle na atomy, na jakąś bezkształtną i nieoporną miazgę. Głowa bolała mnie mocno, gdym wyjeżdżał. Jechałem w trzeciej klasie. Rozmowa pasażerów drażniła mnie. Było gorąco. Z żelaznego pieca, rozpalonego do czerwoności wydobywał się czad. Wyszedłem na platformę: pociąg pędził wśród szarych pól. Coś niezdrowego wychylało się z dna duszy. Nie mogłem myśleć o niczem z tego, co mam właściwie zrobić w Moskwie. Nie mogłem myśleć o niczem. Z przerażeniem spostrzegłem, że nie obchodzi mnie właściwie nic. Nie miałem ochoty do niczego. Wszystko wydawało mi się jednakowo bezbarwnem i czczem. Oszukać swoją nudę chcesz i nic więcej. Zblazowane nerwy żądają zatrudnienia, więc wynalazły sobie rewolucyę. Przypomniałem sobie twarze widziane przed chwilą w wagonie. Nie mogłem uwierzyć, aby naprawdę wiązało mnie coś z tymi ludźmi. Z tymi, lub jakimikolwiek. Czy warto się zajmować człowiekiem? Czy warto się zajmować czemkolwiek? Gdybym był szczery, rzuciłbym się pod koła tego wagonu. Myślałem, czy się boję śmierci. Z gniewem spostrzegłem, jak bardzo bym żałował siebie, umierając. Usiłowałem zanalizować, skąd płynie ten żal? Do czego jestem właściwie przywiązany? Nauka? Myśl? Praca dla rewolucyi? Nie! To wszystko było już konsekwencyą przyjętego życia. Ale samo życie? Więc nic prócz miłości do swojego istnienia, przywiązanie do samego trwania. Buduje się całe systematy myślowe, całe gmachy działania, tworzy się całe poematy poświęceń i miłości, a w gruncie

rzeczy istnieje naprawdę ten tylko kawał mięsa, setkami odnóg wszczepiony w istnienie. Usiłowałem myśleć o świecie, jakim będzie po mojej śmierci, i nie byłem w stanie przemódz żalu, że mnie już nie będzie. I nie tylko dlatego żałowałem, że świat stanie się ciekawszy, szczęśliwszy, lepszy, a ja już nie będę tego widział. Nie, poprostu krwawił się we mnie ból, że *ja* nie będę widział, mniejsza już o to ,czego. Więc czy nie miał słuszności Nieczajew? Czy my sami siebie nie zmuszamy do spełnienia czegoś, co właściwie *nas* nie obchodzi, czy nie kłujemy samych siebie ostrogami, byśmy szli, byśmy nie przestawali iść ciągle naprzód? I co mnie naprawdę łączy z całą tą sprawą? Jakiej natury są te węzły? Nie mogłem rozplątać tego splotu. Ze zdumieniem tylko spostrzegłem, że powrotu już wewnętrznie dla mnie niema, że jest coś we mnie, co buntuje się przeciw wszelkiej innej formie życia. Można nie żyć, ale jeżeli żyć — to inaczej już nie będziesz mógł, innego życia *ja* już nie zniosę. Kto jest to ja, które zbudziło się nagle i przemówiło w kurczątku Schultzu? Wróciłem do wagonu. Patrzyłem na ludzi tak, jak chory przypatruje się majakom gorączkowym. Była to codzienna przeciętna publiczność wagonowa III-ej klasy. Otaczała mnie zewsząd beznadziejnością dnia powszedniego. Oto było naokoło mnie życie doskonale przystosowane do form niewoli. Spokojnie i bez przypuszczenia nawet, że tkwi w tem coś nienormalnego opowiadano tu sobie rzeczy, z których każda była pomimo powszedniości swej proklamacyą rewolu-

cyjną. Człowiek potrzebuje tylko dać sobie pozwolenie wewnętrzne na bunt, a w tejże chwili zrozumie, że w życiu obecnem wszystko jest godnem zniszczenia. Zrozumie, że otacza go olbrzymie i potężne mrowisko wzajemnie zagryzających się istot. Społeczeństwo jest czemś w rodzaju potwornych mechanicznych jatek, w które wprowadza się żywe zwierzę, przerabiane już później automatycznie na setki różnych produktów. My zaś jesteśmy, jak młynarz, który nie słyszy hałasu, sprawianego przez ten młyn piekielny. I my też żyjemy w tym kotle, jak wśród harmonii sfer. Na straży naszych umysłów stoi mocno wszczepione i ugruntowane przez nałóg przeświadczenie, że tu nie ma się czemu dziwić, przeciwko czemu protestować. Przeciętny oswojony obywatel skłonny jest oskarżać rewolucyonistę o przesadę, nie rozumie, że rewolucyonistą staje się właśnie człowiek dzięki odzyskanej zdolności widzenia.

Miałem sam dla siebie całą ławkę i wyciągnąłem się na niej. Pociąg śpiewał, mruczał coś swym monotonnym żelaznym językiem, ja zaś widziałem i czułem, jak daremnem było nasze przedsięwzięcie poruszenia wielowiekowej i wielomilionowej obojętności, drukowanym papierem.

Myślałem o Nieczajewie.

Zdawało mi się, że męką tego człowieka musi być zwątpienie, przeświadczenie o tem, że nic nie dąży w pożądanym przez niego kierunku, prócz jego woli i być może coś cięższego jeszcze, jakieś straszliwe na dnie tej woli rozdwojenie.

Myślałem, że w człowieku tym nie istnieje chyba zdolność szczęścia, że nie jest on zrośnięty z niczem.

Przypomniały mi się słowa: Pieśń ma była już w grobie, już chłodna.

Człowiek przywiązuje się nieustannie i pomimo woli, ale jeżeli jeden za drugim w jego oczach rozsypują się w błoto i próchno przedmioty przywiązania, to co dzieje się z człowiekiem? z sercem jego? Gdy wyczerpie się cała zdolność kochania i nie utrwali się w niczem.

Czy może dziecko kochać rodziców, gdy widzi, jak znęcają się oni nad sobą wzajemnie.

Przypomniała mi się matka Wrońskiego.

I dziwnem skojarzeniem przypomniał mi się mój ojciec.

Ujrzałem go przed sobą, jak siedzi ze swym pańskim, mądrym uśmiechem na ustach.

Ciotka Emilia opowiada jak zawsze coś nieskończenie nudnego. Stryj Floryan brawuruje. Och, jakże on tym wszystkim na dnie duszy musi gardzić. —

O kim myśli?

I wiedziałem, że wszystkie jego myśli są przy mnie. I raz jeszcze powróciło pytanie: Czy warte jest to wszystko jego bólu.

Serce moje ważyło krótką chwilę i straszliwie o cały ciężar tęsknoty przeważył ból ojcowski. A jednocześnie nie łudziłem się, że może być inaczej.

Prosiłem jego jasnego czoła, jego pięknych oczu, jego mądrych ust o przebaczenie, modliłem się do

nich i w głębi duszy płakałem, jak płacze skarcone, zrozpaczone dziecko.

Więc po co bez wiary i bez zapału, bez właściwego przekonania takiego, jakiem je sobie wyobrażałem wtedy, krwawić i ranić to najdroższe, ojcowskie serce.

Nie wiedziałem jeszcze, że przekonanie to jest właściwie to: nieprzemożony, codzienny mus, górujący nad wszystkiem. Nie zawsze zlewamy się z nim i stapiamy w wielkim entuzyastycznym podniesieniu istoty. Często ukazuje się on nam, jako własna samowola, jako wina, jako nudny nałóg, nawet jako poza i wmówienie. Istotą jednak jego jest to, że nie możemy się z pod niego wyłamać. Bo pomimo wszystko ono to jesteśmy my. Przekonanie to jest sam człowiek, nie żaden czar. I odczuwamy je nie jako jakieś źródło absolutnej czystości, nie jako jakąś uskrzydlającą moc nadludzką — lecz właśnie, jak naturę własną. Wtedy nie wiedziałem o tem i męczyłem się, uważając siebie za chłodnego i nędznego komedyanta. Nie żył samoistnem życiem ten, kto nie przeżywał tych mąk.

Bieg pociągu ukołysał mnie.

Zasypiałem z mętnemi marzeniami w głowie.

Śniło mi się coś ciężkiego, strasznego. Wydawało mi się, że naprzeciwko mnie siedzi jakaś potworna starucha o wyżartej przez straszną chorobę wardze. Ogołocone zęby wyglądają, jak potworne kły. Starucha mówi o czemś, co jest jeszcze od niej samej straszliwsze. Nie mogę zrozumieć o co idzie. Na jedną chwilę wydaje mi się; że to jest matka

Wrońskiego, szukająca w kufrze umierającego syna spodni, czarnych, nowych spodni w paski. Szuka i wyjmuje z kuferka żółty, chudy trupek dziecięcy, potem drugi, trzeci...

Budzę się...

Naprzeciw mnie siedzi staruszka w białym czystym czepeczku, o pomarszczonej, sympatycznej twarzy. Na kolanach trzyma worek.

— Chować teraz muszę, od lekarza to jest — świadectwo dał. Więc wiozę je tu przy sobie w woreczku — inaczej jaki koszt!

Roztwieram szerzej oczy. Jeszcze sen musi być.

Ale staruszka uśmiecha się i mówi: wyspaliście się paniczyku mocno, trzecią godzinę już tak śpicie.

I zwraca się do sąsiada.

— Mrą one u nas w tym roku. Jak jaki rok. Wiadomo, nieurodzaj, kto miał dwie krowy — jedną sprzedał. Która baba brała dwoje dzieci na odkarmienie, bierze trzy. Trzeba przecież jakoś w gospodarce pomódz. No i jasna rzecz. Czy może wystarczyć mleka, kiedy i bydlę najczęściej żreć nie bardzo co ma. Jedno tylko, czy na ten przykład zechcą oni za drugie dzieci nową zapłatę dawać. Jakby powiedzmy tak, możnaby i na siew ziarna kupić. A jak nie, nie wiem, czem my i siać będziemy.

— I całkiem to one nie chorują, zaczęła po chwili. Na rano zdrowe, pod wieczór chwyci coś, krzyczeć zacznie, gorąco od niego bije, przez noc jeszcze popiszczy trochę, i skończone. Babka u nas jedna jest, wytrząsać każe. Ale i to nie pomaga. I tak ja

myślę sam Pan Bóg najlepiej wie: głodny rok idzie to i usta zabiera...

— A wybyście baby dzieci nie brały na wykarm, kiedy jeść co niema, odezwał się z kąta basem ktoś.

— Jakże nie brać, kochani moi wy, jakże nie brać! Sami osądźcie: podatek zapłacić trzeba, popa też, jeść też trzeba, a jak jeszcze i na siew ziarna nie starczy, to skąd wziąć, jakże nie brać? Mizerna zapłata, ale zawsze grosz jakiś, drugi, trzeci, zostanie. A jak ono niebożątko ma umrzeć, to już je Pan Bóg miłościwy wszędzie znajdzie.

— Na takie dzieci — rzekła chuda jejmość, niema wcale u Boga rachunku. Topić by je powinni, a nie karmić na rządowy koszt, innym chleb odbierać. Podatek to kto płaci? My płacimy, aby jedna z drugą mogły sobie z kawalirami przyjemności swojej używać.

Nie słyszałem, co odpowiedziała staruszka.

Człowiek napróżno obawia się snów, najstraszniejszy sen jest niczem wobec życia. Literatura usiłuje nas przerazić i wstrząsnąć nami. I czemże są twoje bajeczki niewinne wobec życia.

Ziarna na siew niema, jakże więc nie brać dzieci, które z głodu mrą potem.

I sympatyczna taka staruszka, jestem przekonany, że gołębiego w gruncie rzeczy serca.

7.

W Moskwie po przyjeździe odszukałem adres Popowa.

Po długich certowaniach się, wpuściła mnie

stara kucharka do pokoju, po którym biegał nerwowo człowiek o żółtej cerze i mętnych, nawpół przytomnych oczach.

Kiedym go poprosił o chwilę rozmowy sam na sam, zbladł i zaczął wymawiać jakieś niezrozumiałe sylaby.

Ledwo z trudem mogłem się z nim porozumieć na tyle, aby go przekonać, że przybywam istotnie od Nieczajewa.

Popow wpadł w gniew.

— Czegoż jeszcze on chce odemnie? Czego chce od nas? Nasza sprawa jest jasna. Wezmą nas lada chwila. O ucieczce niema już co myśleć. Czy pan nie zauważył nikogo przed domem?

— Przed domem nie działo się nic nadzwyczajnego.

— Znikąd paszportu nie można dostać? Tak chwalił się konspiracyami. O paszportach przynajmniej mógłby pomyśleć. Tu jest słaba nadzieja za dwa dni. Ale czy my przetrwamy te dwa dni?

— Czy istotnie znaleziono trupa?

Popow zbladł.

I to panu powiedział. Jak mógł panu powiedzieć o tem.

Zaczął mi się bacznie przyglądać.

— Pan nie myśli, że Nieczajew jest agent?

Roześmiałem się.

— Nic nie można wiedzieć. Wszystko jest możliwe w takim kraju. Wszystko. Skąd pan wie, że ja naprzykład nie jestem na żołdzie policyi. Co tu można wiedzieć?

— Czy pan wie, że Nieczajew chciał mnie zabić. Tak jest, mówię panu. Tego samego wieczora, kiedyśmy Iwanowa... pan wie. Próbował niby rewolweru i prosto nad moją głową bac!... Kula utkwiła w ścianie. Ja czasami myślę, że on jest obłąkany. Pan wie, to tak nagle zerwie się coś w człowieku. Jakaś jedna maleńka sprężynka. Nieczajew sam zresztą wie: on sam w sobie to przeciął. On sam sobie pozwolił na wszystko. A teraz próbuje, jak dziecko w ciemnościach. Co będzie kiedy się tak poruszę, a co kiedy tak. On sobie pomyśli coś, a potem zrobi. Ja mówię panu, że w gruncie rzeczy on jest obłąkany.

— Więc nie uważasz już go pan za agenta.

— Bo ja wiem, panie, żadną miarą zdecydować się na nic nie mogę.

Z Popowem mówić było trudno. Znajdował się on w stanie całkowitego rozstroju. Rozpytałem się go więc o adres Uśpieńskiego, okazało się, że trzeba go szukać w księgarni. Umówiłem się z Popowem, że spotkamy się w traktyerni.

Idąc do Uśpieńskiego usiłowałem uporządkować wrażenia. Było rzeczą całkowicie jasną, że tutaj „praca" rewolucyjna wyglądała mniej jeszcze poważnie niż u nas. Inaczej taki Popow nie dałby się wprost pomyśleć.

Uśpieński zrobił na mnie odrazu potężne wrażenie. Był to człowiek skupiony i poważny.

Kiedym mu zakomunikował to, co mi polecił powiedzieć Nieczajew, rzekł: — To wszystko my już dobrze wiemy. Trupa nie znaleźli, ale niewąt-

pliwie znajdą. Za dużo się o tem gada. Zresztą wszyscy wiedzą, że między Nieczajewem, a Iwanowem coś było. Poza tym na naszym tropie są i tak, są inne symptomaty.

— I cóż pan myśli? zapytałem.

— Nic, powiedział spokojnie — czekam.

— Na co? zapytałem zdziwiony.

Uśpieński popatrzył na mnie jasnemi oczami.

— Tak jak sprawy stoją, nie może być mowy o ukrywaniu się. Trzeba ratować, co się da. Tę sprawę rząd będzie się starał rozdąć i rozdmuchać. Jeżeli jej się nie ocali przez nasze zachowanie wobec sądu, energia rewolucyjna w Rosyi znacznie ucierpieć może. Nie mamy prawa zapominać o tem.

— Pan jest sam? zapytałem.

— Nie, mam żonę, ona też będzie aresztowana. To jedyna rzecz, którą możemy zrobić. Nie trzeba było zaczynać nic. Gdy się jednak coś zaczęło, nie można zrzekać się odpowiedzialności. Dotąd nie zrobiliśmy nic. Właściwie zaszkodziliśmy nawet. Jeżeli wytrwamy i przed sądem potrafimy zachować się, jak trzeba, wszystko nabierze innego znaczenia. To jest jasne. Rząd będzie usiłował ogłosić nas za szaleńców, zbrodniarzy i smarkaczy. Trzeba, by świat, gdy mu rząd na naszą ławę oskarżonych ukaże — ujrzał rewolucyonistów. Ława oskarżonych, to jedyna w Rosyi trybuna. Teraz uciekać, to jakby poprosić o głos, a potem przestraszyć się.

Słuchając Uśpieńskiego myślałem, jak mógł Nieczajew nie zrozumieć, nie poznać hartu duszy takiego człowieka.

Powiedziałem coś w tym rodzaju.

— Mnie, rzekł Uśpieński, Nieczajew w gruncie rzeczy ufał. Ale on ma zbyt głęboką pogardę dla ludzi. On sam nawet nie wie, jak głęboko ludźmi gardzi. U nas w Rosyi dziwni wyrastają ludzie. Niech pan przyjrzy się procesowi Karakozowców, jaka tu mięszanina dzieciństwa, naiwności i dzikiej, szaleńczej odwagi. Rosyę trudno będzie dźwignąć — rzekł.

— Czy żona pańska jest tak samo na wszystko przygotowana?

Uśpieński uśmiechnął się dziwnie: — Inaczej nie mogłoby być. My teraz marzymy sobie o tem, kiedy nam znów na Syberyi pozwolą połączyć się. Wtedy już i nam wolno być szczęśliwymi. My to nazywamy swoją podróżą do Włoch. Wiosna w Syberyi bywa bardzo piękna. Roślinność na kilka tygodni całkiem tropikalna. No, dodał, tu panu nie należy się zasiadywać. Lada chwila może się co stać. Jeżeli będę mógł, przyjdę się z panem zobaczyć u Popowa.

Zacząłem tułać się po ulicach tego całkiem obcego, nieznanego mi miasta.

Uśpieński zapanował całkowicie nad mojemi myślami. Jego spokój i niedostrzegająca samej siebie siła, miały w sobie coś bardziej zdumiewającego jeszcze, niż przepojony myślą hart Brenneisena. Tamto był kryształ z jakiejś huty myślowej o nadmiernym żarze i ucisku atmosfery. Tu — jakby samorodny kamień gdzieś w głębi gór zro-

dzony i walający się na bruku pośród pospolitych głazów.

Teraz dopiero ukazała mi się w pełni oczywistość prawdy, że szacując świat na podstawie własnych podmiotowych stanów — musimy popełniać błędy. Kto odgadnie, ilu Uśpieńskich tai się w spokojnej, nieporuszonej glebie.

W ciągu rozmowy powiedział mi Uśpieński:

— Ja dzisiaj wiem, że Nieczajew błądził i mylił się, ale gdyby nie on, ja nie wiedziałbym o sobie nic z tego, co wiem dziś. Nie myślałbym o tem, nie byłbym tem, czem jestem.

I zdaje się, to określało stosunek.

Gdym wszedł do restauracyi i spytał się o Popowa, wskazano mi ostatni w głębi lokalu znajdujący się pokoik. Tu siedział Popow bez surduta na obitej ceratą kanapie, z której wyłaził włosień i sterczały sprężyny. Koło Popowa siedziała dziewczyna o zniszczonej twarzy i ochrypłym głosem śpiewała coś. Popow był silnie podniecony.

— Jak stary rzymianin, wołał, z wieńcem róż na głowie, z czarą falerna wyczekuję losu. I nie tknie się dumnego czoła bladego strachu chłodny cień — zanucił fałszywym głosem. — Tak to ono młody człowieku. Są utajone siły wszędzie, w piersi Popowa żył zawsze republikanizm i pośród snu wołał na mnie głos: Brutusie, spisz? Piękna Lesbio, rzekł do swej towarzyszki, ty zapoznana zwiastunko nieskrępowanego Erosa, odejdź teraz, różane palce zorzy z piany morskiej zrodzonej przestają brzękać na cytrze, gdy szczęk mieczów słychać, bijących

w pancerze. Dobrze mówię. Rzymianko odejdź, mogłabyś powiedzieć, z tarczą albo na tarczy ale i tak wspominaj zawsze, żeś ty ostatnia z żywych widziała Ewarysta Popowa.

— Oni zawsze tak, rzekła dama, mówią byle co, że aż zrozumieć trudno.

— Za jedną noc życie moje! Tak czarująca Sylfido. Za jedną noc życie — weź głowę Popowa, który śmiał tu w śnieżnych hyperborejów ojczyźnie kochankien być bogini swobody. Jak pisał Puszkin: w Rzymie byłby Brutusem, w Grecyi Peryklesem, a u nas nie oficerem huzarskim, lecz koleżskim registratorem, człowiekiem nikczemnego wyglądu we fraku, jak wyrazić się raczył Mikołaj Pawłowicz o innym rosyjskim rzymianinie. Idź już teraz Kornelio, matko Gracchów, a obnażywszy swoje łono powiedz: Cezar tu spał i jego losy. Być kochanką Cezara, a potem umrzeć.

— Pan też byle co przy obcych, mruknęła dziewczyna. Ten młody pan jeszcze Bóg wie co pomyśli.

Popow wreszcie uspokoił się i dziewczyna wyszła.

— Tak to młody przyjacielu, słuchasz i dziwisz się. Hamlet filozofował na cmentarzu, a rosyjski człowiek najgłębiej myśli za szklaneczką piwa. Ty nie patrz się, że Popow pijaczyna, że niby uczucia ma nie po formie. Człowiek na katorgę pójdzie, a teraz po pijanemu językiem miele. Na formę bracie napluj, aby tylko treść była. Wisarion Grigorjewicz Bieliński wielki człowiek był i ognistego gniewu miał serce, a w preferansa grał. Chłopiec z drukarni przychodzi, siedm pik słyszy, drugi raz,

bez jednej, trzeci raz, do kotła, a numer wyjdzie i artykuł jest. I jaki artykuł: zadrży cała Rosya. Życie braciszku niżej łojowej świeczki stawiać — wielka mądrość jest. No i weź ty mnie, choć i przestrasz teraz Ewarysta Popowa. Czem przestraszysz? Ja sam życia na złamany grosz nie cenię. Choć dziś zginąć. Powagi nam i koturnów nie trzeba. Zawinąć się można, tak samo w szlafrok, jak i w rzymską togę — byle tylko było w piersi republikańskie serce. Wszystko miał Nieczajew, a tej naszej wesołości nie miał. Stracony człowiek, mówił. No i cóż, że stracony? — pocóż zaraz chodzić po mieście z opalonymi skrzydłami, niby Abadonna jaki. Na dzień powszedni — to nawet nudne. I wszystko to on uroczyście tak urządzał właśnie. I was tu młody człowieku z poleceniami osobliwej wagi przysłać musiał. Co polecenia? Jakie tu mogą być polecenia? Uśpieński, jedno słowo, lodowiec jest, jego choć w ogień piekielny — nie roztaje, a w Ewaryście Popowie żyła zawsze rzymska dusza. Pozorów nie było... W serce trzeba patrzyć, nie na pozory.

Do drzwi pokoju naszego zastukano.

Lokaj wprowadził chłopaka bez czapki. Aleksander Iwanowicz kazał się kłaniać i powiedzieć jedno słowo: gotowe. Oni już będą wiedzieć, mówił.

Popow lekko zbladł. Masz, mały, rzekł, szukając czegoś po kieszeniach, wreszcie wyciągnął garść miedziaków i chciał podać, ale z drżącej ręki wysypały się na podłogę i na dywan.

— Gotowe, młody człowieku, mówił Popow. Teraz jest czas okazać losowi męstwo.

— I przyodziawszy wieniec róż, z czarą pieniącego się wina.

— Wieńca róż zaoszczędzić sobie można a falerno zastąpić butelką szampana, aby nie powiedziano było, że blady strach zmroził bicie wesołego serca.

— Ty skąd jesteś obywatelu, zwrócił się do chłopca, który pozbierał tymczasem miedziaki.

— My z Nikolskiego, rzekł mały. Twierskiej gubernii.

— Twierskiej, powtórzył Popow, chodź tu citoyen. Na twojem czole składam pocałunek. To bracie jest symbolum. Wysoce poetyczna scena. Ja kiedyś pisałem dramat, otóż tak... No... no... już możesz iść, a Aleksandrowi Iwanowiczowi powiedz, że Ewaryst Mikołajewicz Popow był zawsze gotów i że w wieńcu róż i z puharem w ręku na łonie Lesbii czarnookiej ulega potędze ciemięskiego Zeusa.

— Uśpieńskiego wzięli, rzekł Popow, gdy chłopiec wyszedł.

Wargi jego lekko drżały i słowa plątały się.

— Czy nie spróbuje pan ukryć się, zapytałem.

— Ni-ni, braciszku, parol u nas taki dany: na posterunku. Mnie by pani Uśpieńska w oczy plunąć nie chciała. Ona to właśnie jest Kornelia, matka Gracchów, żona to jest. Ale nie w tem sens. Jakby Lucyla, żona Demoulina i stary Popow gotów skonać pod spojrzeniem jej gwiaździstych oczu. I ani ni. Tu, braciszku, wyboru niema. Teraz trzeba słowo swoje powiedzieć na całą Rosyę. Nie tylko młodzieniaszkowie niedoświadczeni, uwiedzeni podstępną wymową, ale i starcy osrebrzeni siwizną,

o senatorskiej, że tak powiem powadze... A szampana jednak wypić nam potrzeba.

Zadzwonił, zjawił się szampan.

Trąciliśmy się.

— Odtąd już szczęk łańcuchów, zaczął Popow, ale przerwał.

— Nie patrzcie się na mnie tak i nie myślcie... stary gada, bo mu po sercu mrówki łażą i koty, jak to mówią, skrobią. Nie będę mówił, że gdzieś tam w tym kadłubie niema strachu i żalu, że trzeba iść. Trzymać oni będą w jakiejś norze. Brr... A przytem łapy, te ich łapy i oczy. I to, że każdy sołdat będzie człowiekiem rozporządzał się jak rzeczą. Jest strach, jakże ma nie być? U nas, łaskawco mój, uczucia cywilne nie miały nigdy ani czasu, ani sprzyjających warunków. Słyszałem, że Murawjew raz jakiegoś litwina całkiem już powiesił; już on tam chybotał się w powietrzu, a tu adjutant z rozkazem „ułaskawić". Odcięto, docucono się, kieliszek wódki w gardło. Siedzi mój Litwin, patrzy osowiałemi oczami. Szturchają go, co jak, jakże to? Coś czuł? A on mówi — ta nic osobliwego, ale markotno, wiadomo nie przywykłszy. Otóż ono tak, braciszku: nie przywykłszy. Był człowiek całe życie wierny, poddany, w duszy salutował przed każdym stójkowym, przed niebieskim mundurem, żegnał się zawsze jak kupczycha przed burzą — a tu nagle obywatel. Prawa święte obywatelskie, prawo narodów i jak to się nazywa, nigdy nie ulegające przedawnieniu, niecofnione prawo rewolucyi. To panie, tam na zachodzie. Tam każdy kamień woła:

prawo. I przypomina, że nie ty pierwszy, nie ostatni. A tu co? Jakie wspomnienia? Tu takiego to bojarzyna knutami bili — rozpalonymi żeleźcami nozdrza rwali — i nie w tym bieda, że rwali i bili, a w tem, że on rękę miłościwą, carską rękę ucałować krwawymi ustami usiłował.

— No i dosyć, jeszcze kieliszek.

Trąciliśmy się znowu...

— Ot i nie minie nadaremnie życie, rzekł Popow, nie minie nadaremnie. Po kawiarniach i szynkach biegał, w karty grał, dziewczęta lubił, talentu pisarskiego nie miał, idei nowych nie stworzył, ale kośćmi swoimi legł za świętą sprawę...

Był teraz dziwnie poważny. Nachylił się nademną:

— I tobie też przyjacielu tego serdecznie życzę: niech ci da los kośćmi legnąć za wielką, świętą, niech ci da los... Pocałowaliśmy się: ściskałem długo jego rękę.

— No tak, rzekł Popow.

— Niech nie będzie odwrócona odemnie ta czara!

Nalał nowe kieliszki.

— U nas w Rosyi, mówił, zwyczaj jest przed samym wyjazdem posiedzieć jeszcze chwileczkę i pomilczeć razem.

Siedliśmy.

Popow zadzwonił. Wszedł służący. Popow nie pozwolił mi płacić.

Do służącego mówił:

— Jutro w kuchni zarznąć każesz czarnego koguta.

— Upiec pan każe? pytał sługa...

— Wszystko jedno, ja płacę... Zabij na ofiarę

Eskulapowi, zjedz na zdrowie, wspominając Sokratesa i Ewarysta Popowa.

— Wyjeżdża pan dobrodziej gdzie? — dziwił się służący.

— Nie zapomnij braciszku, cóżem ci rzekł: czarnego koguta na pamiątkę Sokratesa i Ewarysta Popowa. Sokrates też był łysy i też wypić lubił. I bogów, których Ksantypa wielbiła, nie uznawał. No tak, bracie kochany — a czarny kogut oznacza wyzdrowienie i ofiarę dziękczynną. A z jakiej choroby wyzdrowiał, o tem braciszku w Karamzinie przeczytasz.

Zostawił słudze rubla i uściskał go.

Wyszliśmy na ulicę...

— No, wam na lewo, rzekł, mnie na prawo. I jeszcze raz życzę wam: niech nie odwróci się czara. Tak lepiej. Łatwiej niż niepotrzebnie włóczyć po świecie stare kości... Tak bracie... Teraz jeszcze raz uścisnęliśmy się. Patrzyłem długą chwilę za nim, jak szedł przygarbiony w zrudziałym, dziwacznym kapeluszu, niezgrabnie omijając kałuże i kupy błota.

Usiłowałem uporządkować myśli. Doznawałem uczucia piekącego wstydu i upokorzenia. Dziś rano wydawał mi się ten człowiek histeryczną babą, która przez pomyłkę znalazła się w przedniej straży walczącej armii i miota się bezcelowo i bezradnie przed kulami. Z bólem myślałem, jak małym i nędznym jestem ja sam wobec tych ludzi. Jaką duszę musi mieć żona Uśpieńskiego? Czyż mnie nigdy nie będzie danem wznieść się do tego poziomu?

Zazdrościłem Popowowi, że zna tę kobietę i nagle uprzytomniłem sobie, że i ja przecież żyję wśród ludzi nie mniejszej chyba wartości. Przypomniałem sobie cichą i małomówną Warię Torzecką, sięgającą po poświęcenie i spełniającą każdy obowiązek tak, jakby chodziło o rzeczy najprostsze z całą naturalnością instynktu. Oni wszycy zrośnięci są istotnie z prawdą: są ludźmi w pełnym, całkowitym znaczeniu, ja jeden pośród nich tułam się i właściwie pozostaję chłodny. Bolały mnie wczorajsze myśli i zwątpienia. Zrozumiałem też, że Nieczajew sięgnął tylko na chybi trafi naokoło siebie i zagarnął ludzi, którzy już byli naokoło niego gotowi, oczekujący tylko na taką elektryzującą iskrę. Tragedyą Nieczajewa było to, że on nie rozumiał, nie czuł tych rozsianych naokoło niego sił. Był tak zamknięty w sobie, że nie mógł wyjść po za płomienne koło swej samotnej nienawiści i rozpaczy. Usiłowałem wyobrazić sobie Popowa, Uśpieńskiego przed sądem. Wiedziałem, że nie zabraknie im męstwa. I rozejdzie się po całej Rosyi wieść o dumnych rękach, które wzniosły wśród milczenia i kamiennej grozy sztandar buntu. Szukałem w samym sobie tej siły i zdawało mi się, że i ja byłbym ją znalazł. Jednocześnie pamięć przywodziła mi inne obrazy: młodzieńców, którzy szli z Paryża, Metzu, Anglii, Szwajcaryi w paszczę potwora, choć lata całe wpatrywali się w jego okrutne ołowiane oczy i zbadali całą głębię jego chłodnego okrucieństwa. Przesuwała się przedemną ta krwawa girlanda polskich emigrantów. Kto wiedział o nich, gdy znikali tak,

jak kamienie ciśnięte w wodę? Kto wie o tem, co czyni w tej chwili Popow? I kto wie, ilu ich jest nie wiedzących o sobie? Nie pojmowałem jak mogłem wczoraj dać się złamać i skruszyć myśli o naszem osamotnieniu. Ktoś ty jest tragiczna siło, co dajesz moc wytrwania bez świadków? Ktoś ty jest, która żyjesz w bohaterstwie, mężnym czynie, samotnej pracy mędrca? Prawda! Kto daje władzę prawdzie, gdzie jest siła jej? Potężne czucie, że człowiek zwalczy przeznaczenie. Chodziłem po ulicach i niespodzianie dla samego siebie znalazłem się o kilkadziesiąt kroków od księgarni, w której odwiedziłem Uśpieńskiego. Był przed nią jakiś ruch, stała jakaś dorożka. Nagle ze sklepu wyszło kilku ludzi w żołnierskich szynelach, podbiegłem, mignęła mi przed oczami spokojna twarz Uśpieńskiego, jego czarna broda. Dorożka ruszyła. Policyant rozpędzał zgromadzonych.

— Fałszywe pieniądze drukował — mówiła przechodząc koło mnie jakaś baba...

— Ni-ni, rzekł stróż, całkiem inna sprawa. Co ty tam wiesz, dobry pan był! Gdzie jemu pieniądze fałszować.

— Przechodźcie, przechodźcie, krzyknął, widząc, że słucham. Tu się zatrzymywać zakazano...

— Uszy, to oni nadstawiają uszy — słyszałem, jak mruczał kiedym się oddalał.

Znajomych już więcej nie miałem. Dowiedzieć się nic nie mogłem niczego, chciałem wracać.

Coś mnie ciągnęło dowiedzieć się jeszcze o Po-

powa. Zacząłem iść w tę stronę, kiedym już zbliżał się do ulicy, na której mieszkał, dopędził mnie ktoś.

— Panie szanowny.

Obejrzałem się: — przedemną stał Kasjanow we własnej osobie z głową dziwnie rozczochraną, jak zawsze.

— Kaniowski tak i jest, rzekł.

— Ja za wami od samego sklepu Czerkiesowa idę. I myślę: on, czy nie on? Tam dzisiaj jedna przykra sprawa stała się.

— Wiem, powiedziałem, nie myśląc o ostrożności.

— Takem właśnie myślał. Widzę człowiek przygląda się, a teraz idzie w tę właśnie stronę. Myślę, zaczepić ryzykownie, a jak nie on. Nam dzisiaj po ulicach włóczyć się nie bardzo wypada, zaszlibyśmy gdzie, ja mam tu jedno miejsce, swoi ludzie...

W mieszkanku z pokoju i kuchni złożonem zastaliśmy trzy osoby.

Za stołem siedział mężczyzna o wysokim czole i ślicznych mądrych oczach. Młoda panienka w niebieskim fartuchu krzątała się koło samowara. W kuchni wysoki blondyn o wesołych oczach i rumianej twarzy dziecka przepłukiwał szklanki.

— Swój człowiek, rzekł Kasjanow. Feliks Bołchowski, Tarutina, Martynow, przedstawił obecnych.

— Wzięli, rzekł, zwracając się do Bołchowskiego.

Ten sposępniał.

— Szkoda. Szkoda. Jego szkoda szczególniej. I jej. Zadziwiający byli ludzie. Nieszczęście tu zaszło jedno.

Wiem, powiedziałem, widziałem się z Uśpieńskim.

Bołchowski ożywił się. Cóż on? Powtórzyłem rozmowę, powiedziałem także o Popowie.

— Zdumiewające, zdumiewające, powtarzał. Popow mieszanina Falstaffa z Sokratesem. Prawdziwie nasza rosyjska kombinacya.

Rozgadaliśmy się.

— Myśmy się tu wszyscy Nieczajewowi przyglądali. On naokoło siebie wszystko rwał i miotał. Ambicya w nim straszna i coś dziwnego jeszcze. Tu u nas, jak na wiosnę — nim śnieg stopnieje. Dziś nikt nie wie, co jest. Ale ziarna rzucono było wiele. I dojrzewa tam ono, dojrzewa gdzieś. Dobrze wsłuchać się w szmer, a usłyszysz, jak rośnie ono, dojrzewa młoda siła. Za dwa albo trzy lata, albo pięć nie poznamy tej naszej cichej, martwej Rosyi, ale dziś.

Podano herbatę, teraz wszyscy siedzieli koło stołu.

— Ostatni raz chyba, rzekł Bołchowski. Ot oni, wskazał na młodych, do Zurychu jadą. Cała kolonia tam.

— Wy na przyrodę, spytałem Tarutinej.

— Ja nie, odpowiedziała, medycyny chciałabym, nie wiem czy zdążę, choć hygieny trochę, akuszeryi. Zapóźniłam się, aż strach. Teraz pędzić będzie trzeba.

— Powinszować im można, pięć dni dopiero po ślubie.

Panienka rozgniewała się.

— Wy, Kasjanow, jak byliście tak i umrzecie, mówiłam wam nie śmiejcie żartować.

— No i o co, rzekł wesoło blondyn. Samo przez

się rozumie się. Paszport był potrzebny, rodzice nie dawali — no i trzeba było ślub wziąć.

— A wy także do Zurychu, spytałem Martynowa.

— Ja nie wiem jeszcze, zmarszczył brew, gdzie trzeba będzie. Może tylko powietrza chwycę i wracać będę.

— Zostaniesz, zostaniesz, rzekł Bołchowski. Wracać czas będzie zawsze... Tu nie na jeden rok i nie na dziesięć będzie praca.

Zasępił się...

— Ilu jeszcze ludzi zginie, ilu ludzi. My wszyscy i dzieci nasze. Dziesięć wieków ona rosła, monarchia rosyjska, nie zmożesz w jedno pokolenie.

— Dajcie pokój, wzruszyła ramionami Tarutina, zaśpiewajcie lepiej co.

Popłynęła przeciągła, smutna pieśń!

— A po powrocie wy co, zapytałem dziewczyny.

— Na fabrykę, jako robotnica wstąpię, albo na wsi gdzie osiędę...

Wracałem wieczorem odświeżony: a z wami Kasjanow, co dzieje się, spytałem.

— Nic dobrego, rzekł, ręce i nogi mam związane. Położenie jego było istotnie ciężkie: matka jego zwaryowała. Ojciec nieboszczyk po pijanemu wracał do domu, co miał pod ręką w głowę ciskał. A i tak. Teraz co. Do szpitala nie oddam. Bić będą. Nie ścierpię, aby ją bili. W domu trzymam, spokojna ona jak dziecko, a ruszyć się ja już teraz, ani tchnąć nie mogę. Siedzę na brzegu i patrzę, jak ludzie toną. A jakby mnie wzięli, co by się z nią stało. Na ulicę trzeba by iść żebrać pod kościół

pókiby policya do żółtego domu nie oddała. Tak ja tu i siedzę. Głupio idzie życie, a nic głupszego nie ma, jak na boku stać i ludzi najlepszych widzieć, jak idą na zgubę. Kochani, najbliżsi ludzie. Tarutina na mnie dziś krzyknęła, jak słyszeliście. Ona zawsze tak: matką kto inny by się zaopiekował. Ale ona jak dziecko jest moja staruszka, do ust nie weźmie nic, jak ja jej nie podam.

Pożegnaliśmy się.

Rano obudziło mnie stukanie do drzwi. To był Bołchowski. Ledwo dopytałem się o pana, rzekł. Kasjanowa wczoraj w nocy wzięli. Trzeba matką jego zająć się, potrzeba pieniędzy. Myśleliśmy, że może pan jest bogatszy, u nas sucho.

Pieniędzy miałem istotnie trochę.

Matkę Kasjanowa zatrzymała policya. Bołchowski usiłował wydobyć ją przez stosunki. Niechaj o matkę choć będzie spokojny.

Dzień przeszedł nam na różnych staraniach. O sprawie Kasjanowa nic oczywiście dowiedzieć się nie było można. Matkę jego przynajmniej udało się zapomocą różnych starań wydobyć. Jakaś pani odegrała rolę krewnej i wzięła ją na swoją odpowiedzialność. Starowina zresztą nie mogła stanowić żadnego niebezpieczeństwa. Była nad wszelki wyraz przerażona i patrzyła na nas łzawymi oczami zaszczutej sarny, gdy wieźliśmy ją z cyrkułu. W cyrkule znaleźliśmy ją pod opieką jakiejś pijanej baby. Siedziała ona nad staruszką i zawodziła żałośnie, popłakując. Miała podbite oko i wyglądała nawpół przytomnie. Staruszka jednak, gdyśmy ją brali cze-

piała się rękawów swej opiekunki i płakała cicho. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej przejmującego niż te łzy cicho spływające po twarzy starego człowieka, bojącego się skarżyć głośno i opierać.

— Jedzie pani do Miti, rzekła Tarutina.

— No nie do Miti, ale Mitia tak kazał, poprawił Bołchowski.

Staruszka spojrzała na niego. „Mitia kazał", powtórzyła. Od tej chwili nabrała do niego wielkiego zaufania.

— Nie należy nigdy chorym, ani dzieciom kłamać, powiedział Bołchowski do Tarutinej.

Dziewczyna zaczerwieniła się.

— No, no niech pani tylko nie rozpacza, pogładził ją po ramieniu.

— Zinaida Petrowna, rzekł do mnie, dwie noce nie spała. Za buciki pięć rubli zapłaciła. Wciąż rachunek robiła, ile dni żyć może chłopska rodzina za pięć rubli.

Widziałem, że Martynow spojrzał na Bołchowskiego wdzięcznymi oczyma. Gdy tylko nie patrzyła ona na niego, nie spuszczał on z oczu swojej „ślubnej" żony. Natomiast, gdy zwracała się ona do niego mamrotał tak niechętnie, że zrozumieć nie można było o co idzie.

— Ofiarę poniósł, żartował Bołchowski, narzeczonej wyrzekł się i teraz patrzeć na Zinaidę Petrownę nie może. Znamy my wasze tajemnice.

Bołchowski miał podobno zaledwie trzydzieści lat, wyglądał jednak znacznie starzej i ludzie nie o wiele młodsi od niego zachowywali się wobec

niego z tym nie nakazanym naturalnym szacunkiem, który otacza niby atmosfera w środowisku uczciwych ludzi, jednostki posiadające w sobie uznaną i przeczuwaną przez wszystkich moc moralną. Przekonałem się, że w pewnych otoczeniach dusze stają się jakby przejrzystemi, jest to jednak zjawisko bardzo rzadkie. Każde słowo jego, każdy uśmiech miały dziwny urok. Jednocześnie z nikim innym nie czuło się tak swobodnym.

Zastałem wieczorem matkę Kasjanowa siedzącą na małym stołeczku przy jego fotelu, robiła na drutach jakąś robotę włóczkową.

—Matrena Pawłówna robi oto ciepły kaftan dla syna, powiedział Bołchowski, gdy wszedłem.

Staruszka uśmiechnęła się do niego i myślę, że nigdy zakochana kobieta nie może patrzeć na swego kochanka cieplejszem, bardziej promienistem spojrzeniem.

— Gdy skończymy kaftan, zaraz się go Miti odeszle.

Opowiedział on matce Kasjanowa niemal całą prawdę. Zastosował się do jej pojęć, mówił jej, że Mitia jej nigdy nie mógł znieść nieszczęścia ludzkiego, że dużo jest na świecie biedy, że Mitia cierpi za to, że bronił biednych ludzi, ale, że oni pamiętają o Miti, dowiedzą się o nim; że człowiek, o którym tylu tudzi pamięta i którego tylu ludzi dobrze wspomina, nigdy nie może być nieszczęśliwy. Mówił, że Mitia jest pewny, że matka jego będzie spokojna i będzie czekała na niego, że on tam po-

trzebuje różnych rzeczy i jak on troszczył się o nią, tak ona teraz myśleć musi o nim.

Słowem zachował się wobec staruszki tak, jak gdyby była całkiem zdrowa, odgadł w niej skłonność do naiwnych poetyckich marzeń, przybierających nawpół religijne, nawpół przeciętne życiowe sentymentalne zabarwienie. Z jakimś niezrównanym miękkim taktem powyczuwał zdrowe, dźwięczne struny tej duszy, umiał w kilka godzin uspokoić a przedewszystkiem przyzwyczaić do siebie staruszkę.

Widziałem jednak, że musiało jeszcze coś zajść.

Zinaida Petrówna miała jak gdyby zapłakane oczy. Martynow mówił nienaturalnym basem.

Gdym wyszedł po coś do kuchni, usłyszałem głos Tarutinej.

— Teraz to jest nawet nieszlachetnie okazywać mi swoją niechęć.

Bołchowski śmiał się, kiedy wróciłem.

Po herbacie posługaczka przyniosła butelkę taniego szampana.

Tarutina spojrzała z wyrzutem na Bołchowskiego, miało to znaczyć: Kasjanow cierpi a panu szampan w głowie.

Ale Bołchowski uśmiechał się tylko: dla drogiego gościa, mówił, mrugając na mnie.

Nalano szklanki i Bołchowski uśmiechając się filuternie wziął za rękę Zinaidę Petrównę i Martynowa.

— No, rzekł, a teraz za zdrowie młodej pary. Daj wam Boże wiele, wiele szczęścia.

Martynow usiłował wyrwać rękę, Tarutina zdołała nawet wyrwać.

— No i nie zabawni to ludzie, zawołał Bołchowski, postanowili sobie fikcyjny ślub i każde robi ofiarę ze swej miłości. „Ja się nie narzucam“, gdybym nie znał was i nie widział, że wy i na seryo gotowiście tak przejść obok siebie i słowa sobie nie powiedzieć, nie mięszałbym ja się w tę sprawę...

— To nie moja wina, usiłował tłumaczyć się Martynow, ja Bołchowskiemu ani słowa nie mówiłem i nigdy nie byłbym powiedział, chciał mówić jeszcze — ale Bołchowski wskazał mu oczami Zinaidę Petrównę. Stała ona cała w płomieniach i patrzyła w swego fikcyjnego męża dziecinnemi, pełnemi szczęścia oczami.

Było dość wesoło tego wieczora. Sprawa Kasjanowa nie powinna była być zbyt groźną, zresztą każdy z obecnych był pewien swojej kolei. Staruszka pracowała i uśmiechając się od czasu do czasu powtarzała „Mitieńka“.

8.

Pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy na dworcu, gdym podjeżdżał — była twarz Zemczużnikowa. Wydał mi się bardzo zmienionym. Musiało się coś stać, pomyślałem.

— Dobrze, żeś przyjechał, rzekł, na czwarty już pociąg wychodzimy.

— Stało się co?

— W domu powiem.

Nie bywaliśmy prawie nigdy w mieszkaniu Zemczużnikowa. Wiedziałem tylko, że mieszka dość daleko od nas wszystkich u siostry.

Jechaliśmy długo dorożką.

Zemczużnikow milczał wciąż, ja czekałem w strasznem napięciu.

— Czy Brenneisen jest u ciebie?

— Nie, odpowiedział.

— Aresztowali? zapytałem.

Spostrzegłem, że dolna warga Zemczużnikowa i broda trzęsą się.

— Aresztowany? powtórzyłem.

— Brenneisen nie żyje, odpowiedział Zemczużnikow głucho.

Dzika myśl „Nieczajew" przeszyła mi mózg.

Dojechaliśmy wreszcie.

U Zemczużnikowa był i Jaszka z twarzą żółtosiną.

— Jak to się stało, pytałem, a cóż Waria? Mówcie prędzej.

Zemczużnikow powiedział coś, a raczej poruszył wargami.

— Waria Torzecka zginęła razem z Brenneisenem, rzekł Jaszka zdławionym głosem.

Zemczużnikow położył przedemną skrawek papieru.

Towarzysze — czytałem na nim pismem Warii nakreślone wyrazy — żegnam was i ja. Przebaczcie mi, że i ja odchodzę. On mi pozwolił umrzeć z sobą. Wybaczcie mi, że opuszczam sprawę. Ja bez niego

nie potrafiłabym żyć. Przyniosłam z sobą kwiaty i myślałam, że wy je znajdziecie później, ale wiem teraz, że tu do nas nie dopuszczą nikogo. On mi przyrzekł, że nie zginę z ich ręki, nawet wtedy, gdyby samej mi ręka drżała. Wybaczcie mi i nie żałujcie. Jaszko wybacz, że śmiałam z ciebie żartować, ja, która teraz oto tak uciekam i wy przebaczcie Michał czarny i Michał biały. A ludu rosyjskiego nie proszę o przebaczenie, bo on nawet nie dostrzeże mej straty. Jeżeli kiedyś nadejdzie czas i wystawicie jemu posąg, to u kolumny złóżcie wiązankę kwiatów, a na jej wstędze wypiszcie me imię, jeżeli chcecie. Ja tylko z tego jestem dumna, tem się cieszę, że umrę z nim i z nim przeżyję te ostatnie długie godziny i że będę jeszcze patrzeć w jego twarz i jego oczy. Jakże mi żal, że nie wrócę powiedzieć wam, jak on zginął. Ale wy będziecie i tak wiedzieć, że wszystko co czyni on jest wielkie i święte. A teraz żegnam was wszystkich i całuję. Wszystkich was kochałam, jak siostra, i cieszę się, że wy będziecie żyć. Ale to mi wybaczcie, że wybrałam śmierć razem z nim. Ja wiem, że to jest z mojej strony wielka słabość i egoizm, ale ja nie ukrywałam nigdy, że mam mało serca i mało sił. Zresztą może i to podziała, jako przykład, że dla kobiety rosyjskiej jest lepiej z takim człowiekiem, jak on umierać, niźli żyć. I widzicie, że znowu napisałam głupstwo, bo umrzeć z nim jest zawsze i wszędzie szczęście. Powinno się takim umarłym na piersi ciskać wieńce, niechże zostanie o mnie chociaż taka pamięć, że ja zwyczajna, biedna

dziewczyna, poznawszy go, nie mogłam go przeżyć. Jestem tak szczęśliwa, że chciałabym śpiewać. Byłam pewna, że on wypędzi mnie i nie pozwoli umrzeć. A wtedy ja musiałabym sama i nie widziałabym jego oczu, i byłoby mi może trudno. Ja zawsze dotąd bałam się śmierci. I kiedy myślałam, że będę leżała w białej sukni w trumnie, łzy mi cisnęły się do oczu, a teraz jestem spokojna i liczę godziny. On mówi, że oni nie przyjdą przed nocą. Mamy jeszcze dużo, dużo czasu. Mamy przed sobą Szekspira i on czyta. Ale ja wolę, aby on mówił. Tylko mi żal, że tego już nie powtórzę nikomu. Teraz trzeba już skończyć, więc jeszcze raz proszę, nie myślcie o mnie źle, nie przestańcie mnie kochać, tak jak nie przestanę was kochać ja, a jeszcze o to was proszę: jeżeli wybaczycie mi, że sprawę zdradzam, to imię moje napiszcie u stóp jego posągu. Bo nic sama w sobie nie cenię prócz tego, że wolno mi tak upaść na jego mogile. Z całej duszy, z całej duszy, ściskam was, życzę, byście dożyli wielkich pięknych dni. A jeżeli Nieczajewa spotkacie powiedzcie mu, że go pozdrawiam, jak siostra z za mogiły, że czuję i wierzę, że imię jego lud rosyjski zachowa w pamięci. A jeszcze mu życzę, aby mu los dał śmierć cichą i z sobą pojednaną. Brenneisen ściska was i każe dziękować, że was znał. Mówi wam, że Was, bardzo i bardzo szanuje. Raz jeszcze całuję Was Waria. Brenneisen posyła pakiet, który oddać prosi Kaniowskiemu.

Czytałem nie wierząc swoim oczom. Słyszałem między wyrazami, którem czytał, własne łkanie.

Kiedym podniósł oczy, Zemczużnikow siedział blady jak trup i trząsł się. W oczach miał kamienny ból a zęby zaciśnięte tak, że twarz cała nabrała jakiegoś kurczowego wyrazu...

— Pakiet Brenneisena jest, rzekł Jaszko...

— Co to jest, co to jest wszystko, szeptałem.

I poznałem teraz dopiero to straszliwe: śmierć przyjaciół. Czułem pustkę dławiącą serce i ostrą przeszywającą myśl, która szukała zemsty.

Podszedłem do Jaszki i wziąłem go za ramię...

— Nie darujemy im tej krwi, szeptałem. Będziemy teraz myśleć dzień i noc. Dzień i noc będziemy zbierać siły.

Jaszka rzekł: Brenneisen zakazał mścić się...

— Czytaj.

Równem i silnem pismem skreślone były następujące wyrazy:

„Towarzyszom, gdy się już zostaną sami i gdy panować będzie jeszcze nad nimi żal — przypomnienie. Nas nie zabił wróg. Myśmy się zabili sami w dniu, w którym postanowiliśmy żyć dla szczęścia ludu. Od tej chwili nie mieliśmy już życia. Nie wolno wam przywiązywać się do nas. Proszę was na przyjaźń jaką macie dla mnie, abyście żadnych planów nie stanowili, póki będzie wami rządzić nasza pamięć".

Byłem jak w jakimś lunatycznym śnie. Nie wiedziałem teraz już, czy żyję sam. Wydawało mi się, że to, co przeżywamy jest jakąś legendą, spisaną gdzieś po za naszym czasem.

Zemczużnikow podniósł się i patrzył na nas

natchnionemi oczami. Nie umiem użyć innego wyrazu dla określenia jego spojrzenia, jego bladej twarzy. Tak musieli patrzyć chrześcijanie w oczekiwaniu zwierząt w cyrku.

„Nie będę już myśleć o szczęściu, nie będę miał podwójnych myśli. Teraz wam powiem, że kochałem ją, marzyłem, że zostanie moją żoną, że zostanie nam przecież choć jakiś zakątek spokoju i własnego życia. Jakiś rok, pół roku, dwa miesiące, jakaś godzina w dniu. Marzyłem, że będę stał koło niej zawsze, że nie skończą się nigdy te nasze wieczory wśród ciszy. Pamięć moja chroni tysiąc uśmiechów jej, z jakimi podawała mi litery, gdym składał. Teraz nie będę już myślał o niczem innem, nie będę myślał o sobie. Mnie całego zabrała ona ze sobą, zabrała wszystkie marzenia moje i myśli, które nie należały do sprawy. Nie mam już domu, ale mam jej grób. I na to szczęście, które teraz czuję, zaklinam was towarzysze nie rozstawajmy się. Bądźmy zawsze złączeni, duchem skuci. Wybaczcie mi, że ja do was tak mówię, ja wiem, że wy nie wątpicie, ale ja czuję się taki szczęśliwy, tak nadmiernie szczęśliwy.

— On zaraz zemdleje, krzyknął Jaszka.

Podaliśmy mu wody.

Przeszło kilka godzin zanim uspokoił się on i zasnął; wtedy Jaszka opowiedział mi co się stało.

9.

Tej samej jeszcze nocy po moim wyjeździe aresztowano Schultza. Nieczajew dał znać o tem

Brenneisenowi zawiadamiając go jednocześnie, że na jakiś czas wyjeżdża za granicę. Brenneisen zamknął się w mieszkaniu na całe popołudnie i jak się okazało, zniszczył wszystkie papiery. Na drugi dzień był u Zemczużnikowa, Jaszki i Wari; wszędzie domagał się, aby w jego obecności mieszkanie oczyszczono. Następnie zaczął ściągać pieniądze, jakie mogły mu się należeć; gdy zebrał przeszło sto rubli, doręczył tę sumę krawcom, swoim gospodarzom z żądaniem, aby opróżnili mieszkanie i to koniecznie nazajutrz. Pomagał im nawet w wyszukaniu nowego lokalu i spakowaniu nędznych gratów, wieczorem wreszcie tego dnia oświadczył towarzyszom, co postanowił.

Schultz został wciągnięty do sprawy przez oszustwo. To, że następnie przekonał się o jej słuszności, jest właściwie okolicznością obciążającą. Obowiązkiem naszym jest nie pozwolić, aby cierpiał on i ginął za czyny, w których udział jego nie był własnowolny. Dlatego też Brenneisen postanowił zawiadomić prokuratoryę, że on to właściwie był sprawcą czynów, stanowiących przedmiot śledztwa.

— Czy sądzisz, że to pomoże Schultzowi? — rzekł Jaszka. — Rząd nabierze przekonania, że natrafił istotnie na rozgałęziony spisek i będzie was trzymał tym dłużej.

— Mnie nie będzie trzymał — rzekł Brenneisen. — Mnie nie obchodzi rząd, ale sumienie własne.

List Brenneisena do prokuratora był ułożony mniej więcej w ten sposób:

„W tych dniach został aresztowany student Ka-

rol Schultz za rozpowszechnianie proklamacyi, które ja drukowałem. Znaleziono u niego ich całą paczkę, którą zostawiłem u niego ja sam, będąc wprowadzony w błąd przez kogoś, nazwiska czyjego nie wymieniam, co do przekonań i usposobienia Schultza. — Schultz nie wie nawet, co było tą okolicznością, która spowodowała tę tragiczną dla niego pomyłkę. Jeżeli sędzia, który go będzie badał, będzie miał trochę sumienia i iskrę rozumu, przekona się, że ma do czynienia w Schultzu z zupełnie uczciwym, lecz niezdolnym do jakiejkolwiek inicyatywy człowiekiem. Mam tak smutne przekonania o władzy, narzędziem której jest sąd rosyjski, że boję się, aby Schultzowi list ten nie zaszkodził, zamiast pomódz. Wiem, że pan, panie prokuratorze, wyczuje w nim prawdę, ale nie będzie pan śmiał w myśl swego przekonania postąpić. Pańskie sumienie przywykło już tak być poniewieranem, że nie zaważy na niem i ta nowa nikczemność, całej rozciągłości której pan nawet nie pojmujesz. Gdybyś pan wiedział, jak głębokie obrzydzenie czuję dla ludzi, stanowiących rząd rosyjski i dla ich nędzy moralnej, wiedziałbyś, że nazbyt wami gardzę, abym mógł wobec was kłamać. Podaję panu adres mojej potajemnej drukarni i mojego mieszkania. Zawiadamiam pana tylko z całą lojalnością, że najście policyi spotkam z bronią w ręku i że żywym ona mnie nie dostanie. Jeżeli pozostało w panu coś z człowieka, proszę przyjąć wyrazy politowania, że dobrowolnie sam siebie skazuje pan na

pełnienie tak nikczemnej i pogardy godnej funkcyi. Aleksander Brenneisen".

Z podaniem dokładnego adresu.

List miał być wysłany na drugi dzień rano.

Spieraliśmy się z Brenneisenem całą noc. Waria tylko była dziwnie milcząca, i odeszła już z wieczora.

Chcieliśmy zostać z nim, lecz nie pozwolił: — oświadczył, że pójdzie w takim razie sam do prokuratora.

Nie umiem ci opisać, jakeśmy się z nim pożegnali.

Na drugi dzień około drugiej przybiegliśmy, lecz zastaliśmy drzwi zamknięte. Stukaliśmy, nikt nie odpowiadał. Wreszcie jakaś sąsiadka powiedziała nam, że młody pan dostał telegram i wyjechał rano do Moskwy.

Myśleliśmy, żeś ty telegrafował, że się coś stało, i cała sprawa pójdzie w odwłokę.

Tułaliśmy się po mieście, byliśmy u Warii ,lecz nie zastaliśmy jej w domu.

Wieczorem chodziliśmy jeszcze raz do Brenneisena: w oknach było ciemno. Nie wiedzieliśmy, czy Brenneisen wyjechał przed czy po wysłaniu tego listu, obawialiśmy się więc kręcić po ulicy.

Przesiedzieliśmy w piwiarni do późnej nocy.

Wracaliśmy koło drugiej do domu.

Przechodziliśmy w pobliżu ulicy Brenneisena, gdy usłyszeliśmy strzały. Padały pojedyńczo, to znowu całemi salwami.

Zimny dreszcz nas przeszył.

Podbiegliśmy, lecz już o parę ulic zatrzymał nas kordon policyjny. Nie puszczano nikogo temi ulicami.

Strzały grzmiały.

Staliśmy wtuleni w mur jakiegoś domu, nadsłuchując.

Raz, raz, raz — rozlegały się salwy.

Później cisza, dziwna cisza w mieście po strzałach, jak gdyby czająca się, wyczekująca, trwożliwa.

Potem padały znów pojedyńcze strzały.

Odpowiadały salwy, jedna, druga, trzecia — znowu cisza.

I znowu to samo.

Wreszcie, — musiało być już koło piątej: byliśmy całkiem skostniali:

Cisza trwała długo, długo.

Nagle wpadły w nią trzy krótkie wystrzały, odpowiedziała salwa.

I wszystko umilkło znów.

W kilkanaście minut rozległo się miarowe stąpanie. Kilku oficerów przejechało w dorożkach.

Spojrzeliśmy po sobie — było skończone, w te uliczki wojsko nie puszczało wciąż.

Był już dzień, kiedy usunięto kordon.

Przechodziliśmy niedaleko już od domu, gdy usłyszeliśmy, jak jakaś kucharka mówiła: młodziutka ona taka, leży cała w kwiatach, mówią.

Mnie te słowa, jakby obuchem w głowę zwaliły. Zemczużnikow strasznie zbladł.

Siedliśmy w pierwszą dorożkę i pojechaliśmy

do matki Wari. Gdy skręcaliśmy już w jej ulicę, zatrzymała nas jej pokojówka zapłakana.

— Niech panowie nie jadą, u nas policya. Ja wczoraj do pana z listem jeździłam. Nieszczęście jakie, pani mdleje, mnie komisarz po doktora posłał.

W domu Zemczużnikowa zastaliśmy list.

Zacząłem z zimną krwią rozpatrywać się w tych faktach: aresztują nas jeszcze tej nocy, lub lada chwila — rzekłem.

— Matka Wari zna tylko moje i Zemczużnikowa nazwisko — powiedział Jaszka.

— To dość.

Trzeba było odbyć naradę wojenną.

Nieczajew zostawił mi dwa paszporty na wypadek, gdyby jeszcze był czas posłać je do Moskwy, — przypomniał sobie Jaszka i sięgnął do pugilaresu Zemczużnikowa.

Paszporty były dobre, zawizowane i całkiem w porządku.

— Musicie znikać stąd — zadecydowałem; — zajechać do jakiego hotelu, przeczekać parę dni, nim dostanę pieniędzy i przedostać się za granicę.

— A ty? — spytał Jaszka.

— Do mnie policya ma dalszą drogę, postaram się jakoś przelawirować i pojadę za wami.

— Nie tak łatwo było nam przekonać Zemczużnikowa, że trzeba się ukryć. Parę godzin czasu zabrało strzyżenie się, przebranie, manewrowanie po mieście dorożką z walizkami. Wreszcie umieściwszy przyjaciół w hotelu, zostałem sam.

Pieniądze nadeszły na drugi dzień telegraficznym przekazem.

Z bólem myślałem o tem, jak tłomaczy sobie ojciec to moje nieustanne szturmowanie o pieniądze.

W nocy tegoż samego dnia Jaszka i Zemczużnikow jechali już w stronę Wierzbołowa.

Wróciłem do domu zmęczony. Po raz drugi odczytałem przesłany mi przez Brenneisena zeszyt, coś w rodzaju jego pamiętnika.

Nagle zadzwoniono u wejścia; dzwoniono odrazu z frontu i do kuchennych drzwi mojej gospodyni.

Zapaliłem świecę i w tej samej chwili drzwi od mojego pokoiku zostały wyrwane raczej z zawias niż otwarte.

Dwóch żandarmów schwyciło mnie za ręce.

Niewidzialny oficer komenderował z kurytarza.

Wreszcie wszedł wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy i wielkich bakenbardach.

— Trzymajcie go! — wołał — nie zdejmując czapki.

— Nie chcę ani uciekać, ani się bronić, niema powodu mnie więc trzymać.

— Małczat! — krzyknął dygnitarz. — Nie razsużdat! Ja dostałem całkowite pełnomocnictwo, ja mogę użyć siły zbrojnej.

— Oni przecież nie stawiają oporu — odezwał się jakiś cywilny jegomość, wskazując na mnie.

— Jabym jemu pokazał opór. Całe szczęście tego łotra na Galernej ulicy, że umarł, już jabym mu...

Tymczasem pan w cywilnem schwycił już w swoje szpony kajet Brenneisena, i twarz jego nabrała wyrazu jakiejś lubieżnej radości. Spojrzał na mnie prawdziwie przyjaznym uśmiechem.

— Niechże pan każe przecież puścić ręce łaskawego pana, panie komisarzu. Ręce mają ciężkie... — jak gdyby tłomaczył się przedemną... — My jesteśmy wszyscy temi zajściami trochę podenerwowani... Trzecia noc... A tam trzeba było szturm przypuszczać. Dzielny człowiek był pański przyjaciel. Wojskową karyerę mógłby zrobić, a i literaturą widzę trudnił się.

Milczałem.

Przystąpiono do rewizyi.

Pomiędzy innymi rupieciami znaleziono bilet mego krewnego Ignacego Kaniowskiego — tajnego radcy. Bilet zaczynał się od słów: drogi kuzynie.

— To jest jego ekscelencya starszy kontroler Kaniowski? — spytał komisarz.

— Tak jest.

Komisarz zdjął czapkę.

Po chwili poczęstował mnie papierosem.

Odmówiłem.

— W zdenerwowaniu nie smakuje — rzekł. — Nieprzyjemność taka. Z serdecznym bólem szedłem tu do pana, wiem przecież — młodość.

— Trzeba protokół pisać — rzekł cywilista: znaleziono rękopis, oczywiście pióra nieżyjącego, przestępcy Brenneisena.

Twarz komisarza spoważniała.

— U... u... — zamruczał.

— Nie podchodzić do okna! — wrzasnął na mnie.

— Krzesełko podać wielmożnemu panu — rozkazał pan cywilny.

Ceremonia była skończona.

— Do cyrkułu tymczasem — mówił cywilny pan, — ja tymczasem skoczę z raportem.

Wsadzono mnie do dorożki. Razem ze mną wsiadł komisarz i jeden żandarm. Drugi żandarm siedział na koźle.

— I to jest pański stryj, ekscelencya? — pytał komisarz.

— Mąż mojej ciotki — rzekłem.

— Chyba że tak — pocieszył się.

W cyrkule wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, który musiał służyć za archiwum, tak cuchnęło w nim kurzem i zbutwiałym papierem. Zamknięto drzwi na klucz i pozostawiono mnie samego.

Położyłem się na kanapce i usiłowałem drzemać. Musiało być koło trzeciej w nocy.

Obudził mnie jakiś szmer.

Ktoś otworzył drzwi, nie te, którymi mnie wprowadzono, lecz jakieś inne.

Cichutko, skradając się na palcach, wszedł jakiś człowiek, sądząc z wyglądu, drobny urzędnik. Wszedł trzymając w ręku świecę, którą osłaniał od wiatru drugą ręką.

Wszedłszy postawił ją na stole i zaczął coś maj-

strować koło szafy. Po chwili otworzył ją i wydobył jakiś plik aktów.

W tej chwili spostrzegł mnie — udałem, że śpię. Urzędnik podszedł do mnie bliżej, poświecił mi świecą w same oczy, usiłowałem się nie uśmiechnąć, poruszyłem się tylko niespokojnie, jak czynią to ludzie śpiący.

Przybysz uspokoił się, siadł koło stołu i delikatnie scyzorykiem zaczął w aktach wyskrobywać jakieś cyfry.

Czegoś brakowało mu jedak, gdyż kręcił głową.

Po chwili podszedł do drzwi, przez które wprowadzono mnie — były zamknięte.

Słyszałem, jak zaklął.

Wziął świecę i przystawiwszy do zamku drzwi, patrzył, czy tkwi w nim klucz.

Klucza nie było widocznie, gdyż po chwili wyszedł nie zamykając za sobą drzwi. Wiedziałem, że wróci i bałem się poruszyć. W głowie rodziły się niejasne myśli.

Po długiej, długiej chwili urzędnik wrócił, w ręku trzymał pęk kluczów.

Znowu podszedł do mnie, nadsłuchując. Przekonał się, że śpię, podszedł do drzwi i po paru próbach otworzył je. Po chwili wrócił po świecę. Słyszałem, jak szedł na palcach przez jeden, drugi, trzeci pokój. Gdzieś bardzo daleko słyszałem ciche, skrzypiące kroki. Potem szmer jakby odsuwanego krzesła — i wszystko ucichło.

Zerwałem się i nacisnąłem drzwi, przez które wszedł nocny gość.

Ustąpiły bez szmeru, znalazłem się w jakimś mieszkalnym pokoju, jadalni, o ile można było sądzić w słabym świetle, które płynęło prawdopodobnie z lampki nocnej, palącej się w sąsiednim pokoju.

Nawprost mnie były otwarte drzwi, prowadzące, jak się zdawało, do jakiegoś przedpokoju czy sieni.

Bałem poruszyć się, ale nie było wyboru.

Zrobiłem krok, podłoga strasznie skrzypnęła.

— Filip Aleksiejewicz, odezwano się z sąsiedniego pokoju, — gdzie była lampka, cóż po ciemku łazisz, jak kot? Klucz od komórki jest w sieni, przy drzwiach.

Stąpiłem teraz już odważnie.

Namacałem drzwi i klucz w zamku, na wieszadle wisiało palto i czapka z gwiazdką. Bez namysłu ubrałem się w nie i otworzyłem drzwi, z niewypowiedzianą radością zobaczyłem schody. Zbiegłem z nich i z bijącem sercem pociągnąłem dzwonek na stróża.

Wyszedł policyant, zobaczył urzędową gwiazdkę, i przyłożywszy palec do czapki, otworzył bramę.

Gdy usłyszałem po za sobą jej trzask, musiałem powstrzymywać się, aby nie zacząć biedz pędem, skręciłem w pierwszą boczną uliczkę, potem w jakąś inną szeroką. Na jednym z rogów ominęła mnie dorożka, w której siedział ów cywilny jegomość z jakimś oficerem.

Na ich widok mało nie parsknąłem śmiechem.

Będzie scena godna Gogola, — pomyślałem — kiedy ci tam dojadą.

Wasyli Andrejewicz miał racyę: rosyjska konstytucya ma swoje dobre strony.

Położenie pomimo to nie należało do najweselszych. Przy rewizyi odebrano mi wszystkie pieniądze, w kieszeni palta też nie znalazłem ani grosza. Była noc dżdżysta i chłodna. Przechodziłem z jednej ulicy na drugą, starając się jak najdalej trzymać od tej części miasta, w której mieszkałem. W myśli dokonywałem przeglądu znajomych, do których możnaby się było zwrócić. Wyobrażałem sobie minę, jaką zrobiłby mój stryj ekscelencya, gdybym zjawił się u niego, jako zbieg z aresztu. Nie było jednak łatwą rzeczą wogóle coś wymyślić. Znajomych mieliśmy mało i nie wszyscy wzbudzali zaufanie. Policya zresztą robiła co noc mnóstwo rewizyi i można było wpaść z deszczu pod rynnę. Tej nocy całe miasto było jak las otoczony przez naganiaczy. Byłem zmęczony i zziębnięty. Przychodziło mi do głowy po prostu wrócić.

Noc zdawała się nie mieć końca.

Przeszedłem już nieskończoną liczbę ulic i uliczek, a wciąż było tak samo ciemno i żaden ruch nie zwiastował budzącego się dnia.

Chłodny wiatr od Newy bił szronem w twarz. Wydawało mi się, że błądzę już nieskończenie długo po tem zmarzłem kamiennem mieście. Latarnie majaczyły wśród chłodnej mgły.

Myślałem, po co tu jestem?

A jednocześnie, czy jest takie miejsce i taka

pozycya, w którychby nie istniało to pytanie: po co?

Myślałem o tych samotnych, którzy marli w śnieżnej Syberyi, lub na wygnaniu paryskiego bruku, myślałem o tych wszystkich duszach, które męczyły się w tym kamiennym petersburskim piekle.

Myślałem o Krasińskim i Mickiewiczu.

Zbudziła się we mnie straszliwa tęsknota za Polską. — Niechby ktokolwiek bądź i niechby cokolwiek bądź mówił, byle w naszej rozsłonecznionej, uśmiechniętej mowie.

Po co ja jestem tu?

Ale myśl nieubłagana i chłodna nieustępowała i na pytanie odpowiadała pytaniem: więc gdzie?

I znowu pytała chłodnym, geometrycznym wzrokiem.

Jedną za drugą rozbijała odpowiedzi, aż pozostawał samotny człowiek, sam jeden z własną odpowiedzialnością, w mrocznym, mroźnym świecie granitu i nocy.

Wiatr bił mi w twarz, wydawało mi się, że zespala się on z chłodem myśli.

Sam jesteś na wieki, zawsze sam. Przyjdzie godzina, kiedy odpadną od ciebie twoje czyny, twoje słowa i twoja wiedza i pozostaniesz sam z wieczną nocą — nagi, dygocący szkielet.

Więc po co?

Trzęsąc się z zimna, byłem już sam na własnej mogile. Myśl tylko unosiła się tu z wiatrem po nad kamiennem pustkowiem.

Z sobą nie weźmiesz nic — wszystko zostawisz: czego chcesz?

Rzecz dziwna — teraz nie bałem się śmierci: była mi tak bliska i powszednia, jak wiatr, kamienie i czarna woda kanałów. Jak latarnie w wodzie przeglądała się w niej myśl moja chwiejna i migotliwa, jak te świetlane majaki.

Nie zabierzesz z sobą nic? Chcesz wrócić do pól słonecznych?

Stary ojciec przytuli cię do poczciwych piersi, nie będzie cię już budził żal, kłujący w serce.

Nie istniało dla mnie to wszystko.

I on i ty śpicie w zmarzłej ziemi, niema was: czy nie wszystko jedno?

Czegoż chcesz?

Czy ci nie wszystko jedno?

Bohater, czy tchórz, tak samo leżeć będziesz: kość martwa na wszystko obojętna.

Czy ci nie wszystko jedno?

Niema nic, dla ciebie niema nic, niema nic dla nagiego człowieka.

Wiatr głuchy, czarny wiatr dmie nad czarną ziemią.

Nikt nic nie widzi, nic nie słyszy.

Ja jestem odpowiedział głos.

Kto jesteś ty?

Myśl?

Jak świecę na wietrze płonącą zgasi cię śmierci ciąg. I cóż ty jesteś?

Ja jestem i zostanę: czarna bezoka moc, co wszystko schłonie.

I ja — odpowiedziała myśl: do niczego nie przyłożę rąk, co nie ostoi się wobec mnie. Jestem sędzia.

Czarne domy patrzyły na mnie, jak skały ciśnięte tu przez los.

Serce moje zziębłe i martwe leżało jak kamień. Ktoś mocny i zimny szeptał szalone słowa... Sam chcę żyć, chcę rządzić, to tylko zostanie, co ja stworzę...

Szydziło czarne milczenie.

W kazamaty zajrzyj, gdzie pod oknami szumi czarna Newa, tam rządzi ślepe przeznaczenie.

Przeminiesz.

Chłodny wiatr dmie i porywa duszę. Przeminiesz.

Miedziany jeździec patrzył na mnie z wyżyny złomu.

Gmach zbudowałem, co przestoi wieki. Na kościach zbudowany, w których tłukły się kiedyś ludzkie serca.

Czaszkami, siedliskiem myśli — brukowałem drogi.

I któż ty jesteś przechodniu?

Jestem sam.

Gdzie Bóg twój?

Nie mam Boga, stoję na wichrze, sam wśród nocy.

Gdzie ojczyzna twoja?

Nie jestem związany z żadną cząstką ziemi, nawet z tą, która weźmie moje ciało.

Kto jesteś?

Człowiek — człowiek tylko.

I mówiłem sam do siebie w tę czarną noc.

Nie dasz życiu, aby skradło tobie ciebie, aby z twojego serca, twojego mózgu budowało co zechce.

To tylko będziesz czynił, co sam zechcesz.

Więcej nic.

I spokojnie urągałem nocy, urągałem chłodnemu rankowi, który wstawał.

Leżeć będę pośród was, kamienie, nic nie wezmę z sobą, ale też nic nie oddam.

Jestem sam, nie proszę cię nocy, byś mi gwiazdami świeciła.

Nie proszę cię wietrze, byś mi nie oślepiał oczu.

Nie proszę was, kamienie, by w was biło serce.

Sam jestem i młot trzymam w ręku.

Godzę w samą twą pierś, czarna, twarda nocy.

10.

Znałem w Petersburgu pewnego staruszka.

Znał on jeszcze mojego ojca za jego młodych czasów. Mieszkał on tu z emeryturki jakiejś żyjąc i z przepisywania nut.

Byłem u niego wkrótce po przyjeździe. Potem parę razy. Stary był małomówny i w sobie zamknięty. Miało się wrażenie, że mieszka on sam w sobie doskonale przed światem zaparty. Pokój jego był nagi jak cela, od celi mniszej różnił się tylko brakiem krzyża.

Postanowiłem teraz pójść do pana Fiediuszki.

Wiedziałem, że wstawał rano i że niedobrze jest mi włóczyć się za dnia po ulicach.

Kiedy zastukałem do drzwi, otworzył mi sam, ubrany już w swoją siwą bekieszę i futrzane buty. Był taki sam, jak zawsze, wysoki i poważny, siwizną niby soplami lodu obmarzły.

W jego oczach nie było zdziwienia, gdym wszedł.

— Siadaj — rzekł.

Spostrzegł, że drżę z zimna i wyjąwszy jakąś butelkę, nalał mi duży kieliszek mocnej, starej wódki. Potem przyniósł kawałek chleba i sól.

Powiedziałem mu, co mnie tu sprowadza.

Twarz jego nie poruszyła się.

Zapytałem się go, czy moja obecność nie jest może mu na rękę, wspomniałem o niebezpieczeństwach.

Wzruszył ramionami.

— Głupiś — rzekł krótko.

— Siedź sobie i ostań. Tu cię pewno szukać nie przyjdą. Sebastopolski żołnierz jestem — mówił — i brałem pałki. Medale ich dwa czy trzy mam i krzyż zasługi. W lazarecie całował mnie brat cesarski w twarz.

— Nie wiedziałem o tem, że służył pan.

— Z kantonistów ja — mówił stary — cara Mikołaja. Po 31-ym roku z bratem my wzięci byliśmy dziećmi. Brat zmarzł i rzucono go w śnieg pod Pskowem. Jam przeżył.

Pałkami mię bito — nie byle jak. Życie jakoś pozostało i żyje sobie człowiek, żyje.

Pytałem, czy nie tęskni do Polski?

Wzruszył ramionami.

— Byłem — rzekł — w 63 roku byłem. W partyi byłem pod Sierakowskim, potem sam chodziłem z partyą. Potem wróciłem tu: myślałem — zwiedzą się — kulą w łeb, a nie zwiedzą się...

Nic się nie zwiedzieli. Po emeryturę ja przyszedłem, patrzy się piszczyk w ślepia i pyta: a cóż to pięć miesięcy wcale nie zachodził?

— Jakto nie zachodził — mówię. — Zachodziłem i pieniądze brałem. I patrzę mu w oczy i nie mrugnę.

— To kwity się musiały gdzieś zapodziać, — powiada — ale kiedy braliście, to i nowe kwity wydać możecie.

— I nowe kwity wydać mogę — mówię.

I tak się skończyło. A do Polski to ja już nie wrócę. Bagnet ja w partyi pod nogi rzuciłem, kiedy mi chłopa wieszać kazali, — w łomżyńskiem było.

— Szpieg był — mówią. — Mnie samego dość pałkami bili: pańskość całkiem ze mnie wytłukli: nie powieszę — mówię i dostępu nie dam.

— Zdrajca on! — krzykną na mnie. — Ojczyznę, naród zdradza.

— A jego to ojczyzna i naród ten mało razy zdradzali? Jaka to jemu ojczyzna? Co miał on? Pański kańczug i pańską łaskę, gdy córkę miał ładną. Jemu wy, wasza ojczyzna i car — wszystko jedno. Jak wyście z nim mówili, wam co był on? Wyście jego w d... bili? No to on teraz i ma was w d...

Oficer mnie wtedy szablą po głowie ciął, żem na placu bez życia został.

Chłopi później podnieśli mnie i ocucili, tamtego zaś powiesili taki. I w tejże wsi ja później partyę zebrałem. No i strzelaliśmy moskali po tych łomżyńskich bagnach, a myszynieckich puszczach. Nazywali mnie w partyi: Widły. I pod sąd mnie pod tym nazwiskiem rząd narodowy oddał i za zbója uznał.

A taki oto był mój rozbój.

Był tam niedaleko od Myszyńca folwark; i pan tam mieszkał młody. Prawdziwy szlachcic. Partyom on podobno różne oddawał usługi. Tylko raz nocujemy my we wsi, aż tu wali mi się do nóg baba. Córkę, powiada, jej na pokojówkę zgodził. U siebie trzyma. Dziewczyna jak łania piękna, spodobała się panu.

Mówię: jeżeli po dobrej woli ona tam, przeszkadzać nie będę.

Idziemy my przed folwark.

Pan przyjmuje: stoły zastawia. Nie boi się nic.

— Tak, to tak, — mówię — a gdzie jest Zuzia?

— Nie twoja rzecz — powiada.

Mówię krótko: paniczku, będzie źle.

On się śmieje.

— Odkądże to z dziewczyną żartować nie można?

— Z hrabiankami sobie żartujcie! — krzyknę... A sam mówię do chłopców: Wiązać go, a dom przeszukać.

A domu przeszukiwać wcale nie było potrzeba. Wybiegła dziewczyna i w płacz.

— Spoił mnie i wziął, ja jemu do nóg na

rano padałam, by mnie puścił, ale zamknął mnie: wieczór nadszedł, znowu się mną cieszył. A na drugi dzień przyjechał przyjaciel jego, ksiądz wikary z Olszanki, to on mnie księdzu... do pokoju niby ze szklanką wody posłał.

Mówię ja paniczykowi tak:

— Oto będę tobie swat, a to drużbowie, a ślub da choćby sam olszański ksiądz.

A on mi tylko jedno krótkie słowo powiedział.

Wtedy ja nad nim ustanowił sąd.

Siedli za stołem nasze chłopy. On — nie będę przeczył — odważny był: chamy wy — mówił — od wieków wy jałówki pańskie w posagu bierzecie.

Tedy my jemu ogłosili wyrok.

Pod stodołą postawili: i pal!

Naprożno się Zuzia czepiała naszych rąk.

— No — a teraz — mówię, — chłopcy do Olszanki. Pojechaliśmy pod plebanię, Zuzię wzięliśmy na wóz.

Ksiądz wikary jeszcze spał, organista budzić nie chciał.

— My tu jego przyjechaliśmy na mszę wołać — i stukamy do okna.

Wyszedł ksiądz.

— Poznajesz tę dziewczynę? — mówię.

A on w krzyk: precz chamy, ja ojciec duchowny. Z nim my już tam długo nie gadali. Lipa stała przed domem: tak on i został na tej lipie.

— Takie to były moje czyny zbójeckie — mówił stary.

— Nie, nie pojadę ja już do Polski. Kościoły

tam i księża — panowie i księża. Nic. Siedli chłopu na szyję i krzyczą: ojczyzna.

Gdybym ja młodszy był — mówił — poszedłbym znów może, a nauczył ludzi na sztorc stawiać widły i kosy, a puścić czerwonego kogutka. A tak — nie.

Zjecie wy tę Polskę jak wszy, jasne pany — rzekł, zwracając się do mnie. — Świętych obrazków wszędzie nawieszali: Matka Boska Częstochowska i Ostrobramska, Królowa polska. Ona patrzy z góry, jak chłopa biją, a on modli się i z rozkrwawionym pyskiem klęczy, a w piersi się bije. Mnie tam co! Nie doczekam ja już niczego. Tu przynajmniej siedzę sobie jak na pustyni.

A ciebie — zapytał od niechcenia, — za co oni dziś, za jaśnie państwo polskie wzięli?

Nie — odpowiedziałem.

Wysłuchał.

— Te... — zdziwił się.

Po chwili zaś rzekł.

— Słuchaj ty, co ci powiem, albo nie słuchaj. Ty sam sobie w sumienie dobrze patrz i pytaj, czy ty za śmierdzącego chłopa ginąć chcesz, czy za tę, co w częstochowskiej koronie?...

Nie śmiałem mu odpowiedzieć krótkim i jasnym słowem, ale on zrozumiał mnie widać.

— Jakby się oni tej chłopskiej Polski nie bali, jakby oni stanęli sami do roli, jakby im nie hetmaństwa, kasztelaństwa pachniały, to jakem stary, mówię ci, i w nic nie wierzący, jużby na naszej ziemi nikt nami nie rządził.

Ale gdzie!

U nas chłop rozumu łyknie, już szlachcic, żyd pejsy obetnie już zaraz o panience przenajświętszej gada.

Napatrzyłem się.

Odwagę widziałem ja i krwi serdecznej oddanie — a myśli ludzkiej nie widziałem. Hej, hej, gdyby Polacy nie byli pany, gdybyście z siebie tę szlachetność zzuli.

— A teraz ty co?

— Zagranicę — powiedziałem — jadę.

Stary zagwizdał.

— Tęsknić, cierpieć, bólem — za ojczyznę się spalać.

— Nie — odpowiedziałem.

— Więc po co?

— Przyjrzę się co tam jest, jak tam się ludzie z podziemia rwą i wrócę.

— Wrócisz? — zapytał stary.

Popatrzyłem mu w oczy.

Stary pokręcił głową. — Kto was tam wie, kto was tam wie! Fantazya w was pańska. Ale jeżeli ty o śmierdzącym, czarnym człowieku zapomnisz, o tym co jak bydle mrze, to niech ci będzie wstyd, żeś ty mnie starego napróżno ucieszył. Nie wierzyłem ja wam nigdy — polska szlachta. — Duszę wyście mi całkiem wyjedli i zżarli. W 63-im właśnie roku.

Ja do nóg padałem różnym panom.

Krzyknąć na całą ziemię: chłopi imać się ziemi, ziemię brać, a potem nie dać sobie wyrwać.

Oni się byliby i Murawjewa nie zlękli.

Stary pobladł. Wzrok jego stał się ostry i kłuł jak widły.

Mnie sam jenerał wtedy, pan Mierosławski Ludwik do Rosyi posłać chciał, tam powiada niech oni noże ostrzą. Niechaj się rząd ze swoimi mużykami zatrudni.

I powiedziałem ja wtedy temu panu prosto w twarz. — Mnie razem z mużykiem tym kijem bili, my razem z nim głód, nędzę cierpieli. Ja jemu nie zdrajca, lecz brat.

On szedł do mnie później i rękę chciał ścisnąć — Panie Widły — mówił.

Ale ręki ja mu nie dałem: — panie jenerale — mówię — ja cham a pańska ręka biała, pan sobie o moją mużycką rękę dłoń zbrudzi...

Gdybyście nie byli wy pany, gdyby się tam poruszyła masa siermiężna, to może by i tu chłopi byli ziemi i cepów się jęli, możeby on już w ziemi gnił, oswobodziciel chłopów, car Aleksander.

Patrzył mi w twarz tym kłującym wzrokiem.

No i pocóż ty przyszedł tu jasny pan? Czy także tylko noże ostrzyć, jak pan Mierosławski kazał? Co tobie rosyjski chłop, paniczu? Po co ty tu?

Namyśl się i wróć. Ty teraz myślisz, że ty o ludzki ból i nędzę walczysz, a może to w tobie tylko dusza się ckni, że gdzieś tam gronostaje butwieją, że stare miecze przeżera rdza, że bez użytku leżą martwe buławy i korony?

Milczysz paniczyku? — Samemu na dnie duszy

głos mówi, że tak. Wróć się, jasny panie, wróć. Nie mięszaj ty się w chamskie sprawy.

— Zostanę — powiedziałem — nie czekam na nic.

Stary położył mi na ramionach ręce i długo milczał. Zawsze żałowałem, że nie mam syna. Pamiętaj, że byłoby ci wstyd.

I tak przemieszkałem u staruszka przeszło tydzień.

Długo myślałem, jak znaleźć drogę: skomunikować się ze światem. Nasza sprawa narobiła rozgłosu.

W dziennikach pojawiły się opisy oporu zbrojnego stawianego przez Brenneisena, a któregoś dnia przyniósł mi Fiediuszko gazetę policyjną z moim rysopisem. Policya wzywała wszystkich obywateli, aby okazali pomoc przy ściganiu i pojmaniu niebezpiecznego przestępcy.

Bałem się pokazywać na mieście.

Fiediuszko nie miał znajomości prawie żadnych.

Trzeba się było na coś zdecydować. Postanowiłem jechać do Moskwy. Tam Bołchowski prędzej być może będzie w stanie coś zaradzić. Fiediuszko jednak nie chciał o tem słyszeć — widział on wszędzie niebezpieczeństwa i zasadzki.

Wreszcie zaczął on gdzieś wieczorami znikać: po kilku dniach powiedział.

Znalazłem człowieka, który przeprowadzi ciebie przez granicę.

Wydawało mi się to ryzykowniejszem, niż jazda do Moskwy, ale Fiediuszko rzekł: Starzy kamraci

my z nim, starowiercy oni, dla nich nie nowina to — oni te sprawy znakomicie umieją. Jak on mi przysiągł i rękę dał, to oni ciebie nie wydadzą, a nieszczęście się zdarzy, z pod ziemi wykopią.

Sprowadzono mi ubranie, mieszczański kaftan, kożuch, długie buty. Miałem paszport wewnętrzny na imię Daniłowa. — Gdym wyjeżdżał, Fiediuszko wsunął mi do ręki ciężki rulon.

Nie chciałem brać wszystkiego, ale położył palec na ustach.

Takiemu, jakim jesteś daję. Ciężej ci się będzie zmienić — uśmiechnął się. Ja miałem łzy w oczach, kiedym się z nim żegnał. W dwa dni później unosił mnie pruski wagon, a w kilka dni później pisałem już listy do ojca i do Fiediuszki, w których zawiadamiałem ich pod przybranem nazwiskiem Jedlicza o swoim szczęśliwym przybyciu do Zurychu. W odpowiedzi dostałem długi list ojcowski i jedno słowo od Fiediuszki „pamiętaj".

Ojciec pisał mi, dając do poznania, że wie o wszystkiem, zaklinał mnie bym nie wracał, wstąpił zagranicą na uniwersytet, dobrze, dobrze się namyślił co mi sumienie robić każe. Nie chcąc na mnie wywierać presyi odkładał nawet swój przyjazd na czas jakiś, przysyłał mi znaczniejszą sumę pieniędzy i swój uścisk ojcowski.

Odesłałem Fiediuszce wziętą od niego sumę, lecz otrzymałem ją z powrotem, z listem zawierającym jedno tylko słowo: „Głupiś".

Ale w kilka dni przyszedł od niego list, w któ-

rym żegnał się ze mną, pisząc, że umiera i raz jeszcze przypominał, że słowo moje i wiarę bierze z sobą.

Umarł istotnie w dni kilka potem, jak dowiedziałem się następnie.

IV.

Testament Brenneisena.

Zeszyt Brenneisena zginął wtedy w Petersburgu, ale zdołałem przeczytać go przed tem dwa razy, a w tym momencie skupienia i rozbudzenia ducha jakie wytworzyła we mnie śmierć jego i Warii zapisywało się to, com czytał jak w krysztale. Potem przeszły długie, straszne lata, ale dzisiaj wydaje mi się, że pozostała mi w duszy niezmienna treść tego przekazanego testamentu. Był to na w pół pamiętnik, nawpół wyznanie wiary. Oczywiście nie może być nawet mowy o przechowaniu słów. Postaram się spisać jednak to, co wydobywa się dziś z pod popiołów pamięci. Piszę więc tak, jakby to mówił sam Brenneisen. Jeżeli rękopis jego zginął, to jedyną formą w jakiej świadomość jego żyje jest moja pamięć. Niech więc mówi.

„Ojciec mój pochodził podobno ze starej szlacheckiej rodziny niemieckiej, osiadłej w guberniach nadbałtyckich. Służył w gwardyi i przeszedłszy później na służbę cywilną był gubernatorem w Nowogrodzie, Wiatce i Grodnie. Ożenił się z moją matką, córką bogatego kupca, dla posagu.

Matka moja umarła, gdym był dzieckiem. Ojciec mój nigdy mi nie opowiadał o niej, zresztą mało się mną zajmował wogóle. Był to człowiek surowy, zimny i w sobie zakochany. Mnie i inne dzieci mojego ojca wychowywały różne jego ciotki, stare, nieszczęśliwe i drżące przed nim, gdyż nieustannie przypominał im, iż są u niego na łaskawym chlebie. Utkwił mi w pamięci obraz ciotki Klary, której kanarki ojciec kazał wynieść z domu, gdyż drażniły go swojem świerkaniem, którego, nie zachodząc prawie do tej części domu nie słyszał i nie mógł nigdy słyszeć. Ale był on zdania, że podstawą wszystkiego jest władza i nie pozwalał zapominać nieszczęsnym starym pannom, że ta władza znajduje się w jego ręku. Nie mniej nieszczęśliwe od ciotek były chyba kochanki mego ojca. Trzymał je on w domu i sadzał razem z rodziną do stołu, ale obchodził się gorzej, niż ze sługami. Pamiętam trzy z tych nieszczęśliwych kobiet, szczególniej ostatnią z nich jakąś francuską guwernantkę Blanche. Była ona bardzo piękna i jak się zdaje kochała nawet mego ojca. Cierpiała na jakieś ataki nerwowe i piła eter. Było to jej surowo zakazane i jak twierdziła służba ojciec mój bił ją za nieposłuszeństwo. Wyobrażam to sobie z łatwością, gdyż takie traktowanie kobiet, z któremi utrzymywał stosunek miłosny, jak gdyby były one żołnierzami w poprawczym batalionie, leżało całkiem w jego charakterze. Musiał on w gruncie uważać za zbrodnię już to, że kobieta oddawała mu się bez ślubu; i już to samo zasługiwało w jego

oczach na ciężką karę. Ja zawdzięczam surowości mojego ojca znajomość języków i mocne zdrowie, zahartowane w tych ćwiczeniach gimnastycznych, których surowo przestrzegał. Zawdzięczam mu też może wytrwałość i zdolność panowania nad sobą. Nie mogłem się do nikogo przywiązać w domu, tak nieustannie zmieniało się wszystko naokoło mnie i drżało przed moim ojcem. Pierwszym człowiekiem, któregom pokochał był seminarzysta Zwienigorski; wykładał on mi rosyjską literaturę i historyę, matematykę i starożytne języki. Był on śmiertelnie chory, gdy go poznałem i nieustannie pijany. Powinienem był powiedzieć raczej: nieustannie pił, pijanym bowiem nigdy właściwie nie był. Oprócz obowiązkowych przedmiotów wykładał mi on naukę przez mego ojca nie przewidzianą, naukę niezbłaganego krytycznego myślenia. Od niego nauczyłem się uznawać tylko to, co myśl moja zbada i za rozumne uzna, nauczyłem się nie cenić ani urządzeń, ani zwyczajów, ani przekazanych mniemań, on mi przynosił artykuły Dobrolubowa i Czernyszewskiego oraz *Wesen des Christenthums* Feuerbacha. Miałem 15 lat, gdy on umarł, a mojego ojca przenieśli do Grodna, było to przed polskim powstaniem. W ciągu całego roku widziałem więźniów, których prowadzili do kancelaryi. Raz przywieziony więzień rzucił mi list, podniosłem go, lecz dostrzegł to ktoś i dał znać ojcu. Zawołano mnie do gabinetu, wziąłem po drodze pistolet. Listu nie oddam, a jeżeli będziecie chcieli mi odebrać siłą, zastrzelę się. Ojciec popatrzył mi w oczy i kazał iść

precz. Pilnowano mnie tak, że nie mogłem wykonać polecenia. Ojciec kazał mi odebrać książki. Tak przeszedł rok powstania. W rok później opuściłem dom ojca. W mej obecności podniósł on rękę na francuzkę Blanche, ja chwyciłem go za ramię i posadziłem siłą na krześle. Ojciec uderzył mnie w twarz. Powiedziałem mu, że nim pogardzam i od tej chwili nie widzieliśmy się. Ojciec mój umarł w rok później. Ja byłem już w Petersburgu. Postąpiłem niesłusznie, mówiąc wtedy, że nim gardzę. On był takim, jakim być musiał: naprawdę wierzył, że potrzeba bić kobiety i dzieci. Na pogardę zasługuje tylko ten, kto wie lepiej, a robi gorzej. Ja postanowiłem nie robić nic czegobym nie chciał. Wiedziałem, że w ten sposób trudno będzie żyć długo, ale postanowiłem żyć, aby myśleć i rozumieć dopóki mi pozwoli sumienie. Wiem, że możnaby żyć, myśląc i nie mieszając się wcale w bieg zdarzeń. Mógłbym żyć nie biorąc nic od ludzi prócz tego, co do życia jest konieczne i dając im tylko to, z czego nie zdołaliby ukuć na nikogo łańcuchów, ani narzędzi męki dla samych siebie. Żyłem nie znając kobiety i mógłbym nie znać jej. Człowiek nie może się wiązać, bo uczucie minie, ale kobiety nie może uczciwy mężczyzna dziś narażać na to, aby mogła zostać matką, a nie była żoną. Bardzo, bardzo kochałbym miłość, gdyby była ona dla mnie możliwa. Ale i tak nie mógłbym żyć nad ludźmi, jak gwiazda, gdyż gwiazda nie wie, a ja wiem i ból przeszywa mi serce, a w głowie rodzi się gniew. Każdy człowiek, który

na dnie ginie mówi do mnie krwawymi oczyma: — dlaczego pozwoliłeś? I ja nie mógłbym odpowiedzieć, że mam ważniejsze sprawy, skoro stałem tu i widziałem. Nie mogę być cichą i świecącą gwiazdą ponad krwawem morzem, więc gdy nadarzy się sposobność zejdę, będę walczył póki starczy sił. Nikt nie powinien zostawać niewolnikiem, więc nigdy nie będzie mnie więził car, gdyż nie dam się wziąć żywym i będę się bronił.

Tu urywała się pierwsza część rękopisu. Pisał ją Brenneisen na lat trzy, czy cztery przed naszym poznaniem i wtedy już przewidział z taką jasnością swój los i powziął niezłomne postanowienie.

Dalej szedł fragment, noszący nadpis: „W rok później".

I zaczynał się, pamiętam, od słów:

„Stało się jednak tak, że miałem żonę...

Ona była dziewczyną uliczną i mieszkała obok mnie.

Spotykałem ją czasem na schodach i kłaniałem się, wtedy ona przechodziła obok mnie pospiesznie i rumieniła się, i dopiero gdy byłem już za jej plecami, mówiła jakby do siebie:

— Dzień dobry.

Wiedziałem, że się nazywa Anna, bo tak ją nazywała stróżka.

Po pewnym czasie napisała do mnie list, że jest chora i że pewno umrze.

Poszedłem do niej.

Choroba jej nie była niebezpieczną, lecz umierała ona z głodu. Pieniądze, jakie miała wyczer-

pały się prędko. Leżała w gorączce bez lekarstw i bez opieki. Zająłem się nią i stało się to, co się było stać nie powinno. Została moją żoną. Nie powinno się było to stać, bo łączyła mnie z nią raczej litość. Co czuła ona, trudno mi określić. Myślę, że byłaby nieszczęśliwa, gdybym nią pogardził. Piszę tak, bo ona byłaby to tak zrozumiała. Ona była zanadto nieszczęśliwa i upokorzona. Ludzie nie powinni spotykać się tak, by tylko litowali się wzajemnie nad sobą. Miłość jest dumna i bez dumy nie może się rozwinąć. Miłość bez dumy jest chora i upokarzająca. Spotkanie dwóch istot, które czuć się muszą wzajemnie dla siebie jedynemi, nie może stać się prawdą w ich własnych oczach, gdy on i ona czują swą niemoc i przypadkowość. Miłość domaga się całego człowieka. Ale czy ja byłem cały człowiek? Ja, Brenneisen byłem sobą, jako myśl. Moje ciało to było coś, w czem myśl ta pozostać ma, jak w swym fermencie. Ono należało do tego, czem gardziłem. Filozofowie piszą o spirytualizmie i materyalizmie. Nie zauważyli jednak, że, aby wierzyć w ciało trzeba je mieć, trzeba czuć się swobodnym. Czy ja mogę czuć się swobodnym w swoim ciele? Ono tu w Rosyi może być rzucone w loch, bite, poniewierane. A ona? Jej blade ciało to była sprzedawana, bita rzecz. Bili ją kupcy, oficerowie, urzędnicy, żołnierze. Oni ją mieli. To nie jest hańba dla niej. Ja, Brenneisen, myśl bezcielesna mogę zrozumieć to, że to nie jest jej hańba. Ja chciałbym był tę jej biedną duszę wziąć, przytulić, ogrzać. Ale ona to właśnie było to nieszczęsne ciało blade,

drżące, wyciągające ramiona ku mnie, jak dziecko. I to się stało. Płakaliśmy w pierwszą naszą noc miłości. Płakaliśmy z litości nad sobą. Powinniśmy byli się zabić, ale ona bała się śmierci. Przeszło kilka miesięcy, ona miała być matką. Zbierałem pieniądze i chciałem wyjechać. Nie miałem prawa kazać tu żyć mojemu dziecku. Ale to też byłoby źle i byłoby odebrało mi spokój. Uciekałem stąd i pozostawiałem poza sobą płacz, głód i nędzę. Jak mogą mieć niewolnicy dzieci? Jak można mieć dzieci dziś i siedząc nad kołyską myśleć: to może być prostytutka, szpieg, albo obojętny zjadacz cudzej pracy. Bo jesteśmy bezsilni już nad losem, gdy zjawi się w świecie taka jasna, do nas należąca główka. Mieć dzieci — to znaczy ufać życiu. Ja nie ufałem i gardziłem nim. Nie znałem takiego zakątka, w którym możnaby być bezpiecznym. My powinniśmy tylko myśleć, pracować i walczyć. Ale dziecko przyszło na świat martwe — i ona umarła też. Błogosławiłem losowi, że mi ich zabrał. To nie było okrucieństwo, ani brak serca. Czy może być coś lepszego dziś niż niezawiniona śmierć: ona uwalnia. Otwiera drzwi i mówi: już nie odpowiadasz za nic. Dopóki żyjesz odpowiadasz za wszystko, za każdą rzecz, która ci się rzuci w oczy. A to co otacza nas jest nieustającą hańbą i zbrodnią. I my bierzemy w niej udział. Myślałem, że z czynów naszych wyrasta coś, czego nie znamy. Coś czego nie znamy wyrasta z każdej naszej chwili. Czas kradnie nam nas samych i lepi z naszych ukradzionych chwil swoje straszne ohydy

pełne dzieło. Gdzie jestem ja i gdzie świat? Ciągle, ciągle bierze on mnie i ze mnie wbrew mnie samemu coś wykuwa. Nie powinno się żyć biernie ani chwili. Ani jednej chwili nie powinno się pozostawiać martwą, nie wypełnioną przez myśl.

Pisałem i myślałem źle. Marzyła mi się ucieczka. Sprzeniewierzyłem się myślą ginącym w ciemności. Ja i oni jesteśmy w ciemnym potoku. Mnie i tak schłonie mroczny żywioł — ale nademną jest jeszcze światło myśli. Więc powinienem walczyć i podawać rękę temu, co ginie naokół.

Myśli jest ciężko w świecie, bo świat nie był przygotowany na myśl — on ją porodził sam z siebie nie wiedząc. Ja narodziło się z ciemnego trudu. Nasze nowoczesne swobodne ja ludzkie jest wynikiem. Jego nie było w historyi. Historya to było ślepe zmaganie się w ciemnościach. Człowiek zmagając się z przyrodą uczył się panować. Stojąc na gruncie własnym potem uprawnym uczył się rozkazywać, mówić ja, czuć się sobą.

Nie umiem tego powiedzieć. Ale czuję, że tym fellahom, którzy dźwigali piramidy, wszystkim, wszystkim, którzy gięli barki pod ciężarem zawdzięczam to, że już jestem, mówię ja.

I cóż zrobię ja moi ciemni, ginący bracia?

To, cośmy czynili wyrastało w mroku. Ale czy zdoła kto unieść świat w słońce. Przecież my to wszystko dźwignąć musimy, co jest i już nie bezwiednie, lecz wiedząc.

Myśli zstąp i rządź: myśli stań się ciałem.

Będę żył, nie uczynię nigdy żadnego ustępstwa.

Dopóki zniesie mnie świat, dobrze. Gdy nie, będzie musiał mnie zabić.

Czy nie lepiej byłoby ustąpić w tem, co konieczne dziś, co niecofnione.

Tu niema o czem myśleć.

To jest nad moje siły.

Zrobię wszystko, co każe myśl, ale gdy rozum powie: oszczędź się dla przyszłości, nie posłucham.

Gdybym posłuchał, byłbym już złamany.

Posłuchałem raz kobiecego płaczu i głosu własnej natury, i przez rok byłem nie ja, zależałem od tego, co nie mną było.

Więcej nie chcę nigdy już.

Nie będę już miał nigdy kochanki, a gdy pokocham, spytam, czy chcesz ze mną umrzeć?

Wtedy będziemy szczęśliwi, bo w ręku będziemy mieli śmierć i swobodę. Ale Anna bała się śmierci i grobu.

Czy ja się boję?

Nie, przejrzałem siebie nawskroś i wiem, że każdej chwili umrę.

Zresztą czy żyję jeszcze?

Żyje we mnie myśl — reszta jej narzędzie.

Gdy zechce, podłoży minę i wybuchnie.

Pytam się nieraz, czy zostanie myśl i nie wiem.

Nie mogę powiedzieć n i e.

Ciało to jest to, jak ja sam siebie biorę i znam— gdy ono ginie, co zostanie, czy co zostanie, — nie wiem.

Nieznane jest to, co jest dziś.

I wtedy będzie nieznane.

Jeżeli będę ja, będę wtedy tak, jak jestem dziś.

Wyszedłem za daleko, dlatego jest mi trudno żyć. Człowiek, który już tylko wykonywa, mało zrobi. Myśl powinna być po czynie, nie przed nim. Myśl to jest pamięć. Czyny powinny być nasze, więc nowe.

Ja nie zdołam zrobić wiele.

Potrafię może zginąć.

Myślałem, aby pójść i zabić cara.

Pójść i napisane mieć wszystko, co myślę.

I kiedy chciałem zrozumieć, co chcę napisać— pojąłem, że to nie byłby już mój czyn.

Po co zabijać Aleksandra II?

Car żyje nie w nim.

On żyje w naszej myśli. Nie w mojej. Ja nie znam go, Aleksander II, to nie car, lecz człowiek.

Gdybym go spotkał oko w oko powiedziałbym mu to.

Napisać mu.

Czy nie wszystko jedno, co on myśli.

On jest to, co myśli o nim Rosya.

Czy on wie i czuje, czem jest.

Nie obchodzi mnie to nic. Nie mógłbym go zabić.

Nie myślę, aby trzeba było zabijać.

Trzeba się bronić.

Nie wolno mnie tknąć, bo za to śmierć.

Moja i wasza, ale za życia ja jestem nietykalny.

Teraz jestem szczęśliwy, wiem, że nie dotknie mnie nikt.

Nie należę do nikogo, jestem sam.

Zrobię wszystko, co zechcę, tylko to, co zechcę".

Na parę dni przed śmiercią nareszcie pisał.

„Rozmawiałem z Nieczajewem i on już wie. Mówił, że ja nie mam prawa. My nie należymy do siebie, należymy do sprawy. Nie. Sprawa — to jestem ja.

Później on zmienił zdanie.

Dobrze. To ich nawet przestraszy.

Mnie to nie obchodzi, robię jak chcę i co chcę.

Nieczajew jest silny człowiek, ale on sam siebie oddał sprawie. On ma boga. Ten bóg mieszka w nim i jest nienawiść. Nie trzeba mieć nigdy boga. Nawet takiego, co w nas mieszka. Trzeba być zawsze ja.

Teraz już wiem, że wszystko będzie skończone i przygotowałem wszystko.

Jestem w tej chwili bardzo szczęśliwy i wiem napewno, że nie zależę od niczego.

Ręka mi nie zadrży i broń mam dobrą, będę strzelał tak, aby rana była koniecznie śmiertelna.

Nieczajew nazywa to wszystko arystokratyzmem, powiedziałem mu: nie wolno gardzić człowiekiem. Gdybym nie uczynił tego musiałbym sobą gardzić. Nieczajew w gruncie rzeczy ludźmi gardzi. Nie wolno nigdy postępować niżej niż się jest. Nie wolno, bo to znaczy służyć czemuś, co nie jest ja i co zostało już przez nasze ja pogrzebane.

Co mnie obchodzi wasze ja? — mówi Niecza-

jew — co może obchodzić mnie czyjekolwiek, chociażby moje.

To jest błąd.

Kto w czemkolwiek poniża własne ja, jest nieuczciwy, gdyż robi innym to, czem sam w sobie gardzi. Kto się dla innych upokarza, poniża innych, lekceważy ich, pogardza niemi dając im z siebie nie to, w czem siebie szanuje.

Zresztą to wszystko już jest obojętne.

Teraz chodzę po moich pokojach i mówię: tu jest święta ziemia swobody. Tu wchodzi się z orężem w ręku i ginie się u wrót. Czy nie lepiej byłoby się zabić wprost i nie zabijać. Nie. Ja chcę nie umrzeć, lecz żyć wolnym i żyć wolnym tak, jak to jest tu możliwe. Ta godzina, gdy będę tu strzelał i bronił się: to jest moja swoboda. Ja nie popełniam samobójstwa, ja tylko żyję w Rosyi, jak człowiek swobodny.

Nie trzeba nigdy wybierać siedziby dla siebie niżej, niż jest nasze ja.

Nie wolno nigdy samego siebie czynić niewolnikiem".

V.

Katia.

1.

W Szwajcaryi prędko odnalazłem znajomych. Zemczużnikow powitał mnie smutnym uśmiechem. Jaszka otrząsnął się z pod władzy wrażeń i wzruszeń doznanych; nie mógł tylko żadną miarą dojść do ładu z szwajcarskimi porządkami i obyczajami. Od rana do nocy wygłaszał nie milknące filipiki. Nigdy, mówił mi w Lozannie, nie widziałem takiej masy tak straszliwie brzydkich kobiet. Czy uważasz, że wszystkie one są wąsate i o czem one mówią. Powiadam wam, że w żadnym naszym Solwyczegodsku niema takich nudów. Nudził się istotnie strasznie. Przyroda obchodziła go mało. „Góra — no góra. No i cóż teraz da mi ona ta twoja góra. Nie, ja w sobie kozlich atawizmów rozwijać nie będę. To jest nawet niemoralnie!“ To trwało jednak niezbyt długo. Jakiegoś poranka Jaszka wpadł tryumfujący: — No tak, to są ludzie, to rozumiem. Wczoraj tutaj jeden „patron“, czekoladowa taka świnia — no rozumiesz, wielki burżuj w czekoladzie, słowem Suchard, czy jak tam chcesz. Cukierki także. No nie o to idzie. Otóż wczoraj on w swoim gabinecie — coś tam z jakąś robotnicą. Jedni mówią, że spoił i zgwałcił, inni, dziewczyna sama

się zgodziła. Tak czy owak. Mniejsza. Jeżeli się sama zgodziła, to jemu i tak należy się za swoje. No, dobrze. Dzisiaj fabryka stoi. Strejk.

I odtąd straciłem Jaszkę z oczu.

Po strejku czekoladowych robotników przyszedł strejk budowlanych, potem zegarmistrzów. Jaszka wszędzie musiał być obecny.

W trzy tygodnie nauczył się po francusku pisać proklamacye.

Mnie w tym czasie dręczyła apatya i stan duszy lichy i leniwy.

Zemczużnikow pragnął samotności: spotykałem go nieraz nad jeziorem. Z wyrazem cichej ekstazy w oczach snuł się jak duch, wszystkiemu, co go otaczało obcy.

Schroniłem się sam w jakimś pensyonaciku lozańskim, aby nie spotykać nikogo.

W Zurychu byłem u Tarutinej i Martynowa. Naiwny, młody entuzyazm zbierającej się u nich kolonii drażnił mnie.

Czuli się oni pewnymi zwycięstwa, nie myśleli o walce takiej, jaka ich oczekiwała. Ja nie byłem dla nich odpowiednim towarzyszem.

Zresztą w pewnych kołach na nas Nieczajewowców trochę się w tym czasie boczono.

Byłem sam.

Dniami całymi siedziałem zamknięty w pokoju. Wieczorami wychodziłem i błąkałem się po okolicy.

Lubiłem wdrapywać się na wznoszące się nad Lozanną wzgórza Signalu i tam siedzieć bez ruchu. Kilka razy spędziłem tam noc.

Z tego czasu nie pozostało mi niemal żadnych wspomnień.

Ktoś przywiózł wiadomość, że policya szuka mnie wszędzie. Ostrzeżono mnie wreszcie, abym zmienił nazwisko i miejsce pobytu. Przeniosłem się do Clarens. Dostarczono mi jakiegoś paszportu. Zresztą nie mogłem zmusić się do myślenia o rzeczach zewnętrznych.

Chwytałem się na gorącym uczynku tworzenia legend wewnętrznych na własny swój temat. Usiłowałem zrozumieć swoje stanowisko i swoją rolę.

Błąkając się po górach myślałem: Kto jesteś? I fantazya układała tysiączne dramatyczne odpowiedzi.

Na to pytanie odpowiada tylko sama bezpośrednia rzeczywistość — nigdy myśl. Lecz właśnie byłem w tym czasie przechodniem zbłąkanym, który szukał. Nam nowoczesnym ludziom grozi nieustannie niebezpieczeństwo podstawienia na miejsce swego rzeczywistego życia jakiegoś wzoru zaczerpniętego z przeszłości. Tymczasem zadanie nasze nie jest podobne do żadnego innego. Nie idzie o to, aby rozpłynąć się w jakiejś idei. Nie. Trzeba właśnie jako pojedynczy człowiek prowadzić walkę nie o urzeczywistnienie jakiejś idei, to jest rządzącej ludźmi formy, lecz właśnie swobodnego panowania rzeczywistych, żywych ludzi nad życiem, wszystkiemi formami. Dlatego my sami sobie wydajemy się przestępcami i odstępcami. Wyłamujemy się z pod władzy wszystkich związków, ustalonych kształtów.

Chodziłem wtedy dniami całymi, myśląc. Wiele razy już myśl moja widziała jasno prawdę i cofała

się przed nią, jak przed błędem. Tak trudno jest uwierzyć w siebie.

Tu wpadły mi w ręce pisma naszych emigracyjnych poetów i zetknięcie się z nimi wywołało rozterkę. Zbudziły się dziecinne uczucia i marzenia. Odbierają rzetelność i jasność myśli te książki, wprowadzają do duszy naszej ferment rozstrajający i niszczący wolę. Skąd powstały one? Świat tułaczów, tęskniących wygnańców zrodził je, jako samoobronę przeciwko życiu. Pozostały one, jako zakamieniała wola serca, które nie chce widzieć. Rodził się koło tych ludzi nowy świat: cały świat nowoczesnej ludzkości, oni nie widzieli go, nie chcieli go widzieć. Oni pytali się narastającego, rozwijającego się życia: „zwrócisz mi Polskę?" Dlaczegóż była ona już utracona? A jeżeli utracona już była, to dlaczego nie pojęli oni tej jej nieobecności, jako cząstki ogólnego rwania się człowieka w przyszłość? Czy człowiek, nowoczesny człowiek gdziekolwiekbądź ma ojczyznę? I dlatego my tak łatwo czadziejemy w zetknięciu z tym światem tęsknoty i rozbitego krwawiącego uczucia. Czegóż ci brak? Ojczyzny? tylko Ojczyzny? Tylko tego? Nazbyt łatwo rezygnuje myśl, serce wzwyczaja się do dawnych nałogów. Wszyscy mamy skłonność pocieszać się, że potrzebne nam jest tylko coś znanego, a więc już gotowego. Nie szukać już więc i nie pracować, tylko czekać. Myśl nasza leniwsza jest od mięśni, bardziej wyćwiczona w wybiegach, pozwalających pracy uniknąć.

Czego ja chcę?

Powracało groźne pytanie.

I wydawało się, że niema we mnie żadnej odpowiedzi.

W tym czasie spotkałem Katię.

Przy table d'hocie pojawiła się nowa osoba. Piękna, wysoka brunetka o niedbale zwiniętych w węzeł włosach.

Odrazu wiedziałem, że musiałem już widzieć gdzieś tę twarz i te oczy. Widziałem też, że nieznajoma spojrzała na mnie parę razy, jakby coś przypominając.

Nagle poczerwieniała i spuściła oczy, jakiś przykry bolesny skurcz przebiegł koło jej ust. W tej chwili przypomniałem sobie: była to Katarzyna Moroszkinowa.

Zmieniła się bardzo, a raczej jakgdyby tylko wyprostowała się i rozkwitła.

Wtedy czyniła wrażenie przerażonej pensyonarki, która nagle obudziła się kobietą w ręku zwierzęcia.

Wydała mi się nagle dziwnie blizką.

I odczułem strach na myśl, że będzie chciała uniknąć spotkania ze mną i zniknąć stąd. Postanowiłem to uprzedzić.

Po obiedzie poszedłem do niej, nie patrząc na nią powiedziałem: „Jeżeli pani jest przykro spotykać się ze mną, proszę powiedzieć otwarcie, mnie nie robi to żadnej różnicy, gdzie mieszkam. Przeniosę się stąd byle nie sprawiać pani przykrości".

Ona zaczęła protestować.

W ten sposób odnowiła się nasza znajomość.

Przeszło dwa dni i nie mogłem już o niej nie myśleć.

Ona widywała mnie chętnie.

Rozmawialiśmy o starych znajomych, ostrożnie omijając wszystko co mogłoby stawić przed oczy jej straszliwą scenę.

Pomimo to była ona pomiędzy nami nieustannie obecną. I widziałem jak po twarzy Kati przebiega nagle rumieniec.

Była nauczycielką przy jakiejś rodzinie, później lektorką jakiejś staruszki, która umarła, zostawiając jej pewną sumę. Teraz odpoczywała.

Znosiłem jej książki, których była spragnioną. Jej zagłodzony mózg pochłaniał wiedzę z nieprawdopodobną szybkością.

Gdy rozumiała coś po raz pierwszy, szeroko otwierała oczy, które patrzyły na świat, z jakimś wdzięcznym zachwytem.

W tym czasie ja czyniłem często błędy w szacowaniu nastroju umysłowego ludzi. Skłonny byłem uznawać za powszechnie znane myśli, z któremi sam się oswoiłem.

Teraz wiem, jak wielkim był ten skok, jakiego musiała dokonać w tym czasie myśl Kati. Miała ona w głowie, gdym ją spotkał, przeciętny chaos, na jaki składały się tak zwane wiadomości nabyte w szkole, trochę nowoczesnych myśli, pochwyconych ukradkiem z rosyjskich postępowych miesięczników, kilkadziesiąt przeczytanych na głos staruszce francuskich powieści.

Tylko silny umysł mógł znieść metodę nieopatrznie przeze mnie stosowaną.

Wprowadzona w bieg myśli nowoczesnego rewolucyjnego socyalizmu Katia zrozumiała w krótkim czasie wszystko.

Doznawałem wrażenia, że dokonany przewrót moralny odbił się nawet na jej wyglądzie. Gdy zobaczyłem tu ją po raz pierwszy, była więcej kobietą, coś niepokojącego, odurzającego było w niej, w jej uczesaniu, w jej ruchach; jakaś wyzywająca miękkość i oddanie.

Teraz nie zastanawiając się chyba nad tem, zaczęła się inaczej czesać i ubierać. W bluzce z wysokim kołnierzem, w małym kapelusiku wyglądała jak młody cudnie piękny chłopiec.

Nie wiem jakim jest świat erotycznych myśli kobiety, ale wiem, że do naszych męzkich miłosnych myśli przyłączają się zazwyczaj głęboko krzywdzące nas samych i kobietę pierwiastki. Owa dzika scena, której byłem świadkiem odgrywała w moim stosunku do Kati niezaprzeczalną i mocno dręczącą mnie rolę. Mogę określić to w ten sposób, że w pewnym zakątku moich uczuć i myśli Katia nie przestawała być nagą. Starałem się nie myśleć nigdy o tem, co dzieje się tam w tej dziedzinie, ale obecnym był nieustannie we mnie jakiś pierwiastek zmysłowego rozstroju. Czułem, że jestem nieuczciwym w tym stosunku. Dzisiaj wiem, jak trudną jest rzeczą zachować wewnętrzną uczciwość uczuciową względem upragnionej kobiety. Nie łudziłem się bowiem co do tego, że tak jest, że niezależnie

od wszelkich umysłowych sympatyi — Katia jest tem właśnie dla mnie: upragnioną. Byłem w tym czasie dziecinnie nieszczęśliwy. Mimowoli powstawała myśl, że podobnie, jak pod pozorami umysłowej przyjaźni, która łączy mnie z Katią, kryje się zgoła co innego, tak też moje inne przekonania, dążenia, mogą być wmówieniem. Już sam fakt, że kobieta mogła w ten sposób zawładnąć moimi myślami, gnębił mnie. W gruncie rzeczy myślałem: jesteś rozprożniaczonym paniczykiem, szukającym na tej lub innej drodze wrażeń. Starego Popowa łączą z rewolucyą i ludzkością o wiele głębsze węzły, a jakże pozwalałeś go sobie lekceważyć. Tak nam ludziom wychowanym na pojęciach idealizmu romantycznego trudno zrozumieć, że właśnie, jako rzeczywiści ludzie wchodzimy w grę, że nasze realne, rzeczywiste, osobiste życie nie jest czemś odrębnem od sprawy. Przypominając sobie Brenneisena usiłowałem zmusić się do powzięcia decyzyi zgodnej z tem, jak on byłby na moim miejscu postąpił. Obowiązkiem moim, mówiłem, jest wyjechać i nie krzywdzić dłużej tego cudnego stworzenia. Dziać się zaczęły tymczasem rzeczy, które wszystkiemu nadały nieoczekiwany obrót. Już przed paroma dniami otrzymałem tajemnicze ostrzeżenie, mówiące o jakimś zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie zwróciłem na to wielkiej uwagi. Uważałem wszystkie ostrożności tu na europejskim gruncie za przesadę i wprost fizycznie nie byłem w stanie uwierzyć w istnienie szpiegów, którzy mogliby być bliżej w nasze życie wmięszani. Rano jednak, któ-

regoś dnia obudziło mnie stukanie do drzwi. Była to Tarutina, która przyjechała ostrzedz mnie, że rząd rosyjski żąda mojego aresztowania i wydania, oskarżając mnie o współudział w zabójstwie Iwanowa. Z początku ostro odparłem Tarutinej, że to są wszystko plotki, kobiece nerwy, że nie wyjadę, ani myślę wyjeżdżać, nie grozi mi nic. Na samą myśl, że nie będę widział Kati, serce mi zamarło. O tem stanowczo nie mogło być mowy. Ale Tarutina nalegała, żądała przyczyn; wpadłem w gniew, postanowiłem dla pozoru przystać, wyjechać i jak najprędzej wrócić. Zacząłem pakować walizkę, gdy we drzwiach ukazała się blada gospodyni, za nią zaś cywilny pan i dwóch agentów.

— *Mr. Michel Kaniowski — n'est ce pas?*

— *Non, monsieur, Emanuel Rauh.*

— *Parfaitement, monsieur, c'est la même chose* — rzekł pan. Zechce pan iść za mną.

Nie niepokojąc się zbytnio, usłuchałem zaproszenia. Wciąż jeszcze nie wierzyłem, aby to mogło mieć jakiekolwiek konsekwencye.

Siedliśmy do fiakra, który ruszył cwałem. Jechaliśmy do Lozanny. Tu na jakimś placu zauważyłem tłum ludzi, pomiędzy któremi mignęła mi twarz Jaszki.

Woźnica skręcił w wązką uliczkę i w tej samej chwili koń jego padł.

— Cóż tam — krzyknął pan w cywilnym garniturze i nagle umilkł, wykonując dziwaczne ruchy. Rzucono mu z tłumu piaskiem w oczy.

W tej chwili poczułem, że chwyta mnie ktoś

za rękę i ściąga z dorożki. Znalazłem się wśród pięciu, czy sześciu mężczyzn, którzy wołali: „biedz co sił".

Za sobą usłyszałem strzał.

Wyminęliśmy kilka uliczek i wpadliśmy do jakiegoś domu.

— Przebieraj się i w drogę — krzyknął Jaszka. Nałożyli na mnie bluzę robotniczą i cały odpowiedni kostyum, wsunęli mi do kieszeni paszport i pieniądze. — Nazywasz się Jacques Lebon, no i marsz — komenderował Jaszka. Obywatelka ta cię wyprowadzi. Wydostałeś się tanim kosztem, Andrzej draśnięty tylko.

W pięć minut potem siedziałem na jakimś wozie obok koszów z jarzynami i butelek z mlekiem. W ten sposób opuściłem Lozannę.

Postanowiono było, że mam przesiedzieć jakiś czas w domu gospodyni wozu i butelek. Czekał tam na mnie jakiś szwajcar rozkochany w Jaszce.

— Byliby was wydali, towarzyszu — mówił — jak dwa razy dwa.

Pierwsze dwa dni nie mogłem się poprostu ruszyć z domu, pilnowano mnie, jak oka w głowie. Gdym wstawał pytano mnie, co mają mi przynieść.

Jaszka przysyłał groźne biuletyny. Zbulwersowano pół Lozanny i okolicy. Aresztowano trzech, czy czterech moich sobowtórów: jeden z nich do dziś dzień jeszcze siedzi. Przyjeżdżała nawet do niego twoja narzeczona. Trzymamy język za zębami. Niech popłacze. Babskie języki na nic. Zre-

sztą tęsknota dobrze robi. Ten przypisek podziałał na mnie jak mina.

Za wszelką cenę postanowiłem widzieć Katię.

W nocy doczekałem się chwili, kiedy cały dom się uciszył.

Zerwałem się i ubrałem po cichutku. Wyskoczyłem oknem.

Była jasna księżycowa noc. Droga wiła się wśród wzgórz nad brzegiem strumienia. Szedłem z niejasnem przeczuciem szczęścia. Jakiś krzak pachnący uderzył mnie po twarzy mokrą gałązką, złamałem ją, zerwałem jeszcze garść kwiatów.

Świtało kiedy stałem pod oknami domu. Jej okno było na pierwszem piętrze nawpół otwarte.

Związałem moje kwiaty i cisnąłem.

Usłyszałem słaby krzyk.

Po chwili otworzyło się okno. Stała w nim ona, mrużąc oczy.

Zobaczyła mnie i krzyknęła: „ty!“

Widziałem, że zaskoczył ją ten okrzyk.

Nierozumującym instynktem wiedziony powiedziałem: „zejdź“.

Przeszło kilka minut.

Stanęła w progu.

Nie powiedzieliśmy sobie ani słowa.

Po chwili ja podniosłem oczy.

— Byłaś w Lozannie.

Odpowiedziała: tak.

— Czy chcesz, aby to była prawda?

Tego samego dnia wyjechaliśmy do Francyi.

2.

Zamieszkaliśmy na samym pograniczu Szwajcaryi. Tu w tym czasie było ognisko dojrzewającej świadomości robotniczej. Kto nie znał pierwszej gieneracyi międzynarodówki i to właśnie nie inteligentnych propagandzistów, lecz robotników, szczególniej z pewnych wykwalifikowanych, gałęzi przemysłu, naprzykład zegarmistrzów, ten utracił sposobność zapoznania się z jednym z najciekawszych i najpiękniejszych momentów powstawania nowoczesnej świadomości. Czytaliśmy i czytamy wszyscy natchnione, pełne entuzyazmu charakterystyki purytanów angielskich, lub kolonistów amerykańskich. Zjawisko, z jakim mieliśmy tu do czynienia, było głębsze i bardziej skomplikowane. Dotychczas u wszystkich znanych typów działaczów dziejowych odpowiedzialność występowała w formie zamaskowanej. Idea poruszająca ich była poza nimi. Gdy nawet czuli się oni absolutnie z nią zjednoczeni, to jeszcze i wtedy była ona w nich obecna, jako coś uświęcającego ich, stwarzającego ich prawa i obowiązki. Rozum działania był zawsze poza działaniem. Tu byli żywi ludzie, czujący odpowiedzialność swą, jako tacy, odpowiedzialność już nie wobec Boga, idei, lecz wobec równie, jak oni, żywych ludzi. Pierwiastek świadomego stwarzania historyi nigdy nie był jeszcze tak bezpośrednio realizowany i odczuwany. Jaka duma i szlachetna godność była w tych ludziach, jakie poczucie prawdy, jakie zrozumienie, że stwarzają oni przyszłe życie pokoleń

nieustannie. Tu nie było rozdziału między człowiekiem publicznym, a prywatną, pojedyńczą jednostką, pomiędzy sumieniem wytwarzającem nakazy moralne, a konkretnem, praktycznem życiem. Na mnie otoczenie to działało zbawiennie i uzdrawiająco. Był to czas całkowitego zharmonizowania mojej istoty. Kochałem i byłem szczęśliwy, czułem, że moja miłość, ja, moja żona, cały nasz dom, otoczone są atmosferą szacunku tych zacnych, pięknych ludzi, których znaliśmy. Znikły palące, bolesne rozdwojenia, ja — Michał Kaniowski, jako taki, czułem się w zgodzie z sobą. Już nie szukałem posłannictwa. Tłómaczyłem na rosyjski duże przyrodnicze dzieło, miewałem referaty w kółku robotniczym, Katia pracowała na równi ze mną. Nie zapomnę nigdy tych dni szczęścia wśród świeżej, zielonej przyrody. Byłem po raz pierwszy w życiu przekonany, że jestem obecny przy czemś, co stanie się przyszłością. Tu żyje i rodzi się tylko to, co ma prawo żyć, nic obcego, niszczącego życie.

Głębokie wrażenie wywarł na mnie wypadek, jaki zdarzył się w naszej wiosce. Mieszkał tu pomiędzy innemi Aldy, robotnik introligator z żoną. Aldy był niepospolitym człowiekiem. Należał on do najdzielniejszych szermierzy ruchu robotniczego podczas drugiego cesarstwa. Miał prześliczną, wielką lwią głowę, otoczoną czarnymi, kędzierzawymi włosami i takim samym zarostem, z pod groźnie namarszczonych brwi i potężnego sklepionego czoła wyzierały oczy aksamitnie miękkie, niewypowiedzianej dobroci. Aldy nie pracował już w swym

zawodzie. Pisał on płomienne broszury. Był przytem chory. Nie było żadnych wątpliwości, że nawet jeżeli będzie żyć, nie będzie zdrowy nigdy. Żona jego była piękną, wysoką kobietą o kasztanowatych włosach i oczach zielonkowych, przejrzystych i zmiennych, jak woda morska. Katia polubiła bardzo Eleonorę i bywała ona u nas często. Była smutna. Przypisywaliśmy to chorobie męża. Aldy przychodził też do nas. Lubił, jak się zdaje mnie, lubił jeszcze bardziej Katię.

Któregoś dnia rzekł do nas:

— Dzisiaj przyjdźcie do mnie, będę potrzebował przyjaciół.

Przybyliśmy o wskazanej porze. Eleonora była zmięszana, na twarzy jej płonęły gorączkowe wypieki.

W pokoju był nieznany nam młody człowiek. Był tak piękny, że nie chciało się od niego odrywać oczu.

Gdyśmy weszli Aldy przedstawił go nam — Henri Romain — rzekł — kochajcie go proszę, jak ja go kocham, jest to przecież mąż mojej Eleonory.

Osłupieliśmy.

Aldy roześmiał się swojemi dobremi oczyma. Chciałem, — mówił — byście byli obecni i zobaczyli, co robią ze mną te niedobre dzieci. Kochają się. Czy można jego nie kochać? Niech powie otwarcie pani Katia, czy można nie kochać Romaina. A pani jeszcze o nim nic nie wie: on wyrzeźbił „Pracę"... On jest poetą. Mój najdroższy syn.

Zawsze myślałem: stary Aldy umrzesz i cóż zostawisz Romainowi? Miałem jeden skarb, ale nie mogłem nim sam rozporządzać. Chodziłem i myślałem, co stanie się z Eleonorą. Gdyby ją kochał Romain, jakieżby pisał wiersze. A te głupie dzieci męczą się i nie mówią nic. Niech stary Aldy umrze, bez pociechy. A ja przecież chcę być jeszcze dziadkiem. Był czas — Eleonora była moją żoną... Teraz przeszedł ten czas. Ho, ho, Romain nie noś tak dumnie głowy. Był czas, kiedy byłbym ci ją odbił. No, ale teraz nie bój się *Le vieux Aldy ne danse plus.* Ale jeszcze raz zatańczę, gdy będę dziadkiem. No i powiedźcie mi czego ona płacze. No i ten także...

Eleonora szlochała, jak dziecko.

— No, czegóż płaczesz, maleńka — mówił Aldy — czy ja ciebie nie kocham, mylisz się. Kocham i gdybym był jeszcze młody... No, mówię wam, pocałujcie się przecież — popchnął ich ku sobie, zmusił, by się uściskali, przycisnął do piersi obie te cudne głowy.

Katia schwyciła rękę jego i podniosła do ust.

— *Décidément* — rzekł Aldy — *je deviens patriarche.* Ależ nie całuj mnie w rękę, moje dziecko — i pocałował zarumienioną Katię w usta.

Sprowadzono wino.

I cały wieczór już potem panował swobodny, wesoły ton.

Tak jak i nic nie zmąciło pogody i później, gdy Aldy zamieszkał przy młodych, jak się wyrażał.

W naszem otoczeniu nie wymagał ten fakt komentarzy. Cześć dla Aldy'ego wzrosła, a przecież

było to wśród Francuzów. *L'esprit gaulois* miał dobry smak i zamilkł. Jestem przekonany, że ta wytworność, ta szlachetność, która cechuje wszystko we florenckiej sztuce i literaturze została wniesiona przez element społecznie i duchowo pokrewny temu, który nas otaczał. Tu pomiędzy tymi robotnikami żyło się istotnie w najwyższej arystokracyi. Była to prawdziwa elita ludzi, *le pur sang* nowoczesnego społeczeństwa.

Nigdy nie widziałem potem już, za wyjątkiem pewnych kółek rosyjskich i Paryża podczas *komuny* takiej bezwzględnej szczerości i szlachetności. Rozumiano się tu bez słów. Każdy był zawsze pewien, że inni postąpią w każdej okoliczności najszlachetniej i liczył na to maximum wspaniałomyślności.

Rozmawialiśmy często z Aldym. Był to umysł nadzwyczaj pogodny. W broszurach i artykułach, jakie pisał, wybuchał wspaniałem oburzeniem, ile razy stykał się ze złą wiarą, czy przemocą, gdy jednak zwracał się ku swoim własnym zapatrywaniom, stawał się cichy, jak jasny wieczór dnia letniego. Zwycięstwo jego idei nie przedstawiało mu się nigdy jak krwawy wybuch. Gdy tylko jasna myśl jego wkraczała w świat swobodnej, rządzącej sobą pracy, otaczała ją ta atmosfera krystaliczna, gwiaździste szczęście.

Poczucie dobrego sumienia, mówił Aldy, to najlepszy zdrój letejski. Człowiek wtedy zapomina tak szybko. Nowa krew zaczyna krążyć w żyłach, a z nią nowa dusza, która niema już w sobie jadu krzywd i nie zna krzywdzicieli. Lud pracujący nie jest nigdy

mściwy. Mściwym jest i w krew wierzy tylko ten, kto nie zna pracy, kto ma wolę, a nie umie jej użyć. Praca uczy i ukazuje, jak powoli pod dłonią naszą wyrasta niby dziecię nasze, to, czego pragniemy. Czy można nienawidzieć dziecka swego? Ja mam wrażenie, że w stosunku robotników do świata i życia jest jakby coś ojcowskiego. Nikt nie wie co dzieje się dziś w umysłach robotników Francyi. To nie idzie tak szybko. To przecież nie o formę już chodzi. Człowiek sam musi się zmienić. To tak, jak odnowienie krwi.

Gdy od takich refleksyi odrywał go fakt jakiś świadczący o sile przemocy i ucisku, Aldy bladł i mienił się. Wtedy chwytał za pióro i pisał artykuły, które następnie obiegały wszystkie suteryny i warsztaty.

Stała się zaś właśnie w sąsiedniem miasteczku, leżącym też na terytoryum Francyi rzecz straszna.

Istniał tam jakiś przytułek dla dzieci, prowadzony przez jakąś zakonnicę, czy eks-zakonnicę. Były tam dzieci drobnych rzemieślników, wszelkiej biedy. Już od pewnego czasu krążyć zaczęły, co do tego, co się dzieje w przytułku, głuche i niepokojące wieści. I nagle zawrzało. Siedemnaście dziewczynek w wieku od lat trzech do ośmiu uległo syfilitycznemu zarażeniu. Wszystkie one były gwałcone przez dwóch, czy trzech księży, pod opieką których pozostawał zakład. Dzieci opowiadały rzeczy straszliwe, od których ścinała się krew. Mieliśmy znajomych w szpitalu, udaliśmy się tam, ja, Katia i Aldy. Lekarz, stary człowiek, znany z nabożności swej i religijnych uczuć, chodził po po-

koju przyjęć blady, jak trup, z sinemi plamami na twarzy. Znał on Aldy'ego, z którym spierali się nieraz na zebraniach robotniczych w Genewie. Teraz zobaczywszy go, podszedł i ściskając go za rękę rzekł: to straszliwe, straszliwe. Patrzę na te biedactwa i myślę, że to nie może być prawdą, że tam w górze niema nikogo, a potem myślę znów, że jeżeli tak, jeżeli to wszystko jest tylko olbrzymim naturalnym procesem bez przyczyny, bez końca, jeżeli we wszystkich tych przetworzeniach niema żadnej myśli, żadnego sumienia, to któż wyrówna potworną okropność wobec tych dzieci. One tak przeminą na wieki bezgranicznie pokrzywdzone.

Mała trzyletnia Klarcia o czerwonych ropiejących oczach, ustach pokrytych białemi krostami, patrzyła na nas z trwogą, gdyśmy weszli. Wsunęła się w kąt swojego łóżeczka i jej ciało, szkielecik pokryty żółtą skórą, drżało. No... Klarciu nie bój się, — powiedział lekarz — tu nie przyjdzie ani ojciec Lino, ani siostra Elżbieta. — Dziecko poważnie popatrzyło na niego i powiedziało: „Boję się". Gdyśmy zbliżali się ku niemu, z gardła dziewczynki wydarł się straszny, chrapliwy krzyk rozpaczy, twarz stała się purpurowa.

— Klarciu, Klarciu — uspokajał lekarz — patrz przecież to jestem ja, twój przyjaciel.

— Toś ty wypędził Elżbietę — powiedziało dziecko, przypominając sobie coś z zachwytem. Ona zrobiła się taka mała, taka szara jak mysz, kiedyś ty krzyknął.

— Tak — rzekł lekarz — a jego — tu wskazał na Aldy'ego — boi się ona jeszcze więcej.

Aldy stał nieruchomy i płakał.

— Czego on płacze? — pytała mała. Jeżeli się on nie boi ani Elżbiety, ani Lina, dlaczego on płacze, on jest przecież duży.

Otaczały nas inne dzieci. — A mnie — mówiła jedynastoletnia dziewczynka — mówił ojciec Lino, że ja mam ładne włosy i piękne oczy, ale że ja nie powinnam być z tego dumna.

— Ojciec Filip był zabawniejszy — mówiła duża pulchna blondynka: on spiewał tak: *viens poupoule — viens pou-poule* i uczył tańczyć. Ach jakie to było zabawne. Kupił wtedy słodkiego wina i sam tak podkasał swój długi, czarny surdut — pokazała na sobie — i tańczył tak — i mała zaczęła tańcować całkiem poprawnie — kankana.

— Daj pokój — rzekł lekarz.

— Ojciec Filip był wesoły.

Na uboczu trzymała się czternastoletnia dziewczyna w czarnej sukience, o chudej twarzy. I zobaczywszy doktora, krzyknęła:

— Ja nie pozwolę się badać. Wypuśćcie mnie stąd, wypuśćcie mnie stąd, co wyście zrobili z siostrą Elżbietą, z ojcem Filipem? Wypuśćcie mnie, ja tu nie chcę być. Wy jesteście wszyscy franc-masoni, niedowiarki. Ojciec Filip mi mówił. Wypuśćcie mnie, nie pozwolę się badać.

— Ma silną histeryę — rzekł doktór — gdyśmy wyszli, i to samo, co inne. Krzyczy, gdy się ją bada, gdy się ją o co pyta. Woła, że ojciec Filip opowie-

dział już wszystko słodkiemu sercu Jezusa i że to jest tajemnica.

Gdyśmy wyszli na ulicę, Katia miała wypieki na twarzy: Co zrobimy teraz? To przecież nie może tak przejść. Musimy coś zrobić.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Aldy.

Miasto wrzało.

Na każdym placu tworzyły się nieustannie grupki ludzi, rozpraszane przez policyę i żandarmów. Rozległy się krzyki: „Precz z Kościołami!“ „Śmierć Jezuitom!“

Na jednym z placów tłum otaczał kościół i ciskał kamieniami w okna. Szyby pękały z trzaskiem. Dusza tłumu rozpłomieniała się w tej atmosferze ogólnego oburzenia. Kobiety prawie wszędzie przewodziły.

— Krew naszą ssą pijawki!

— Oddajcie nam nasze dzieci!

— Wynieście waszego Jezusa i niech da naszym dzieciom zdrowie. Jeżeli nie może, to wszystko jest kłamstwo!

— Macie go przecież tam w tym złotym kielichu.

— Kazaliście nam składki zbierać na kielich.

— Niech teraz wróci zdrowie dzieciom.

— No, jeżeli on tam jest — niech wyjdzie! — wołał tłum i śmiał się.

— Oni teraz schowali się tak, jak ślimak w skorupę.

— No... no... teraz jest odpowiednia chwila na cud...

Na progu kościoła ukazał się siwy człowiek w fioletowej sukni księżej.

— Śmierć mu!... — zawył tłum.

— *Mort à calotins.* Śmierć gwałcicielom naszych dzieci...

— Moi bracia — rzekł staruszek — boleję wraz z wami.

— Nie gadać! nie gadać! — wył tłum. Pokaż nam twojego Boga, niech zrobi cud.

— Bogu nikt nie rozkazuje. Jest to próba, którą on zsyła na nas.

— Niech da zdrowie dzieciom, lub zamknijcie waszą budę.

— Precz z księżmi!

— Śmierć, śmierć gwałcicielom. Tłum sunął groźny ku starcowi.

Aldy wskoczył na jakieś podniesienie.

— Jestem socyalista Aldy, — zawołał, — robotnik jeden z waszych: puśćcie precz tego człowieka. Niechaj idzie obciążony waszą pogardą.

— Ja przyjmuję wszystko, jako dopust boży.

— Dość słów — rzekł Aldy.

— Powiadacie, że jesteście sługami bożymi, że wiecie lepiej od innych czego chce Bóg. Żyjecie po to, aby on mógł na was patrzyć z upodobaniem, wierzycie w Boga. Pójdź i połóż swe ręce na głowy tych dziewcząteк i proś niech im wróci Bóg nieświadomość dusz i zdrowie ciał.

— Nie będziesz kusił pana twojego.

— Gdzież są wasi święci, których słucha Bóg, niech wystąpią i zrobią cud...

— Świętych, świętych, świętych!—krzyczał lud— opłacamy was, abyście byli świętymi.

— Święci nie każdego dnia się rodzą — odpowiedział stary ksiądz.

— Nie macie wiary i nie macie świętości... Pokłoń się ludowi i powiedz, żeś zbłądził, przyznaj, że niema u was wiary.

— Oo... teraz nie łatwo się wykręcić.

— Opowiada się o cudach w Palestynie.

— Tu zrób cud!

— Bracia! — rzekł Aldy — odwróćcie się od domu umarłych. Tu nikt nie mieszka. Tu mieszka fałsz i obłuda. Tu mieszka pustka i kłamstwo. Przekonaliście się, że ludzie ci nie wierzą sami w to, co mówią.

— Wierzę! — krzyknął głos młody i namiętny. Młody ksiądz z energiczną twarzą i o płonących oczach stał obok starca.

— Dowiedź mi swej wiary — rzekł Aldy.

— Pójdź do szpitala i uzdrów dzieci.

— Nie — rzekł ksiądz — Bóg przeklął was i wasze dzieci, niewierne plemię. Klątwa Boża nad wami. Gniew boży dotyka nawet pasterzów waszych. Zgnilizna jest w was i pada na dusze. Do kościoła i na kolana błagać Pana?

— Kamieniami tego psa.

— Wy szerzycie zgniliznę!...

— Zabić go, zabić!... do rzeki z nim!

Tłum schwycił księdza i nim zdołaliśmy się spostrzedz, ciągnął go już po ulicy. Ciało wlokło się po ziemi.

Aldy wskoczył w tłum.

Razy sypały się na niego. — Puśćcie go, puśćcie go.

I z wielkim trudem udało się nam wyrwać księdza z rąk kilku kobiet. Musieliśmy odprowadzić go do mieszkania, gdyż ledwo trzymał się na nogach, za nim biegł tłum, krzycząc, wyjąc i ciskając kamieniami.

Jeden z nich ranił dość mocno Aldy'ego w głowę. Ksiądz chciał koniecznie, abyśmy weszli do jego mieszkania. Katia nie chciała o tem słyszeć nawet. Stała blada z płonącemi oczami. — Nie umiem wybaczać — mówiła. — Krzywdy dzieciom i kobietom wyrządzonej nie można wybaczać. Nie powinno się wybaczać takich krzywd.

— Nie ja — rzekł ksiądz.

— Pan — odpowiedziała — pan. Pan także szerzy kłamstwo. Pan jest opłacany za to. Pan także powtarza z kazalnicy: pozwólcie maluczkim przyjść do mnie. I one wierzyły panu te maleństwa. Przecież powtarza jedna z nich: „ojciec Filip opowiedział już to wszystko słodkiemu sercu Jezusa." — Aldy pana obronił, nie trzeba było.

— Katia! — powiedziałem zdumiony, nie poznawałem jej.

— Ty nie wiesz — mówiła mi ona tego wieczora, kiedyśmy wracali do domu: — ty nie wiesz co to jest kobieta skrzywdzona w ten sposób, ty nie wiesz, co to znaczy taka krzywda. Was mężczyzn nie śmie nikt skrzywdzić w ten sposób: nie może w was tak do dna, tak całkiem już zatruć

życia. Zdaje się, że każda kropla krwi staje się jadem, że każde włókno duszy jest zdeptane i zbrukane. Tego ty nie rozumiesz. I dla tego kobieta tylko może mieć prawdziwą nie przebaczającą nienawiść. Wy mężczyzni możecie znać gniew oburzenia. Nie nienawiść. Nienawidzi tylko ten, kto czuje, że nigdy już nie uczyni niebyłem, nie istniejącem tego, co się stało.

— Do końca życia będę już tem, czem jestem: kobietą, którą bił jej mąż, nie, jej pan, jej właściciel, ona czepiała się jego rąk, jego nóg i całowała te ohydne, włosem porosłe ręce, całowała i skowyczała, skamlała tak długo, póki nie rzucił nahajki i nie raczył ją obdarzyć swą miłością. Rozumiesz, oplatałam temi oto ramionami jego ohydny kark, piłam z jego ust rozkosz, tak rozkosz. Słyszysz, czułam rozkosz w tem, że byłam jego ścierką, jego rzeczą. Czułam rozkosz, kiedy pokrwawiwszy mi ramiona kańczugiem, brał mnie w swoje objęcia. Wtedy, wtedy, w ten wieczór byłabym obita przez jego lokaja, pokaleczona, zdeptana, drżąca w jego ramionach, byłabym go całowała, byłby mię miał całą pokonaną, posłuszną. Czy ty to rozumiesz, czy ja zdołam kiedy wyrwać z siebie to wspomnienie. Zapomnieć można to, co się uczyniło, nigdy to, co uczyniono z nami, co w nas wrosło. Przecież to wspomnienie, to nie jest myśl, coś co ja mogę odrzucić — to jest moja krew, to moje ja. Przecież teraz, kiedy tobie oddaję się, czuję w sobie tę samą nałożnicę tamtego, czuję, że to ona żyje wciąż we mnie, ona dyszy rozkoszą, ona drży w uściskach,

mdleje — to wszystko jest we mnie. Ja nie mogę darować, przebaczyć, zapomnieć. To już będzie we mnie do końca dni. Nienawidzę, nienawidzę samej siebie, wszystkiego. Czy ja wiem, może ja pragnę gdzieś na dnie duszy znów tego, aby być bitą, deptaną, abym znowu czuła się rzeczą, niewolnicą, zwierzęciem dającem rozkosz. Wy mężczyzni nie możecie wiedzieć, co dzieje się w kobiecej duszy. Wy lekko bierzecie życie. Wy mówicie o prawie, o urządzeniach, formach ekonomicznych i państwowych. To wszystko człowiek stwarza na powierzchni, i w słońcu. To wszystko jest posłuszne jego woli, zależne od niego, na zewnątrz istniejące poza człowiekiem. To jest to, co on czyni. Zniszczy jeden świat fałszu i stworzy nowy. Tu łatwo o zapomnienie i zgodę. Ale kto zmieni krew ludzkości? Kto nam da nową krew? My jesteśmy samym nurtem życia, wytryskającym z jego mrocznych głębi. My jesteśmy głosem krwi, który woła o pomstę. My jesteśmy kapłanki tej bogini Hekate, której imię ze strachem wymawiali starożytni. Ona przychodzi mścicielka podeptanego życia, krwi ludzkiej przelanej napróżno. Ona nie zadawalnia się zewnętrznemi zmianami. Jej nie wystarczają ofiary, spełniane w słońcu, ona wymaga zemsty tak strasznej, jak straszną jest ta ohyda, którą noc spełnia nad człowiekiem. Krwi potrzeba. To tylko czujemy my kobiety: krew sama ludzkości musi być zmieniona. Rozumiesz! samo życie gwałcicieli i tyranów jest niebezpieczeństwem, oni są zawsze niebezpieczni dla nas, bo oni zatruwają samem swem istnieniem

krew ludzkości, krew przyszłych pokoleń. Krew musi popłynąć, mrok musi ją wchłonąć, jeżeli ma być zwycięstwo: wyzywam, wywołuję boginię Hekatę, niech przejdzie nad miastami i niech weźmie ofiary, niech weźmie odwet.

Na drugi dzień Katia pojechała znów do miasteczka, w którem wzburzenie rosło. Naprożno wraz z Aldy'm usiłowaliśmy ją uspokoić. Katia obecna nie podobna była do tej, którąśmy znali. Teraz wyprostowała się ona niejako w naszych oczach, wyrosła, w wyniosłą, olbrzymią postać kobiety mścicielki.

Widziałem ją, jak na czele tłumu kobiet szła na szturm jakiegoś klasztoru: pierwsza szła w szeregu z pochodnią w ręku.

— Śmierć, śmierć, niszczycielom życia! One nie będą nigdy już czyste i zdrowe. W nich zabito młodość i miłość. Śmierć za to! Zabito w nich szczęście macierzyństwa — śmierć!

Klasztor został wzięty, jak gdyby zalała go fala.

Posypały się na podwórze książki ascetyczne, obrazki, szkaplerze, krucyfiksy. Katia podpalała stos. Mniszki uciekały przerażone. Stary kapelan ze strachu wił się, gdy wywalano bramę klasztorną. Policya nie śmiała atakować tłumu. Poza kobietami stała mroczna, zwarta masa robotników. Posłano po wojsko, — ale Aldy kazał uprzednio już poprzecinać druty telegraficzne.

Miasteczko było w ręku ludu, a ludem rządziła Katia.

Po klasztorze kobiecym przyszła kolej na seminaryum. Księża usiłowali organizować samoobronę

z kleryków, ale byli oni po większej części synami miejscowej ludności, matki ich szły w pierwszym szeregu napastników.

Starszy wikary został wypoliczkowany przez matkę swą rybaczkę w bramie seminaryum. — *Tu vas défendre ces saletés là Les saligauds* — wrzeszczała stara, a tłum potakiwał: — rozciągnij go na kolanie matko Lino, niech popróbuje, a lepiej go, lepiej, niech wie co to jest matka. Wychowujemy ich przecież z własnych oszczędności, z twardej pracy, z groszy uciułanych — a oni później hańbią naszą starość.

— Rzuć mi sutannę, durniu — mówiła matka Lina do syna — rzuć, mówię ci, to paskudztwo. Nie pozwalam ci pozostawać w tym gnoju.

— To poświęcone — wył wikary.

— Cały jesteś poświęcony — krzyczała rybaczka — ot patrz i klak, klak, masz po poświęcanej twojej twarzy.

— Hi... hi... matka Lina tęgo bierzmuje — wołał zakrystyan.

Wikary usiłował coś powiedzieć. W głowie jego musiały migotać rozpaczliwe myśli o zmarnowanej raz na zawsze karyerze. Nie zrobi się przecież biskupem człowieka tak radykalnie ośmieszonego.

— Pan nasz powiedział: rzucisz dom twój i matkę twoją — zaczął z namaszczeniem.

— Sama cię rzucę, mam cię gdzieś — wołała stara, popierając słowa demonstracyą *ad oculos*.

Ale nie był to koniec przygód.

W drzwiach seminaryum stawiał rozpaczliwy

opór młody człowiek w świeckiem ubraniu, niesłychanej siły i brzydoty. Dodawał on sobie otuchy okrzykami w jakimś narzeczu, którego nikt nie rozumiał.

— To jest nawrócony chińczyk — wołały kobiety.

— To jest tresowany dyabeł — śmiały się inne, te, które były dalej, gdyż tresowany, czy nie tresowany obrońca wiary nie żartował.

— Swołocz — wykrzykiwał on — swiataja wiera Bożji ugodniki, poszli swołocz.

— Oszalał bałwan — krzyknęła Katia po rosyjsku — Koruta, ośle jeden, czego ty bronisz tych łotrów, oni dzieci gwałcili!

Koruta — on to był we własnej osobie, usłyszawszy rosyjski język i własne nazwisko, zgłupiał i stał przez chwilę z roztworzonemi ustami i osłupiałym wzrokiem.

— No bijże tych łajdaków — krzyczała Katia — Słyszysz przecież, dziewczynki gwałcili!

Koruta wydał jakiś chrapliwy ryk, uderzeniem nogi wywalił drzwi i po chwili widać go było, jak dusił za gardło jakiegoś wysokiego księdza. — I tyś gwałcił dzieci — ryczał — ty szyzmatyku, ty siło nieczysta!

Koruta, jak się okazało, był guwernerem u jakiejś generałowej, która zdołała się nawrócić na katolicyzm. Ona to posłała go na odsiecz seminaryum, oblężonego przez buntowników. Koruta przypomniał sobie, że zawsze wierzył w Boga i po-

leciał na obronę. Generałowa stała teraz na platformie schodów i piszczała:

— Monsieur Koruta! monsieur Koruta!

Na ręku trzymała jakiegoś bezwłosego psa, który ujadał.

Gdy Koruta nie zwracał uwagi na krzyki, dama zaczęła targać go za ramię, pies pomagał jej zębami.

— Poszła precz, świnia — krzyknął Koruta w twarz jej ekscelencyi. — Ty czego między nich zalazła. Romansów zachciała. A ty też — krzyknął na psa i chwyciwszy go za tylne nogi pobiegł, wymachując nad głową tłumu wyjącem i wijącem się zwierzęciem, niby maczugą.

— Moje dzieci — zaczął przemowę opasły dziekan, lecz w tej chwili oniemiał: nad głową tłumu przeleciało coś i ugodziło go, wijąc się i wrzeszcząc w obwisły brzuch.

Wydzierała się też do dziekana stara Lina. Ty także mnie musisz pocałować!

Katia tymczasem niszczyła książki i emblematy religijne.

Wieczorem tego dnia znaleźliśmy się w więzieniu. Wsadzono nas z Katią, Aldy'm i Korutą do jednej celi.

W sześć tygodni zaś oswobodził nas tłum. Napoleon III kapitulował pod Sedanem. W Paryżu ogłoszono republikę. Pomknęliśmy wszyscy do Paryża, nie wyłączając Koruty, który wyrażał pewne wątpliwości, ale usłyszawszy od Kati, że jest głupi, uśmiechał się i szedł za nami.

3.

Nie będę opowiadał o Komunie. Każdy z nas zna tę historyę miasta, które widziało, jak opasuje je zdrada, jak nakrywa je chytrą siecią kłamstwo, jak wykopuje potwarz przepaść pomiędzy niem, a resztą Francyi.

Kto wie, czem jest historya nowoczesna, niech się zapatrzy w ten widok miasta bohaterów i myślicieli — oddanego na łup zniszczenia przez plugawego karła. Skrofuliczny, przeżarty przez cynizm starzec Thiers — morderca ludu — to symboliczna postać nowoczesnego mieszczaństwa. Przyjrzyjcie się temu człowiekowi. Handlował on już wszystkiem: sławą wojenną i tchórzostwem giełdziarzy, wolną myślą i Chrystusem. Wypowiedział on tyle kłamstw, że już nie wie, gdy sam z sobą myśli, jakich używać wyrazów. Nie potrzebuje tego, jego myśl — to jest nieustanne zadowolenie z siebie, z chytrości własnej i sprytu. Człowiek ten nie miał nigdy przyjaciela, nigdy z niczem nie był zrośnięty, węszył za biletem bankowym i za korzystną różnicą w rachunku giełdowym; z czego ono wynika, wszystko jedno. Patryotyzm i rewolucya, kościół i niewiara, despotyzm i republika, wszystko dawało mu zysk. Nie był on w stanie uwierzyć, że istnieje coś bezinteresownego. Gdy Bismark obalił rząd koronowanego sutenera, alfonsa wszystkich idei — Thiers cały podzielony był między dwa uczucia: zazdrości dla szczęśliwego zwycięzcy i przebiegłej myśli, jakby wyszukać jakiś zysk dla siebie.

W nim, w jego wytartej duszy kryło się to wszystko, co żyje z pracy cudzej, co żyje z ciemnoty i nędzy ludu. To wszystko drżało o swoją ojczyznę, o drogą Francyę, która daje rentę. W poprzek ich drogi wyrosło olbrzymie widziadło miasta — bohatera, miasta, które walczyło do ostatka, miasta, które wrzało jak wulkan i tryskało ideami na świat cały.

Paryż święte miasto ludzkości, nigdy nie był tak wielki, jak za czasów niezapomnianej komuny. Rozpaczliwa walka oczyściła atmosferę. Ludzie wśród niebezpieczeństw poczuli się braćmi: Paryż narodził się znów pod armatami i bombami, jako stolica rozumu i ludzkości. Ludzie tu nauczyli się polegać na samych sobie, nauczyli się poprzestawać na sobie, nauczyli się jednoczyć w wielkiem codziennem dziele, nauczyli się umierać bez trwogi. Dusza komuny rodziła się z bohaterskich wycieczek. Kiedy bomby prusaków burzyły domy, kobiety paryskie wołały: do broni i na wały. Paryż robotniczy nie przestraszyłby się niczego, on zagrzebałby się w ruinach domów — stos trupów, które padły za wolność.

O tych ludziach mówiono, że nie kochali ojczyzny. O nich, którzy wołali do całej Francyi: giń z nami!

Słyszałem Blanquiego, jak wołał: broń wszystkim Francuzom do rąk, będziemy bronić każdej piędzi ziemi. Broń narodowi, broń rękom spracowanym!

Ale broń — to władza.

Thiers chciał Paryżowi ukraść nawet jego własne armaty.

Widziałem, jak paryski lud robotniczy ściskał je, te swoje działa, jak żywe istoty, jak przyjaciół, kobiety rzucały im pod koła kwiaty w dniu, kiedy rodziła się święta komuna.

Katia stała na jednej z armat i wołała: kobiety Paryża, ani jednego pocałunku, ani jednego uścisku niewolnikom i tchórzom. Nie mogą być niewolnicy ojcami naszych dzieci, bo my nie chcemy rumienić się za nich. Wolnych ludzi rodzić chcemy, wolnych, nie żyjących ludzką krzywdą. Żony robotników, córki robotników, rodzić chcemy dzieci dla przyszłości, w której praca będzie swobodną!

Kobiety klaskały i wołały, niech żyje! niosły ją na ramionach — a ona wołała: Do broni! Do broni!

I taką widziałem ją przez cały czas.

Gdzie chwiał się jaki oddział sfederowanych, — ona chwytała chorągiew i wołała: wstyd wam będzie, gdy zginę. Za nią biegł olbrzymi, zziajany Koruta, wołając: Vive la Commune! — jedyne chyba zdanie, jakie umiał po francusku.

Widziałem ją, jak stawała po za noszami, na których nieśli rannych i zabitych i wołała: Zemsty, zemsty! nie zapominajcie ilu już zginęło. Matki posyłajcie synów, siostry — braci, żony — mężów. My kobiety wywalczymy przyszłość, my rodzimy dzieci, my nie chcemy niewoli na ziemi!

— Paryż się nie podda — wołała, kiedy wersalczycy wchodzili. Paryż się nie podda. My nie możemy, nie chcemy żyć w niewoli, umrzemy, zgi-

niemy, by istnieć w pamięci, jako wielkie miasto przyszłości, stolica swobody!

I z pochodnią w ręku biegła podpalać gmachy, wołała o proch, dynamit i naftę. Zginąć, zginąć pod gruzami, a nie żyć w niewoli!

— Wołajcie o śmierć, śmierci wołajcie, córki Paryża!

Ulica za ulicą wpadały w ręce wersalczyków. Rozpacz wdzierała się w najmężniejsze dusze.

Katia przechodziła od barykady do barykady.

— Nie poddamy się, nie poddamy się, umrzemy wolni.

— Elle ne se rend pas la commune de Paris!

I wołała:

— Czego się obawiacie: Śmierci? Przyjdzie i tak bezzębna starucha o lasce, przyjdzie, zasiądzie u poduszki waszej, konać będziecie dni i noce wśród mroku. Czy nie lepiej umrzeć z bronią w ręku? Czy nie lepiej umrzeć tak, jak jesteśmy teraz pół bogami, wolnymi na zawsze, takimi zostać?

— Paryżanie, będę się broniła do końca, choćby sama. Kto ze mną? I wznosiły się ku niej czarne od prochu ręce i wołały spieczone usta: na śmierć! Umrzemy wolni!

— Kobiety! wołała Katia, w ulice, w ulice, umierać przy braciach i mężach. Karabiny padają na bruk, dlaczego nie podnosicie karabinów? Kobiety będą walczyć, gdy zabraknie mężczyzn. Podła ta, co pragnie przeżyć Paryż!

— Paryż, wiecie co jest Paryż? Miasto, które woła stuleciami: — nic nad człowieka, wszystko dla

człowieka. Paryż słowo tak święte, jak najświętsze ze wszystkich słów — człowiek.

— My nie wołamy Bóg i Ojczyzna. Tak wołają ci, którzy żyją grabieżą i mordem. Bóg to jest niewola dusz. Dusze muszą drżeć, aby ciała pracowały. Dusza Paryża nie drży.

— My nie zaznamy już niewoli, nie będą się gięły nasze karki: wyprostowani i dumni pójdziemy w śmierć.

Spotkała mnie w przedostatni dzień na rogu jakiejś uliczki.

— Michale! zawołała, kiedym ją mijał, nie widząc.

Myślałam, żeś już padł, mówiła, i pragnęłam pomścić twą śmierć; jeszcze żyjesz?

Prochem czuć było jej ręce, twarz, włosy. Zapach prochu, powietrze walki owiało mnie od jej pocałunku.

— Teraz żyję, mówiła z rozdętemi nozdrzami, wsparta na karabinie. Teraz żyję — już ja nie niewolnica Moroszkina. Odkąd wiem, że umrę z bronią w ręku zwycięska i nieulękniona — znów mogę myśleć o sobie bez wstrętu. Całuję ciebie swobodnemi ustami. Ustami, które śmierć zawrze na wieki. Dziękuję ci za życie walki. Dziękuję ci za dni w Paryżu, który płonie.

Kule świstały nam nad głową, kiedy ona mówiła jeszcze: Kochałam ciebie bardzo, bardzo cię kochałam Miszuk.

I poszliśmy na swe posterunki.

Każdy poszedł, gdzie był najpotrzebniejszy.

Przedniej barykady bronił Koruta: Le prince

Calmuc, jak go nazywali Paryżanie. Gdy brakło naboi, wyrywał on głazy z bruku i ciskał.

Pomiędzy jedną salwą, a drugą wołał:

— Wersalskaja swołocz, i gdy odpierał atak krzyczał:

— Thiers swinja!

Barykada jego dwa razy była wzięta; dwa razy spędzał on z niej wersalczyków i gnał ich aż na ich pozycyę.

Za trzecim razem ugodziła go kula w serce, padł, z ustami rozwartemi w krzyku: Wersalskaja swołocz!

Widziałem Aldy'ego, jak strzelał siedząc, nogę miał zmiażdżoną, u jego stóp leżał Romain z małą, czarną raną w skroni.

Widziałem, jak kula przeszyła serce Aldy'ego, gdy wołał: umierać, umierać z bronią robotnicy.

I widziałem wreszcie ją na bruku z piersią przeszytą bagnetem: leżała z zastygłemi oczami. Armata najeżdżała na jej ciało: koło mnie stało ze dwudziestu robotników, krzyknąłem i rzuciłem się naprzód.

Armata była nasza: w kołach jej utkwiło ciało Kati zdruzgotane w przeraźliwy sposób.

Było to ostatnie zwycięstwo.

Padłem ranny. Ocaliła mnie cudem prawie rodzina jakiegoś robotnika.

Dwoje starych ludzi strzegło mnie przez dwa miesiące w jakimś lochu.

Gdym wstał z łóżka i odjeżdżał, płakali: mieli pięciu synów przed komuną, zostały im tylko ich bohaterskie imiona.

Ostatni dwunastoletni był tym, który zatrzymamany przez wersalczyków, prosił o pozwolenie oddania matce zegarka i oddawszy wrócił, aby paść pod jakimś murem przeszyty przez kule.

4.

W Zürychu zastałem całe mnóstwo znajomych. Wracającego z pobojowiska Komuny, opalonego w tym wielkim płomieniu dziejowym przyjmowano z otwartemi rękami wszędzie. Poznałem teraz wielkiego rosyjskiego filozofa Ławrowa. Kiedyś, kiedy ludzkość oceni już i zrozumie ten olbrzymi i cudowny proces tworzenia się i powstawania nowoczesnej świadomości, światopoglądu wolnej rządzącej sobą pracy, Ławrow zajmie należne sobie miejsce obok największych i najbardziej zasłużonych: należy mu się ono z prawa, jako temu, który przypominał nieustannie, że treść historycznego zadania, jeżeli ma być dokonane, musi się stać treścią życia ludzi, którzy pragną być świadomymi pracownikami historyi. W czasie, gdy zmechanizowanie powszechne zagraża nawet tym formom życia duchowego, w których samoistność jest najkonieczniejszą, w czasie, gdy człowiek uczy się myśleć nawet o samym procesie historycznym, którego ma być świadomym współtwórcą, jako o czemś bezwiednie dokonywającym się poza jego plecami, Ławrow bronił zasad samodzielności człowieka. To, co człowiek czyni musi on uważać za swoją odpowiedzialność, musi przyjmować odpowiedzialność za wszystko, w czem bierze udział, do czego

przyczynia się całem życiem swojem, — gdyż inaczej demoralizuje sam siebie. Zrzucanie z ludzi odpowiedzialności za ich czyny, przyzwyczajanie ich do tej myśli, jest budowaniem i rozwijaniem w nich psychiki niewolniczej. Nasza swoboda sięga tak daleko, ten sam ma okres, co i nasze poczucie odpowiedzialności. W sporach z miejscowymi europejskimi socyalistami, nowej, zmodernizowanej, parlamentaryzującej odmiany, Ławrow doskonale obnażał właściwą treść, kryjącą się poza zasłoną naukowej wiary. Warunki ekonomiczne działają nieustannie, tak, jak jakieś potworne młoty nie przestają kuć i pracować w wielkiej mennicy ludzkości, mówił on, uśmiechając się ironicznie: tak, tak moi współobywatele, poprzestańmy na warunkach ekonomicznych, one już same przez się, bez waszej woli i wiedzy wykują z was: wyborców, wyborców, wyborców. Warunki ekonomiczne, mówił on, są jak mennica wytwarzająca w geometrycznej progresyi biuletyny, biuletyny rosną, rosną, aż Bismarckowi głowa łysieje, nie prawdaż moi przyjaciele? W tym czasie parlamentaryzm stawiał dopiero pierwsze kroki w socyalizmie europejskim. Ławrow miał słuszność jednak już i wtedy, mówiąc: byle tylko te warunki ekonomiczne nie zapomniały wykuć inteligencyi w panach posłach. Miejscowy leader grupki socyalistycznej, adwokat Ehrlich, pan o pięknej brodzie i wielkiej inteligencyi, która pozwoliła mu ożenić się z córką milionowego piwowara, oczarowanej przez głębokość jego filozoficznego światopoglądu, piękny głos i nie

mniej piękne łydki, którymi popisywał się on chodząc w turystycznym kostyumie, nie posiadał się z gniewu, wobec tego zacofania rosyjskiego. Postępowość zaś Ehrlicha miałem sposobność ocenić przy sposobności więcej niż poważnej. W Zürychu spotkałem znowu Nieczajewa. Był on rozstrojony i rozbity moralnie. Europejskie stosunki przytłaczały go. Miał on poza sobą jakieś ciężkie przejście z Bakuninem, o którym wyrażał się z wielką goryczą. Spotkanie z nim dla mnie było w tym czasie przykre. Nieczajew pozbawiony wszelkiego zatrudnienia, miał jakąś chorobliwą namiętność do grzebania się w życiu wewnętrznym innych, najbrutalniej w świecie omawiał wspomnienia najbardziej obolałe. Z komuny paryskiej wyszedłem w stanie całkowitego oszołomienia. Dopóki byłem chory i leżałem w schronieniu, które zawdzięczałem moim zacnym, nieszczęśliwym przyjaciołom, myśl podtrzymywała samą siebie w stanie jakiejś nieustającej ekstazy, usiłowała wypracować i utrzymać ten nastrój, jaki panował na ostatnich, broniących się jeszcze barykadach. Nadziei nie ma już żadnej, nie walczy się dla żadego zwycięstwa, ale przecież się ma to, czem się jest. Swoboda jest nie gdzieś tam w odległej przyszłości: tu przecież żyje ona na stosach tych oblanych najszlachetniejszą, dymiącą się jeszcze krwią kamieni. Swoboda już jest zrealizowana i jeszcze rządzi na tej swojej groźnej najeżonej lufami karabinów, sypiącej kulami piędzi ziemi. Tem powietrzem swobody, na straży której stała rozpacz, oddychałem jeszcze póki le-

żałem sam w swojej suterenie, póki jedynym towarzyszem moim byli pięciokroć osieroceni staruszkowie. I oni i ja potrzebowaliśmy wiary, że śmierć jest lepsza niż życie, że niema w niej nic groźnego, że jest ona jak jakiś czysty, śnieżny szczyt nad skrwawioną ziemią. Nie myślałem o tem, że jednakże niekonsekwencyą jest z tego punktu widzenia ta gorliwość, z jaką usiłują wydrzeć mnie moi gospodarze tej wybawicielce. Dla nich ja byłem jakby zastępcą synów, jakby ich szóstym bratem: mówiła mi przecież staruszka, że jestem bratem jej pięciu lwiąt, gdyż usynowiła mnie la Commune de Paris. Wtedy jeszcze nie myśleliśmy o innem życiu, jak tylko o nieustannem umieraniu z bronią w ręku, a to wydawało się tak łatwem. Z miasta do miasta, z kraju do kraju, iść z piosnką na ustach: Elle ne se rend pas la commune de Paris! Nie czuć się nigdy skrępowanym, zależnym, zrośniętym z żadną rzeczywistością, żyć nieustannie tem powietrzem przyszłości, które rodzi się tam, gdzie ludzie giną za duszę własną i za wolność.

Ale wyjechałem z Paryża i zobaczyłem życie. Zobaczyłem, że ono jest tak samo codzienne, beztroskliwe, obojętne, jakby nie wchłonęło tych olbrzymich potoków krwi ludzkiej. Na glebie użyźnionej przez trupy robotników paryskich rozrastała się bujna, zdrowa powszedniość, pozbawiona wszelkiego demonizmu.

I ludzie nie wiedzieli znowu nic.

Nie wiedzieli, że wszyscy razem biorą udział w zmowie i nie wiedzieli, że zyski z ich akcyi, ka-

pitałów to nieopłacona krew ludzka; nie wiedzieli, że zyski z ich domów, to skutki prawa, które skazuje miliony dzieci na choroby i śmierć z powodu braku powietrza i słońca. Oni znowu nie wiedzieli nic. Żyli, jak lunatycy, pocieszając się tem, że ich życie jest bez znaczenia, że nie spełniają żadnych wielkich zbrodni, żadnych nadmiernych okrucieństw. Skłonni byli nawet uznać, że Thiers może przebrał miarę: zwłaszcza, gdy wyziewy z trupów zaczęły rodzić epidemię. Oni wszyscy czuli się przeciętnymi powszednimi ludźmi. W przeciętny sposób wyzyskiwali, licytowali, handlowali kobietami, gilotynowali złoczyńców, w przeciętny sposób ustanawiali prawa zabezpieczające trwanie niezamącone tej przeciętności, w przeciętny sposób rodzili się, kochali i umierali. Zobaczyłem znowu naszą kochaną Europę towarzyską: środowisko, w którem wszystkie myśli, wszystkie pojęcia straciły swoje znaczenie, Europę, która galwanizowała wszystkie pomarłe wiary i systematy myślowe, aby tylko nie zrozumieć siebie i swojego zadania, swojej jedynej drogi.

Teraz poczułem całą gorycz osamotnienia. Katia, która jakby spłonęła w pożarze, zginęła jak złota smuga w łunie paryskiej, wsiąkła w ziemię, jakby jedna kropla krwi wytoczonej z piersi ludu, jedno z ziarn rzuconych w rolę dziejów, stała się na nowo moją Katią, moją i na zawsze przezemnie utraconą. Przypominałem sobie, jak krótki sen, nasze szczęście, naszą idyllę więzienną.

Nieczajew widział, że się męczę czemś własnem, jemu nie znanem.

Któregoś dnia powiedział mi ze złym uśmiechem: Czy wam więcej komuny żal, czy tej spodniczki?

Uniosłem się i przestaliśmy się z nim widywać.

W tydzień jakiś po tej scenie, siedziałem w kawiarni, gdy wszedł do niej blady Martynow wołając: „aresztowano Nieczajewa, chcą go wydać Rosyi".

Zerwałem się. Nieczajew był już w więzieniu.

Zaraz rozpoczął się proces. Sąd federalny miał zadecydować, czy jest on przestępcą politycznym, czy też kryminalnym.

Staraliśmy się wszelkiemi siłami nazbierać, jak najwięcej świadectw, dokumentów, mających stwierdzić charakter polityczny działalności Nieczajewa.

Było to nadaremno jednak.

Na parę dni przed wyrokiem wiedzieliśmy już, że trybunał wyda wyrok nieprzychylny dla Nieczajewa. Trudno było uwierzyć. Ci sami liberalni dziennikarze, adwokaci, którzy zawsze byli gotowi z dumą mówić o swobodach wywalczonych przez ich ojców, ci sami adwokaci, mówcy, którzy deklamowali o barbarzyństwie rosyjskiego caratu, o niebezpieczeństwie, jakiem jest dla swobody ludów europejskich potworny despotyzm moskiewski, wydawali w ręce tego potwora, człowieka z całym spokojem, zimną krwią jakby nie wiedzieli, że pełnią policyjną, gorzej, katowską, oprawczą rolę na służbie cara.

— Co w tem nowego? — mówił mi Bołchowski.—Widzieliście, jak się zabija całe miasto, a dziwi

was, że tu zabijają jednego człowieka? Otóż, drogi przyjacielu, zapamiętajcie sobie, że kto występuje w imieniu praw pracy zagraża istnieniu wszystkich tych, co z tej pracy żyją, podkopuje same warunki ich istnienia. Jest wrogiem, którego trzeba zniszczyć, zabić tak, jak się zabija niebezpieczne zwierzę. My wszyscy jesteśmy tylko tolerowani w Europie. W momencie, w którym nadarzy się możność otwartego wystąpienia, nie będą oni nas oszczędzać. Teraz już nadszedł okres gołej zoologicznej walki. Ludzie już nie walczą o ideę, walczą poprostu o istnienie swoje. Duchowieństwo, rządy, cała maszyna przez nie wytworzona, potworna maszyna składająca się z wielu tysięcy ludzi, funkcyonujących automatycznie, jak tryby i kółka, wszyscy zahypnotyzowani przez ideę własności, wszystko to jest zawsze gotowe rozszarpać socyalistę i to jeszcze socyalistę rewolucyjnego, stawiającego czynny opór, lub wypowiadającego walkę zaczepną.

W porozumieniu z kilkunastu szwajcarskimi robotnikami postanowiliśmy odbić Nieczajewa.

Robotnicy mówili, że muszą zmyć hańbę ze swojego kraju. Kraj należy do pracujących, nie pozwolimy w nim gospodarować tchórzom.

Wszystko było umówione.

W oznaczony dzień stałem przed gmachem sądu, aby wynajętym fiakrem ruszyć za karetą, w której wieziono Nieczajewa. — Na rogu jednej z ulic miano ją zatrzymać siłą i wyrwać go z rąk oprawców.

Kareta ruszyła, jechałem za nią.

Z przerażeniem spostrzegłem, że mija ona umówiony róg.

Nie było nikogo z naszych znajomych Szwajcarów, stał tylko Bołchowski z dwoma, czy trzema rosyanami.

Zeskoczyłem z fiakra.

— Co się dzieje? krzyknąłem.

— Nie przyszli, rzekł Bołchowski.

Nieprzytomny z gniewu i bólu schwyciłem kamień i cisnąłem w okno karety. — Kamień wybił je. Jakaś znana mi twarz mignęła za szybą: plus vite, plus vite, krzyknął czyjś głos.

U wejścia ulicy pojawił się pluton policyi.

Trzeba było odejść z bolesnem przekonaniem, że z pośród nas, z wolnej Europy krwawa zemsta carska zdołała wyrwać człowieka.

Szliśmy zgnębieni.

Na jakimś placu spotkaliśmy naszych robotników, wyczekujących na coś z groźnemi minami.

— Co się dzieje — wołali oni do nas — dlaczegóżeście nie przyszli?

— Jakto? zdziwił się Bołchowski.

— Ehrlich przecież mówił, że zmieniono marszrutę.

Spojrzeliśmy na siebie. Robotnik nie kłamał.

— Chodźmy do Ehrlicha.

Nie chciano nas wpuścić, ale mój towarzysz z szwajcarską pogardą dla dobrego tonu, usunął panią domu z drogi, jak lalkę i wszedł do gabinetu.

— Co to znaczy? rzekł do Ehrlicha.

Ten dobył odrazu najbardziej uroczystego tonu: oszczędzam drogą krew proletaryatu.

Proletaryat nie prosił pana, aby pan go cenił miarą własnego tchórzostwa.

— Panie! rzekł Ehrlich.

— Daj pan spokój gestom. Tacy, jak pan, płakali w Wersalu nad błędami ludu, a Thiers ocierał im oczy z łez fałszywymi biuletynami o przestępstwach komuny.

— Frazesy, wzruszył ramionami Ehrlich.

— Ja już wiem, co mam robić, rzekł mój przyjaciel Champion. Pójdziesz z nami, gagatko.

— Dokąd? rzekł Ehrlich.

— Na posterunek policyjny, odbijemy więźnia.

— Oszaleliście chyba — oburzył się przywódca ludu. Taktyka nasza nie znosi takich prowokatorskich sztuczek. Ci panowie z Rosyi.

— Ci panowie z Rosyi będą mieli prawo pluć nam w twarz, jak ja panu pluję, jeżeli my nie zmyjemy tej hańby.

— Ja poszlę po policyę — krzyczał Ehrlich. My mamy swobodę. Poszanowanie praw obywatelskich.

Tego samego wieczora tłum z pięćdziesięciu robotników, kilkunastu studentów Rosyan i Polaków próbował wedrzeć się do więzienia.

Ehrlich telefonował już uprzednio do republikańskiego rządu. Straż była podwojona. Skonsygnowany był oddział saperów. Champion został ciężko ranny, Bołchowskiemu kula przeszyła nogę, mnie oberwała kawałek ucha. Dwie robotnice zo-

stały kontuzyowane szablami. W pięć tygodni potem Champion wypoliczkował Ehrlicha, a w rok potem Ehrlich reprezentował już proletaryat w innym kantonie. Mnie z Bołchowskim trzymano miesiąc w areszcie, później odstawiono nas po za granicę kantonu. Wyjechałem do Włoch.

VI.

Ulica Świętego Marcina.

1.

Był to chyba najcięższy w mojem życiu okres, dzisiaj jeszcze wspominam o nim z odrazą i strachem. Pozostał w mej pamięci, jak bolesny, ropiejący wrzód. Przyjechałem do Genui w stanie jakiegoś odrętwienia. Przez głowę przewijały się chorobliwe, cuchnące obrazy. W nocy budziłem się z krzykiem, w głowie huczały strzały. Pod czaszką utkwił obraz palących się domów, ciał ludzkich, miażdżonych przez tratujące konie. Zanikło wewnętrzne znaczenie tego wszystkiego: czułem się rozdartym na strzępy i wyrzuconym po za nawias życia przez potworne, ociekające krwią tryby maszyny. Tak do cna spopieliły się uniesienia tych miesięcy, wiatr rozwiał popiół i byłem sam z jakimś czadem, kłębiącym się w duszy. W tym czasie nie budziła się nawet tęsknota po Kati. Zaginęła pamięć jej uśmiechów i spojrzeń, jej włosów i jej pocałunków, jej rwącej jak potok młodej myśli. Stała mi przed oczami taka, jakąm ją widział po raz ostatni w tej ulicy: trup z przerażeniem w oczach i rozdartą piersią rzucony pod kopyta końskie. Widziałem krwawe koła tej armaty, słyszałem straszliwy trzask. Czułem ból w ręce, która schwyciła za szprychy. Pieniądze wyczerpały się. Na listy nie

nadchodziła odpowiedź. Policya położyła już wtedy swą łapę na mej korespondencyi. Z przyzwyczajenia jeszcze chodziłem na pocztę i przyglądałem się nadjeżdżającym furgonom. Podchodziłem do okienka i otrzymywałem zawsze jedną i tą samą odpowiedź.

— Niente.

Z hotelu musiałem się wyprowadzić. Policya zaczęła mi się przypatrywać. Topiły się i nikły w kieszeni ostatnie liry. Zacząłem nocowywać w porcie na kamiennych ławkach jakiegoś placu. Było mi zresztą wszystko jedno. Było lato i w nocy jeszcze dawał się we znaki upał.

Nie troszczyłem się zresztą o to. Cała myśl była pochłonięta przez ból mętny i obrzydliwy, jak dogasanie smrodliwej głowni. Rozpacz stała się stanem cielesnym. Włóczyłem ją ze sobą po tym przeklętym mieście. Zgrzytałem wewnętrznie widząc ludzi i zazierając im do głębi dusz.

To nie była filozoficzna mizantropia, byronowska wzgarda i nienawiść. Raczej pewien rodzaj fizycznego wstrętu. Postrzeganie wewnętrzne wyczuliło się tak, jak wyczula się czasem powonienie. Ziała ku mnie zewsząd ohyda życia, a jednocześnie byłem zrośnięty z nim, z tym obolałym, cierpiącym kawałem mięsa.

Nie przychodziła mi do głowy chyba myśl o samobójstwie.

Z jakiem upragnieniem czekałem teraz nocy i jej ciszy.

Złorzeczyłem wieczorem każdemu dźwiękowi,

każdemu hałasowi miejskiemu, który świadczył o trwaniu życia. Przechodzień, który mijał mnie był moim wrogiem.

Przechodziły koło mnie wrzaskliwe, pijane bandy majtków, ocierały się postacie tułaczów portowych. Tych towarzystwo było mi najlżejsze do zniesienia. Kryli się w cieniu tak, jak ja.

Miałem w tym świecie pewne znajomości.

Zrazu próbowano mnie okraść.

Wkrótce jednak przekonano się, że to niemożliwe. Podzieliłem się nawet resztkami miedzi, z którymś z obdartusów. Po paru dniach przestano na mnie zwracać uwagę. Przekonano się, że nie występuję w roli współzawodnika na żadnem żerowisku.

W tym świecie nie żądano nic od człowieka.

Nie wymagano od niego żadnych cnót.

Wyrzucone na śmietnik łachmany nie kłócą się o swoje barwy.

Naokoło mnie, żył ten świat odpadków ludzkich, widziałem jak narasta on i powstaje całkiem automatycznie.

Widziałem ludzi, którym życie upłynęło na wyładowywaniu towarów. Przenosili oni na swoich barkach produkty wszystkich stref, ale myśl ich znała tylko ten zakątek miasta, w którym żyli, kąt jakiejś izby do spania, szynkownię, do której chodzili co dzień i niejasne wspomnienia może wsi, z której wyszli. Człowiek myśli nie tylko głową, ale i całem ciałem. Plecy chore nie wyprostowujące się przez całe życie, nogi, które powykrzywiały

się pod brzemieniem ciężarów, ręce pełne odcisków stwarzają także własny swój światopogląd.

W dniu, w którym jakaś paka miażdży jedną ze stóp tragarzowi, lub gdy barki zgarbią się i staną się bezsilne — cóż zostanie mu prócz wielkiego zmęczenia i olbrzymiej monotonnej próżni, która była jego życiem?

Otaczali mnie przecież ludzie tak całkowicie zjedzeni, starci przez życie. Tu na bruku miasta o wielowiekowej przeszłości mieli naiwność nomadów, niezdolnych pojąć tego świata, który ich dusił, przytłaczał, dławił swoim życiem.

Czułem się tak samo zniszczonym, jak oni.

To, czem żyła kiedyś moja myśl wydawało mi się obcem, niepotrzebnem. Nie wydawało mi się nawet. Byłem istotnie obcy i sam. Sam, ze swoim niepotrzebnem życiem wobec olbrzymiej zastygłej bryły.

W nocy patrzyłem w niebo i myślałem, myślałem z jakąś cielesną wściekłością, że tak zejdę ze świata, nic nie wiedząc.

Wszystko się przetrawi, przepali, pozostanie fermentująca masa, która była mną, moją duszą, myślą.

I tak naokoło wszystko.

Nadejdzie przecież dzień, w którym rozwali się, zastygnie ta ziemia.

To znowu przychodziły inne chwile.

Było to najczęściej w noce, kiedy szumiało morze.

Wtedy otulało mnie tchnienie wiatru w miękkie skrzydła. Zapominałem.

Zapominałem, kim byłem i czem byłem. Myśl wysnuwała dziwnie szybkie wnioski.

W tobie tylko jest ten cały martwy świat: patrz i słuchaj: nie wyjdziesz po za granice twego zmęczonego mózgu.

A naokoło niego jest to, co jest i uderza weń tysiącami fal i drżeń.

I wtedy współczułem tej wielkiej, potężnej istocie.

W takiej chwili rodził się we mnie żal po Kati.

Zrozumiałem, że tam zginęła na bruku nie tylko szlachetna, mężna, śmiała dusza, lecz i ta rzecz cudowna, niepojęta, szczęście moje.

O jakże pragnąłem teraz szczęścia! Jakże pragnąłem życia bez rwania się po za chwilę obecną bez żalu i rozdarcia wewnętrznego!

Przypomniałem sobie wszystko, o czem nie myślałem nigdy.

Świat wesołości, świat kwiatów i śpiewu śnił mi się w krótkich rozpaczliwych błyskawicach gryzącego żalu.

Wtedy podnosiłem się i przysięgałem.

Przysięgałem swemu jedynemu życiu, które zginie, że nie będę myśleć o niczem prócz szczęścia.

Przysięgałem sercu spragnionemu kobiecej łagodności, że zabiję pamięć i dam mu wesele.

Przysięgałem ustom, że będą całowały, że będą piły życie z ust nietkniętych.

Przysięgałem im, że błądzić będą wśród pachnących włosów.

Marzyłem, że odejdę stąd precz i pójdę w jakikolwiek nieznany kraj.

Tam będę wszystkiemu obcy, nie będę o niczem myślał prócz o tem jednem: być szczęśliwym.

Miałem przecież w sobie beztroskliwość nie mającego nic do stracenia nędzarza.

Niechaj przyjdzie śmierć, ale w miękkich kobiecych ramionach.

Niechaj zagasną oczy, ale upiwszy się pięknem.

Cała istota moja wołała o miłość.

Skarżyłem się szumiącemu morzu, skarżyłem się milczącemu niebu — im wiecznym, ja — przemijający.

I sam nad sobą płakałem w głuchą noc, leżąc na zimnym marmurze.

Dobiegał mnie gardłowy, ochrypły śmiech, to gromadka włóczęgów szukała szczęścia z dwiema ulicznemi harfiarkami.

Ale w tej chwili nie drażniło mnie to.

Nie obchodziło mnie nic, nie czułem nic prócz wielkiego żalu nad sobą.

Myślałem, że mogłem ożenić się z jakąś piękną, młodą, czystą, jak kwiat, panną.

Byłem bogaty i nazwisko moje było znane w kraju.

Opowiadałem to sam sobie, jak się opowiada dziecku bajki.

A wewnętrznie skowyczało coś we mnie i wiło się.

Cały następny dzień błąkałem się bez przytomności po mieście.

Wydałem ostatni grosz i nie mogłem żadną miarą skupić myśli na tej sprawie.

Zmrok zapadał, kiedy zstępowałem ku portowi przez jedną z wązkich genueńskich ulic.

Otarłem się o jakąś postać i stanąłem: prosto w oczy patrzyła mi się parą czarnych oczu młoda kobieta. Czarne włosy wybiegały jej z pod kapelusza bezładnym splotem, na plecy miała zarzucony jasny szal. Oczy patrzyły się z bezczelną, palącą śmiałością. Objęła spojrzeniem mą postać, pogardliwie wydęła wargi, spostrzegłszy mój kostyum. Było coś wyzywającego w jej spojrzeniu.

Nie pamiętam, o com ją zapytał, zdaje się, że o drogę do portu.

Parsknęła śmiechem i zaczęła mówić, mówić z niesłychaną werwą, bez końca. Nozdrza jej rozdymały się, gdy mówiła.

Po krótkiej chwili pytała mnie:

— Czy masz pieniądze?

— Nie.

— Wcale, wcale nic?

Wtedy sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła trochę drobnych monet: mało — powiedziała.

I chwyciwszy się mego ramienia, powiedziała jakby coś zrozumiałego samo przez się: pójdziesz ze mną.

Wyróżniało ją coś nieuchwytnego z pośród dziewcząt z ulicy.

Zresztą natychmiast prawie zaczęła opowiadać. Była neapolitanką. Gdy miała 17 lat, matka ją sprzedała staremu niemieckiemu panu. Stary był bardzo bogaty i bardzo brzydki. Po dwóch tygodniach uciekłam od niego. — Nazywam się Lia, wtrąciła. — Potem wstąpiła na scenę, ale nie miała talentu. Przytem dyrektor uważał trupę swą za harem.

A był łysy i cuchnęło mu z ust. Uciekła znowu. Potem jeździła z jednym anglikiem na Sycylię. Ale anglik umarł. Teraz jest tu. — Gdy nie ma z czego żyć, wybiera sobie mężczyznę. Czasem wybiera sobie kogoś poprostu dlatego, że się jej podoba. Czy chcesz iść ze mną? Tak. Ale to nie zobowiązuje. Jesteś wolny ty i jestem wolna ja.

Zapytałem ją, dokąd mnie prowadzi.

Na ulicę Świętego Marcina, odparła. Tam jest zawsze miejsce, stary waryat ma dosyć pokojów.

W ten sposób dostałem się do schroniska Asta.

Ast był przedmiotem nienawiści całego miasta. Oczywiście jego majętnej, uprzywilejowanej, cnotliwej części. Nędzarze bowiem i paryasi czcili go.

Skazywani na śmierć mordercy jego opiece powierzali swoje dzieci i matki.

Był czas, kiedy Ast był sławny.

Był znakomitym i cenionym zoologiem. Gdy mu wytoczono proces, który mógł się źle skończyć w pismach pojawił się protest, pod którym znajdowały się podpisy Darwina, Huxleya, Milne-Edwardsa i t. p.

Naukowe prace Asta miały charakter ściśle fachowy.

Rozgłos pozyskał on w świecie niefachowej publiczności po raz pierwszy, gdy będąc jeszcze wtedy profesorem jakiegoś niemieckiego uniwersytetu, na jakimś uroczystym akcie, gdzie prócz luminarzów nauki, literatury, świata obecni byli dygnitarze kościoła i trzy czy cztery ukoronowane głowy, wygłosił referat o antropofagii. Chciano popisać

się Astem i proszono, aby wybrał coś popularnego. Trudno opisać jednak wrażenie, jakie powstało, gdy wygłosił on odczyt, którego myśl przewodnia polegała na tym, że ludożerstwo nie zanikło dotąd, i nie zanikało ani na chwilę w życiu ludzkości, zmieniało tylko formy. Najłagodniejszą i najoszczędniejszą, mówił Ast, była może forma bezpośrednia. Myślę, że każdy z nas tu obecnych, w ten lub inny sposób zniszczył naokoło siebie więcej życia ludzkiego, niż najżarłoczniejszy z Kanibalów. I spokojnym głosem zaczął wyliczać fakty. Mówił o przemyśle, o wojnie, o prawie, o kościele. Powstała burza. Astowi nie pozwolono mówić. Ofiarowano mu pensyę dożywotnią i obiecywano protekcyę, byle zechciał udać się do szpitala obłąkanych i wyzdrowieć po jakimś czasie. Ast podziękował publicznie za rangę honorowego waryata jego królewskiej mości i prosił, aby przyznano niemieckim filozofom tę swobodę, jaką mieli w wiekach średnich błaźni nadworni. Koledzy jego odsunęli się od niego. Słuchacze wybili mu okna. Ogłoszono go za francuskiego szpiega. Ast z całym spokojem dolewał oliwy do ognia. Każdy numer dziennika przynosił wiadomości o jakiejś nowej potworności przez niego wygłoszonej. Raz mówił, że tylko dzięki wiarołomstwu istniejąca forma małżeństwa, takiego jakim jest ten instytut w klasach posiadających, nie doprowadziła ludzkości do zwyrodnienia. Innym razem twierdził, że nikt z ludzi nie pracujących fizycznie nie wie, czy nie kradnie. To znowu, że najmniej potępienia godną jest kradzież karana przez prawo.

Wyroki wydawane przez sąd nazywał morderstwem, gdyż społeczeństwo hoduje to, co nazywa zbrodnią i wielkiej uczciwości biedaków przypisać potrzeba to, że przestępstw jest tak mało. Słowem Ast mówił same banalne rzeczy, i sam zresztą to stwierdzał. Tym właśnie doprowadzał tak zwaną opinię do ostatecznego szału. Wreszcie oświadczył, że człowiek nie jest właściwym przedmiotem jego studyów zoologicznych i wyjechał. W przeciągu trzech, czy czterech lat wytoczono mu kilka procesów o podburzanie do królobójstwa, podkopywanie religii i temu podobne. Usiłowano ogłosić go za niepoczytalnego, ale spotkano się z oświadczeniem tak groźnem i stanowczem kilku wybitnych psychiatrów, że trzeba było się zrzec tego zamiaru. Ast ogłosił list otwarty do uczonych, którzy wystąpili w jego obronie. Protest ich nazywał ryzykownym, gdyż nie umiał, jak pisał, wytłómaczyć sobie istnienia i utrzymywania się obecnego ustroju, inaczej, jak przez zbiorowy obłęd ludzkości. Byłoby rzeczą nienormalną, gdyby mógł istnieć przy dzisiejszym stanie rzeczy człowiek psychicznie zdrowy, gdyż już i fizyczne zdrowie jest nieprawdopodobieństwem i istnieje jako abstrakcya. Co najwyżej trzeba przyznać, że różne zawody i formy obecnego życia wymagają dla wytrwania w nich różnego stopnia rozstroju władz umysłowych. Przypuszczam naprzykład, że stanowisko monarchy, księcia kościoła lub papieża może być zajmowane jedynie przez jednostkę o wysoko rozwiniętym rozkładzie wszelkich wyższych koordynacyi psychicznych, wyrobionych przez

ludzkość w ostatnim okresie jej życia. Każdą sposobność, jaką nastręczały mu władze reprezentujące istniejący porządek rzeczy, wyzyskiwał Ast natychmiast; i najbezpieczniejszą rzeczą było zostawić go w spokoju i pozwolić, aby o nim zapomniano. Osiadł on wreszcie w Genui, gdzie osłaniała go podobno protekcya Garibaldi'ego i jak on twierdził szczęśliwa kuracya przeprowadzona przez niego na ulubionym wierzchowcu króla Wiktora Emanuela. Koniowi temu, jako protektorowi i obrońcy swobody myśli ludzkiej w Europie zadedykował Ast jeden ze swych utworów. Zresztą czasy ostatnie przeszły dość spokojnie dla Asta. Opracowywał on swe duże dzieło o morfologii mięczaków i od czasu do czasu tylko odrywał się od badań tych dla jakiegoś publicystycznego występu. Bezpośrednio jednak po ukazaniu się dzieła o mięczakach, zaledwie pisma zdołały roznieść pocieszającą wiadomość, że Samuel Ast powrócił na drogę naukowych i sumiennych badań, przyczem podnoszoną była okoliczność, że dzieło jego ma cztery tomy in quarto, ukazała się mała książeczka in octavo — nosząca tytuł: S. Ast. „Religia i prawo z punktu widzenia zoologii". Myśli książeczki nie można było nazwać nowemi. Ast wypowiadał na swój sposób prawdy ustalone i znane wszystkim, co nie wyrzekli się uczciwości w myśleniu. Prawo określał on jako narzucenie przez pasożyta takich norm i warunków życia, istocie, na której pędzi on swój parazytyczny żywot, aby jej własne funkcye życiowe szkodziły jak najmniej samemu pasożytowi i koniecznościom

jego rozwoju. Religia była zdaniem Asta rezultatem zwyrodnienia instynktu. Ofiara parazytyzmu w religii przetwarzała własne swoje życie w ten sposób, aby iść na strawę pasożyta, żywić go sobą wydawało się jej największą rozkoszą. Wątpię, czy gdziekolwiekbądź w królestwie zwierzęcym mówił Ast, możemy napotkać zjawisko, stanowiące istotę kulturalnego życia ludzkości, a polegające na tem, że pasożytnicze formy zdołały wychować w swoich ofiarach wszystkie niezbędne dla rozwoju i powodzenia ich parazytyzmu instynkty. Książeczka obfitowała w mniej lub więcej dowcipne zestawienia i aforyzmy. Niedługo później Ast wydał jednocześnie duże dzieło o instynkcie wędrowniczym u ptaków, oraz broszurkę: Pchły i katolicyzm. — Mówił w niej o wpływie brudu na rozwój uczuć religijnych. Nie wątpię, pisał, że kilka pokoleń ludzkich, wychowywanych w czystości i hygienie, doprowadziłyby do całkowitej zmiany w myśli i nałogach moralnych ludzkości. Hygiena mieszkań i kąpiele są bezwzględnie szkodliwe z punktu widzenia życia religijnego. Pchła, wesz i inne robactwo są opatrznościowymi owadami i niewątpliwie żaden misyonarz, ani żaden zakon nie przyczyniły się w takim stopniu do utrzymania religii chrześcijańskiej, jak te pożyteczne owady — „religionsbefördernde Insekte“.

Samuel Ast był synem bogatego bankiera i rozpoczynając życie miał znaczny majątek. Podróże naukowe, narzędzia, urządzenia laboratoryów, książki

i cały szereg dziwactw, nadszarpnęły znacznie tej fortuny.

Nie był jednak i w tym czasie, kiedy go poznałem pozbawiony środków. Przedewszystkiem zaś posiadał na przedmieściu Genueńskiem w małej i wijącej się na szczyt wysokiego dość wzgórza uliczce, ogromny, zrujnowany pałac z ogrodem. Ogród i pierwsze piętro zajmował sam Ast wraz ze swojemi książkami i zwierzętami, pozostałe piętra zajmowane były przez lokatorów.

Lokatorem Asta zostawał każdy, kto chciał. Dość było wprowadzić się i zamieszkać. Mieszkała tu jednak taka nędza, że żaden człowiek o mieszczańskich zasadach nie decydował się nawet w ostateczności korzystać z tego przytułku. Księża opowiadali straszliwe rzeczy o tem, co dzieje się w tem piekielnem schronisku starego złoczyńcy. Szczególniej powstawali przeciw Astowi, gdy schronił się tu i znalazł w nim przyjaciela młody Guido Rienzi eks-ksiądz, który tu zamieszkał z „cyrkówką“ jak pisały klerykalne dzienniki, — a właściwie z młodą i utalentowaną artystką neapolitańskiej sceny. — Żaden teatr nie ośmielił się jej zaangażować i młoda para umarłaby z głodu, gdyby nie opieka i przyjaźń starego zoologa.

Do tej „piekielnej jaskini“ zaprowadziła mnie Lia.

Było już całkiem ciemno, gdyśmy tu zaszli.

W obszernej sieni minęliśmy starego człowieka o wielkiej, siwej brodzie. Przeszliśmy obok niego nie zatrzymując się. Weszliśmy po pięknych marmurowych schodach. Z nisz wyzierały poobtłuki-

wane kolumny. Przeszliśmy cały szereg pokojów i sal. Koczowali tu na posadzce i na różnych fantastycznych sprzętach rozmaitego stylu i pochodzenia różni ludzie: dzieci kręciły się po wielkich pokojach. Gdzieniegdzie paliło się światło, koło niego kobieta jakaś naprawiała odzież.

Na drugiem piętrze jest swobodniej, powiedział ktoś. —

— Bezrobotnych jest dużo, rzekła Lia.

Oni zajmują tę część domu. Teraz są same kobiety tylko i dzieci, ale na noc zapełni się to wszystko.

Weszliśmy na drugie piętro.

Tu mieszkali bardziej stali lokatorzy Asta.

Jakaś młoda kobieta o wylęknionym spojrzeniu przywitała Lię.

— Znowu tu? powiedziała. Czerwony pokój jest wolny, tam nawet jest łóżko.

Minęliśmy cztery, czy pięć pokojów. W jednym z nich leżał na tapczanie mężczyzna o czarnej brodzie i prześlicznych smutnych oczach.

— Znowu tu signorina, odezwał się. I znowu la donna e mobile, uśmiechnął się.

— On bił się za komunę, powiedziała Lia, pokazując mnie, jak gdyby była w tem jakaś racya.

— Francuz? — zapytał mężczyzna.

— Nie, Polak.

— Gdzieście się bili? pytał jeszcze wymieniając kilka ulic.

Odpowiedziałem.

— Nie byłem tam, rzekł.

— Byłem przy ulicy Walentyna, barykada tam

była: biliśmy się trzy dni. Dowodził nami jakiś młody rosyanin, parę słów tylko umiał po francusku.

— Le prince Calmuc, powiedziałem.

— C'est ça! Le prince Calmuc!...

— Potem mnie ranili. Opatrzyła mnie także rosyjska dama. Ona chodziła po wszystkich barykadach. Byli ranni — opatrzyła; nie było — brała karabin. Piękna była.

— Katia! krzyknąłem.

— Tak, tak, rzekł mężczyzna. Tak właśnie. Znaliście ją towarzyszu, — co z nią?

— Zginęła, powiedziałem, w przedostatni dzień.

— Nasza Katia nie żyje, rzekł mężczyzna do kobiety, która krzątała się przy kominku...

Poszliśmy dalej.

Wreszcie znaleźliśmy czerwony pokój. Czerwonym był on kiedyś. Teraz z tapet zostały ślady. Szyby w oknach były powybijane. Przez okno zaglądały gałęzie jakiegoś drzewa, z którego sypały się kwiaty. Rozlokowaliśmy się tu.

— Jestem zaczarowana królewna, powiedziała Lia, a to jest mój zamek.

2.

Teraz zaczęły się dla mnie dnie i noce, o których dziś myślę, jak o jakimś potwornym śnie Rano budził mnie odgłos ciężkich stąpań; to wychodzili na codzienne poszukiwanie pracy bezrobotni. Szli ciężko z pochylonymi karkami, wiedząc z góry już, że idą napróżno, że znów przepędzą

dzień na bezużytecznem tułaniu się po mieście, wylegiwaniu się po kamiennych ławkach pod palącem słońcem. Wiedzieli to, a nie mogli zostać, żony i dzieci patrzyły na nich i czekały. Ich nieobecność to była nadzieja. W tym czasie kasa Asta była całkiem próżna. Z wielkim trudem zbierał on, żebrząc prawie, drobne kwoty, zaledwie wystarczające na chleb dla najgłodniejszych, na trochę mleka dla dzieci. Nadchodził wieczór i znów słyszałem te same kroki. Wracali z próżnemi rękami. Kobiety nie pytały już, znajdowały słowo n i e w pochylonej szyi, w ciężkiem zwisaniu rąk. I to był dzień i noc: rytm tutejszego życia, tutejszych moich myśli — te stąpania ludzi nie mogących znaleźć pracy. Wydawało się to fantastycznem, potwornem zmyśleniem, gdy się widziało zblizka ten beznadziejny deptak, w którym kręcili się ci ludzie o silnych ramionach. Było to jednak dopiero tło, na tem tle występowała treść właściwa. Zguba, zatracenie, tortura codziennego wyczekiwania w setkach serc. W naszej części domu mieszkali ludzie uprzywilejowani. W ten lub inny sposób mieli z czego żyć. Żona Piotra Sabatier, tak nazywał się robotnik o kruczej brodzie — brała bieliznę do prania. Z tego utrzymywała siebie, męża i dwoje dzieci: dziewczynkę dwunastoletnią i ośmioletniego chłopca. Mąż jej został raniony w rękę i w plecy. Ta ostatnia rana zrazu wydawała się tylko draśnięciem. Po paru miesiącach okazało się jednak, że kula musiała uszkodzić mlecz pacierzowy. Sabatier stracił władzę w nogach. Teraz oczekiwał on śmierci,

gdyż rozwijała się w nim i inna jeszcze choroba: przestarzałe, nieuleczalne zapalenie nerek. Czasami zarabiał on kilka franków, malując wachlarze. Gdy nie miał roboty, wydobywał stary, zniszczony egzemplarz dzieła Proudhona o Sprawiedliwości w Rewolucyi i w Kościele i czytał je, co chwila odkładając książkę. Czytał on tę książkę po raz kilkunasty i uważał ją za księgę świętą nowoczesnej ludzkości. Wieczorami słyszałem jak rozmawiał z dziećmi. Dzieci były jego straszliwą troską. Co stanie się z niemi? Czy zdołają się uchować przed demoralizującym wpływem życia? Widziałem z najwyższym podziwem i czcią, że Sabatierowi nie tyle szło o to, aby dzieci były zdrowe i szczęśliwe, ile raczej, aby nie sprzeniewierzyły się świętej sprawie pracy. Każdy człowiek żyje tylko raz i gdy swojego życia nie uchroni, gdy pozwoli, aby ono było grzybem szkodliwym na ciele ludzkości — takim zostanie już na wieki. Słyszałem jak tłómaczył on im to nieustannie. Nic nie znaczy umrzeć, mówił. Umiera się ciągle, nie dostrzegając tego. Idzie o to, czem się jest. Nieustannie powtarzał on: Żyć zawsze z pracy — brać tylko pracę za pracę, — ale tych swoich praw bronić. Pamiętajcie, że wszystko zawdzięczacie ludziom takim samym, jak wy — pracującym. Nie wierzcie nigdy w żadnego Boga. Człowiek, który mówi o Bogu, zapomina o człowieku, krzywdzi nieustannie kogoś. Jedyny Bóg to jest ludzka praca, ona jedna chroni człowieka w świecie. Dzieciom tłomaczył on wszystko. Nie miał przed nimi żadnych tajnych myśli.

Nie ukrywał przed nimi historyi życia Amelii. Amelia była to ta młoda kobieta, która spotkała nas u wejścia. Gdy się patrzyło na nią, spuszczała ona oczy, które były najczęściej zapłakane. Historya jej była więcej niż prosta. Była nauczycielką, dawała lekcye: wszystkiego po trochu: muzyki, śpiewu, arytmetyki, rysunków. Biegała z ulicy na ulicę. Utrzymywała z lekcyi chorą matkę. Miała dwadzieścia sześć lat, nie była ładną, miała tylko pewną słodycz w twarzy i wdzięk wielkiej dobroci w oczach. Przed rokiem zaczęło jej brakować lekcyi. W tym czasie spotkał ją ktoś, kto ją zapewnił, że mogłaby zarabiać parę set franków, jako śpiewaczka w jakiemś mieście prowincyonalnem. Bieda była coraz dokuczliwsza. Powiedziawszy matce, że wyjeżdża na posadę nauczycielki, zostawiła ją na opiece krewnej, podpisała jakiś kontrakt i wyjechała. Gdy przybyła, od pierwszej chwili zrozumiała, że czeka ją coś złego. Dyrektor chóru, czy też filharmonii, jak to się nazywało, był właścicielem restauracyi. Wieczorem przyniesiono jej jakiś kostyum i kazano jej iść na estradę. Śpiewała nie wiedząc sama co. Po koncercie towarzyszki jej zbiegły na salę i rozeszły się między gości. Ona stała bezradna — wreszcie cofnęła się do garderoby. Po chwili wpadł za nią dyrektor.

— Na salę, na salę!

Nie chciała iść. Całowała go po rękach...

Dyrektor wreszcie zrozumiał, jaka gratka wpadła mu w ręce. Niewinna, nieświadoma nauczycielka.

Na jedną chwilę przestał nalegać i gdzieś znikł zaaferowany.

Po jakiejś pół godzinie wrócił.

— Tu niema żartów, powiedział. Na salę!...

Gdy zaczął się szamotać z Amelią, otworzyły się drzwi, jakiś młody pan krzyknął ostro na brutala.

Dziewczyna nabrała otuchy. Młody pan był niezmiernie grzeczny, mówił o podejściu, co chwila deklamował: *Mademoiselle.* Mówił, że jest adwokatem, że napisze skargę. Weszli do jakiegoś pokoju. I tu Amelia poznała po raz pierwszy „miłość“ mężczyzny. Tego samego wieczora mieli ją jeszcze w swych objęciach młody porucznik i opasły mer. Odtąd stało się w świecie męzkim miasteczka sportem ulubionym „zadziwić“ nauczycielkę. Obmyślano całe kombinacye podłości i brudu... Tak przeszły długie miesiące, aż znalazła się Amelka w lazarecie.

Tu, dowiedziała się o śmierci matki.

Po wyjściu ze szpitala została sama, zalękniona, znękana. Zachowała w twarzy wyraz dawnej dziecinnej dobroci. Gdy nie miała z czego żyć i szła „zarabiać“, myślała tylko o jednem, by nie znęcano się nad nią i nie bito jej. Ale właśnie ta jej dziwna prostota, dobroć i trwożliwość podniecały do bestyalstw, i ciało Amelki zawsze prawie było w sińcach, oczy zawsze zapłakane.

Włóczył się teraz za nią jakiś mieszkający z nami ormianin czy gruzin, człowiek, który wszędzie był, o wszystko się obtarł i czynił teraz wrażenie zatłuszczonego, zużytego banknotu.

— Ona nie wie — mówił patrząc na Amelię i cmokając, ona nie wie, co w niej jest. Ona już prostytutka cały rok, a zawsze jeszcze jak panienka.

Maniery i tak wszystko *aller causer*. Ona mogłaby majątek mieć.

Wschodni człowiek, dowiedziawszy się, że jestem z Rosyi, nabrał do mnie zaufania. Widząc mój stosunek z Lią, miał mnie za sutenera.

Wywnętrzał się więc przedemną dotąd, dopókim go za projekt o utworzeniu spółki z Lią i Amelią jako kapitałem zakładowym, mocno nie poturbował.

Ormianin nie bronił się wcale, gdym skończył, rzekł:

— Nie — to nie, a dlaczego bić? A to taki kontrast, taki kontrast. Każdy poczuje.

Opowiedziałem całą historyę Sabatierowi i młodemu robotnikowi bez zajęcia Paolowi. Ormianin znikł z naszej części mieszkania.

W jednem nie pomylił się on jednak.

Stosunek mój do Lii mógł być nazwany tak, jak on go określał.

Wiedziałem, że znika ona gdzieś i że ma pieniądze, jednak nie rozstawałem się z nią, nie pytałem o nic.

Przychodziła wieczorem, kładła się koło mnie, oplatała mnie swojemi ramionami, całem gibkiem ciałem.

Była jak letnia noc pełna zapachów i pieszczot, zawsze nieprzewidziana i zmienna.

Byłem jakby w gorączce, oczekując, aż nawiedzi mnie upragniony, dławiący rozkoszą koszmar.

Mówiliśmy mało z sobą.

Czasami w noc ona zaczynała fantazyować.

Mówiła, że chciałaby być panią, wiecznie młodą i mieć obok siebie wszystkich, których kocha.

Którejś nocy była czulsza, namiętniejsza, niż zawsze. Rano zaś powiedziała: Bądź zdrów, już nie wrócę...

— Idziesz — gdzie?

— Nie.

— Więc...

Uśmiechnęła się: Ty wolny i ja wolna.

Tegoż dnia przyszedł do mnie Paolo.

Siadł i chwilę milczał. Później rzekł: Przychodzę ci powiedzieć: Ja i Lia kochamy się.

Zostałem sam.

Gorzej niż sam, bo powietrze pełne było Lii, bo słyszałem za ścianą jej śmiech i pocałunki.

Były noce, kiedym myślał, że wstanę, wbiję w piersi Paola sztylet i wezmę, wezmę za włosy, tę piękną śmiejącą się żmiję.

— Nigdy, nigdy nie nienawidziałem tak gorąco siebie.

Zachorowałem.

Leżałem w gorączce. Leczył mnie i odwiedzał stary Ast.

Zaprzyjaźnił się on ze mną i ja go pokochałem.

Jemu można było powiedzieć wszystko. Opowiadałem mu o Lii, o zazdrości. On się niczemu nie dziwił. Nie potępiał nigdy nikogo i niczego. Nie widziałem człowieka, który byłby tak, jak on mądrze dobry.

Którejś nocy wpadła do mnie Lia.

— On mnie zabije!... wołała.

Istotnie wbiegł za nią Paolo.

— Suka!

Widziałem jak jego pięść spadła na piękne ramiona, biła po twarzy.

Zerwałem się, rzuciłem się na niego, ale jednym ciosem powalił on mnie. Rozciąłem sobie głowę o jakiś kant, straciłem przytomność.

Ocknąłem się w ramionach Paola.

— Fratello, mówił, przebacz. Uniosłem się przez tę żmiję. Lia uciekła. Wschodni człowiek przehandlował ją jakiemuś rosyjskiemu księciu.

W parę dni potem dowiedziałem się, że Paolo został zamknięty na dwa tygodnie w areszcie policyjnym za srogie poturbowanie kuplera.

Leżałem chory i majaczyłem.

Czasami, budząc się, widziałem nad sobą twarz Amelki, czasami znajdowałem koło łóżka kwiaty.

Pytałem o nie Asta, lecz on wzruszał ramionami.

Wrócił Paolo. Z rozczuleniem mówił, że nosiła mu do aresztu Amelka czystą bieliznę, którą sama prała, wino, owoce, chleb, wędliny i kwiaty.

Amelka znikała, gdy mówił o tem i słyszeliśmy tylko z poza ściany jej szalony, dziecinny płacz, bolesne, nieutulone łkanie.

Paolo tłukł pięścią o stół i szukał noża.

— Powiedz ty mi, pytał, gdzie ona ma serce.

— Kto?

— *Questa infame vita.* Aby w samo serce ugodzić bestyę. Ja muszę zobaczyć sprawiedliwość.

— Krew jest bezpłodna. Krew jest zawsze bezpłodna, rzekł Sabatier.

Paolo nie chciał słuchać.

— Ja nie chcę nic wiedzieć, wy mi znowu będziecie mówić o tem jak będzie kiedyś. Będziecie im mówić, co jest rozumnie. Co Amelce z tego, co będzie. Kto wróci jej życie? Dlaczego ją wdeptano w błoto. Nawet nie była ładna. Podobała im się, bo jest jak dziecko. Ktoś musi być winien.

— Nikt nie winien. Każdy jest tem, czem musi być. Niewinni gubią się wzajemnie. I na to niema rady. —

— Ty jesteś filozof, rzekł Paolo. Tak, czy owak mnie musi ktoś odpowiedzieć. Wszyscy niewinni. Nieprawda. Tyś winien, ja winien, on. Każdy z nas winien, że znosi. Za każdą krzywdę śmierć. Za każdą zgubioną dziewczynę, za każde cierpienie śmierć.

— Ale kto ma ginąć?

— Ktoś przecież musi odpowiadać. Nie może być tak. Ksiądz deklamuje o sprawiedliwości. Winien mi jest sprawiedliwość zatem. Rząd karze i sądzi. Kto ma władzę, kto śmie mieć władzę i znosi to życie, ten winien.

Zaczęła się teoretyczna dysputa.

Ale Paolo nie argumentował, tylko groźnie potrząsał głową.

Śmierć, śmierć za to, że to wszystko trwa.

3.

Stary Ast chodził rozpromieniony. Od trzech dni miał pieniądze. Sfery rządzące trzęsły się z gnie-

wu. Stary waryat, demagog i księżniczka krwi, księżniczka Jolanta. To było wprost potworne, jak mogli oni się spotkać. Ochmistrzyni otrzymała dymisyę. Usiłowano przekonać księżniczkę. Tu jednak sprawa okazała się nie łatwą.

Tak ma być. Księżniczka była gościem,— miała dwadzieścia lat, silną wolę i cudne oczy. Gdy szambelan, sędziwy staruszek, liczący na powagę wieku zrobił jej ojcowską uwagę, księżniczka zażądała listy osób, których nie chciała widzieć i wpisała na nią jako numer pierwszy nazwisko szambelana. Spowiednika zapytała się, odkąd jest grzechem karmić głodnych i radziła mu, aby się ćwiczył w pokorze chrześcijańskiej. Steroryzowała całe otoczenie i widywała codzień Asta. Ast porobił też pewne ustępstwa: przywdział czarny tużurek, nosił w butonierce gwoździk i rozczesywał swą wspaniałą brodę. Przytem stał się dziwnie rozmowny i miał zawsze ochotę do pogawędki. W tym czasie, dzięki niemu poznałem po raz pierwszy wielką pracę Marxa. Ast czytał ją już i na jego egzemplarzu widziałem mnóstwo notat, wykrzykników i całe polemiczne rapsodye, pospisywane na marginesie. Na mnie książka zrobiła oszałamiające wrażenie. Nie umiałem zapanować nad jej treścią i czułem zupełnie wyraźnie, że mam do czynienia z całością myślową, przerastającą mój świat myślowy. Widziałem znikające mi w oczach rozczłonkowania myśli. Ast był dla Marxa pełen szacunku. Nadzwyczajnie zorganizowana głowa: jest wprost niepodobieństwem, aby to było rozumiane, ostatecznie granice naszego

rozumienia są zakreślone przez strukturę i funkcyonowanie naszego mózgu. Kto może koordynować, co najwyżej dwa, trzy szeregi pojęciowe — nie będzie w stanie zrozumieć myśli tego, kto koordynuje ich 6 lub 7. Będzie miał zawsze tylko do wyboru pomiędzy różnemi jednostronnościami. Po paru dniach jakoś przyniósł mi artykuł francuski o Marxie: oni z niego już religię robią. Nowy rodzaj opatrzności. Maszyny się rozwijają, doskonalą, w końcu cały świat jest doskonale działającym za pociśnięciem guzika mechanizmem, cała praca jest zredukowana do pociśnięcia owego guziczka, a ludzkość zamienia się w lazaronów, przychodzących codziennie po swoją pensyę, produkowaną i płaconą mechanicznie i odrazu w naturze. Oni z niego zrobią nową teologię, zobaczysz!

W kilka dni potem, mówił: — Wogóle nie należy mieć wygórowanych wymagań — trzeba pamiętać, że człowiek niema żadnych, ale to żadnych gwarancyi, że do czegoś dojdzie — ot gra on sobie w orła i reszkę o samego siebie, z czemś, co się wcale ani o niego, ani o wygraną lub przegraną nie troszczy.

Pisał on w tym czasie zoologiczną, jak się wyrażał, krytykę Hegla. „Hegel, mówił on, powiada: Wszystko jest rozumne. To mogło było być bardzo głębokie i daleko prowadzić, gdyby Hegel nie zamykał oczu, myśląc. Wszystko jest rozumne. Mój rozum powstał z wszystkiego. Teraz przyjrzyj się pająkowi, albo głowonogowi, przyjrzyj się dokładnie całej ich budowie i wszystkim obyczajom i zrozum:

ot właśnie z takiej oślizgłej galarety, z takiego drapieżnego włochatego cielska, jakiem jest naprzykład pająk, wydobył się i wyrósł ten osławiony rozum, którym się szczycę. Myśl powstawała z wszystkiego. Wszystko drapieżne i obmierzłe, kłębiące się w nawozie i ulatające pod niebiosa, wszystko robiło nowe doświadczenia, czuło, w ten sposób z tych doświadczeń, tych czuć narastała myśl. Nie z żadnych podniebnych sfer, ani międzygwiezdnych eterów spadła ona, ale właśnie z tego ruchomego gnoju wyrosła. Oto i masz i jest prawdziwy sens: wszystko jest rozumne. A Hegel myślał, myślał tak długo, póki mu się tasiemce nawet, albo wesz nie zmieniły w emanacyę trójcy świętej, a później wołał: wszystko jest rozumne; tak to nie trudno było. Nie trudno powiedzieć pająkowi: kocham cię, bo jesteś Bóg, co siebie nie zna, albo do węża dusiciela: jesteś utajony rozum. Słuszniej byłoby powiedzieć: nie zrozumiemy siebie, ale jeżeliś ty powstał z tego samego świata co i ja, to i na dnie mojej duszy musi być coś pajęczego. I możnaby odnaleźć ich dużo tych zwierzęcych zoologicznych kategoryi w duszy człowieka, w myśli i rozumie jego. Nic innego prawie w nich jeszcze niema. I ja nie radzę wierzyć w myśl. Myśl powstała tylko z uogólnień tych warunków życiowych, tych potrzeb, pod uciskiem których wyrastał człowiek. Wytwarzano ją nietylko w gabinetach. Nie — gabinet uczonego, pisarza — to już, że tak powiem, dystylarnia, która z rozmaitych cuchnących paskudztw produkuje płyn czysty i bezbarwny. Nie.

Ona rodziła się wszędzie. W tych głowach, z których czyngishany różne budowały piramidy i w głowie samego czyngis-hana. W głowach i ciałach niewolników sprzedawanych na rynkach, kobiet sprzedawanych do haremów — wszędzie tworzyła się myśl. Teraz zaś człowiek przychodzi do niej i mówi: zbaw mnie. Na niej są wszystkie nasze brudy, blizny i wysypki wszystkich naszych chorób. Cokolwiek bądź przeżył człowiek — to żyje dziś w jego myśli. A człowiek przeżył nieskończenie wiele. Nieskończenie wiele rzeczy, o których oświecona myśl przypomnieć sobie nawet nie śmie, tak są straszne. A one są w niej i ona ma na dnie to wszystko."

Najczęściej jednak mówił o Jolancie.

Mówił o tem, że ona jest podobna do postaci z Shakspear'a, że nigdy nie wyobrażał sobie, aby gatunek ludzki mógł tworzyć podobne istoty bezpośrednio w przyrodzie, w rzeczywistym świecie, a nie w mózgu genialnego poety.

— To nie jest rzeczywisty świat, mówił Paolo. To jest wielka scena życia. Scena, którą kosztem krwi i niezliczonych wysiłków utrzymują narody, a potem kiedy tam wszystko błyszczy, pachnie, mieni się i skrzy od barw i przepychu, biedny Kaliban podziwia, że jego nędzne oczy, mają szczęście oglądać takie cudy.

— Piękno jest wszędzie, zawsze podziwu godne, mówił Ast. I zawsze pozostaje w ludzkości. Gdziekolwiekbądź żyje piękny, podziwu godny człowiek,

w książęcym pałacu, czy w mansardzie, pomnaża bogactwo wewnętrzne i wartość ludzkości.

— Ile życia ludzkiego, ile ludzkich istnień idzie na jedną taką księżniczkę Jolantę?

— Życia byłyby również zmarnowane, gdyby była ona zwykłą salonową gęsią o płytkiej duszy i wielkich nogach.

Paolo był nieubłagany.

— Jakie imiona wymyślają oni sobie: „Jolanta" — mówił. Tak może się nazywać kwiat albo gwiazda. Czy może się nazywać tak człowiek? Widziałem ją na ulicy. Jest naprawdę jak gwiazda i jak kwiat, jest piękna, jak księżniczka z bajki, możnaby się na nią zapatrzyć, można się do niej modlić gdy przechodzi. Usta mimowoli mówią: błogosławiona ziemia, która cię wydała, błogosławiona chwila, w której oczy moje widzą ciebie, błogosławiony wiatr, który muska twoje włosy. Gdy spojrzała na mnie, czułem się winnym wobec niej. Gotów byłem mówić: dobrze mi jest, nazbyt dobrze. Nie zasługuję nawet na taki los. Ja, który jestem pełen brudu, gniewu i zawiści, ja nie powinienem istnieć na ziemi, po której ty chodzisz, nie powinienem oddychać powietrzem, którem ty oddychasz, nie godzien jestem żyć, tak jestem mały.

— Mówisz o niej goręcej, niż sam stary Ast, zaśmiał się Sabatier.

— Dlatego właśnie nie powinny żyć takie istoty, nie powinni żyć ludzie, którzy muszą się stać bogami, religią nędzarzy. Nikt nie jest tak bezinteresowny, tak skłonny do marzeń, jak nędzarz. W tym

dniu, gdy gdzieś dla mnie moja biedna Amelka starała się zarobić kilka soldów za cenę całkowitego zaprzepaszczenia swej istoty, ja gotów byłem błogosławić ziemię i słońce i przysięgać, że wszystko jest cudownie piękne i dobre, byle była tylko szczęśliwą księżniczka Jolanta.

— Wszystko jest piękne i dobre, niech tylko księżniczka Jolanta będzie szczęśliwą — powtórzyła Amelka wysuwając z za drzwi swą twarzyczkę, która w tej chwili była pokryta szczęśliwym rumieńcem. Jej oczy śmiały się wesoło i niemal zalotnie.

Miała w ręku bukiecik białych kwiatów i podnosząc do góry wołała:

— Dzisiaj rzucę ten bukiet do powozu księżniczki Jolanty i zawołam, że to kwiaty od mojego Paola. Powiedziała „mojego Paola“ i stanęła okryta ponsem.

Ale Paolo uśmiechnął się.

— Tobie wolno mówić: niech będzie szczęśliwa księżniczka Jolanta, ale tylko, kiedy się śmiejesz, kiedy płaczesz, nie wolno ci mówić tego nigdy.

— Kiedy jestem wesoła, to mogę nie myśleć o Jolancie, odpowiedziała Amelka i wyszła nucąc coś.

Wieczorem tego dnia nie wróciła.

Nie niepokoiliśmy się tem, tylko Paolo był nie swój i chmurny.

— Ona gotowa sprzedawać samą siebie, aby dla niej kupować kwiaty; takie to są te dziewczyny.

— Gdyby Amelka nie była taka, jaka jest, nie mogłaby pozostać tak całkiem uczciwym człowie-

kiem — rzekł Sabatier. Mało znam tak uczciwych ludzi, jak ona.

Nauka mistrza Proudhona, nie pozwalała powiedzieć mu uczciwa kobieta o dziewczynie, która sprzedawała swą miłość. Miękkie serce nie pozwalało mu potępić Amelki, którą kochał i szczerze szanował. Stworzył więc sobie swoją pojednawczą formułę.

— Dopuszczacie się pewnych sofisteryi, ojcze Sabatier, żartowałem.

Uśmiechnął się on do mnie. Był to chyba ostatni jego wesoły uśmiech.

Tej nocy pogorszyło mu się nagle i wezwany Ast, namyśliwszy się, rzekł: — odwagi, stary przyjacielu.

Sabatier prosił go, aby uprzedził go, gdy śmierć będzie blizko.

Stary robotnik popatrzył na niego niewysłowionym wzrokiem, tak silna była w nim rozpacz.

Znałem jej powody.

Bał się on o dzieci. Bał się on, że zabierze ich jemu po śmierci życie, że wpędzi ich na swój krwawy, brudny deptak. Jak uchronić ich?

Siłą jedyną, jedyną, jaką znał on, byli sami ludzie.

Same one i matka muszą się stać dla siebie jedyną opatrznością:

Śmierć Sabatiera była jedną z tych scen, o jakich mówią nam pisarze klasyczni, malując cnotę ostatnich republikanów rzymskich i mędrców greckich.

Tracił on przytomność, zbudzone dzieci stały koło jego łóżka. Żona klęczała obok niego. Bądź

spokojny Piotrze, mówiła, — poważna i surowa. Bądź spokojny. Uchronię nasze dzieci. Będę im ojcem i matką, a choćbym umarła, one nie zapomną już nic. Nie bój się: one nieszczęśliwemi być mogą, ale nie sprzeniewierzą się prawdzie, nie sprzeniewierzą się sprawie pracy i sprawie swobody.

Nad ranem Sabatier stracił mowę.

Wtedy właśnie przyszła policya. Amelkę znaleziono w jednej ze spelunek portowych zabitą, z śladami ohydnego, zwierzęcego znęcania się nad jej trupem.

Policya przyszła dowiedzieć się, czy kto może ustalić tożsamość jej osoby.

Brygadyer, pytając się o nią, nazwał ją płaczliwą prostytutką. Tylko użył innego, ludowego wyrazu.

— Jak mówisz? ryknął na niego Paolo.

Brygadyer odpowiedział jakimś przekleństwem, a później, opisując, w jaki sposób znaleziono trupa Amelki i w jakim stanie pozostawił morderca jej biedne zwłoki, — skończył wyzywająco patrząc na Paola: suce psia śmierć.

Paolo nie odpowiedział nic, uśmiechnął się tylko dziwnie.

Rano znikł z domu, uścisnąwszy rękę umierającego Sabatiera.

Przeszło kilka godzin i nagle rozeszła się wieść: Księżniczkę Jolantę, gdy przejeżdżała powozem, ugodził ktoś z tłumu sztyletem.

— Paolo! — krzyknąłem.

I tak też było.

W kilka minut potem dom był pełen agentów policyjnych.

Trup Sabatiera patrzył osłupiałymi oczyma, kiedy konfiskowano mu egzemplarz dzieła Proudhona.

Byliby aresztowali i Asta, gdyby nie to, że wezwano go do pałacu do konającej księżniczki.

Paolo na pół godziny przed zamachem rzucił do skrzynki pocztowej list pod adresem Jolanty.

„Chciałbym sztylet wbić w serce całego miasta. Ty jesteś najpiękniejsza.

„I gdyby miasto to miało duszę, płakałoby i wyło z bólu, gdy ty umrzesz. Nie żałuję ciebie, bo śmierć nie jest nieszczęściem. Umrzesz piękna, czysta jeszcze, nie zaznawszy żadnej goryczy, bo nie dotknęło cię jeszcze żadne zło prawdziwe. Nie chciałbym, abyś cierpiała, cierpienie jest niepotrzebne. Nie ciebie zabijam w tobie, ale wielką krzywdę świata. Dziewczyna, którą zabito dziś w porcie i zgwałcono jeszcze po śmierci — nie mniej piękną od ciebie miała duszę. Wczoraj chciała ci ona rzucić kwiaty od swojego Paola. Dzisiaj ja ci niosę śmierć od swojej Amelki. I może to jest lepszy podarunek".

Jolanta umarła wieczorem.

Ast wrócił zgarbiony, twarz jego przybrała jakąś popielato ziemistą barwę.

Jolantę chowano w dwa dni potem. Za trumną szedł tłum wygrażając i krzycząc: Śmierć zabójcom, śmierć staremu kretowi, śmierć niedowiarkom, śmierć pomocnikom szatana.

Ast postanowił nad trumną mówić. Nadaremnie zapewniałem go, że nie pozwolą mu powiedzieć

ani słowa, lub stanie się jeszcze coś gorszego, on uśmiechał się tylko i mówił, że umie się obchodzić ze zwierzętami.

Gdy po dwóch przemówieniach jakichś dygnitarzy kościelnych Ast wdrapał się na jakieś podniesienie i głosem przerywanym przez łzy mówić zaczął: Kochałem to piękne i szlachetne dziecko, które zginęło wskutek wyziewów jadowitych, jakie panują w naszem społeczeństwie, tak jak giną górnicy w kopalniach... Tłum grozić mu zaczął.

Precz z mordercą!

Ktoś o poważnej twarzy i sukni duchownej nakazał spokój tłumowi mówiąc: — To przyjaciel księżniczki.

— Judaszowa przyjaźń, wołał tłum, on wychował żmiję, która ją zabiła.

— Ją zabił nie Paolo, rzekł Ast. Zabiła ją krzywda, która zatruła serce Paola; ona i Paolo i ta inna biedna dziewczyna, której ciało znaleziono w porcie, to wszystko ofiary jednej i tej samej zbrodni. A tą zbrodnią oddychamy my wszyscy, my wszyscy popełniamy ją nieustannie. My zabiliśmy Paola, Amelię i Jolantę.

— To już zanadto, wołał jakiś oficer. On ją hańbi po śmierci. Zestawia ją z prostytutkami...

Zabić go, zabić go! Śmierć mu!

Ktoś uderzył Asta laską z tyłu, tak, że upadł on. To go zgubiło. Tłum pokrył jego ciało i porwał. Rzuciłem się na pomoc i zostałem obalony, straciłem przytomność. Ocucono mnie w jakieś pół godziny w kapliczce pogrzebowej.

— Nazwisko pańskie? pytał mnie jakiś urzędnik policyjny.

— Michał Kaniowski, odpowiedziałem.

Ktoś o pięknej, poważnej twarzy zbliżył się do mnie.

— Syn Oktawiana? rzekł po polsku.

— Tak.

— Jestem Alojzy Kaniowski — stryj twój. — Ja zajmę się tym panem, rzekł do komisarza.

— A Ast? zapytałem.

Stryj Alojzy wskazał mi pokoik, gdzie leżały przykryte rogożą jego zwłoki.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

Przedmowa	1
I. Na zgliszczach	21
II. Sielskie-anielskie	37
III. Spartakus i Szymon Słupnik	130
IV. Testament Brenneisena	234
V. Katia	246
VI. Ulica Św. Marcina	291

PG
7158
B796P55
t.1

Brzozowski, Stanisław (ed.)
Płomienie

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY